

BIULETYN IPN

nr 2 (35)/2015

pamięć **PL**

Białystok: cmentarzysko dwóch reżimów

Deportacje Polaków do ZSRR

Fryzjerzy w mundurach

Stasi śledzi Tuska

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.



Dodatek specjalny: mapa represji wobec
Polaków w ZSRR 1939–1959



- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

- 8** Krzysztof Gottesman, *Życiorysy równoległe*

Z ARCHIWUM IPN

- 10** Grzegorz Majchrzak, *Rotunda pod lupą SB*

STOP-KLATKA

- 12** Paweł Zielony, *Dzielną bezpieka w walce z kontrrewolucją*

WYWIAD

- 17** *Jałta nie mogła nic zmienić*
– rozmowa z prof. Markiem Kornatą

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 22** Magdalena Dzienis-Todorczuk, Marcin Markiewicz, *Wagony szły na wschód*
- 26** Krzysztof Łągojda, *Ofiary Katynia na wokandzie*
- 30** Kazimierz Krajewski, *„Olech”*: przeciwko sowieckiemu terrorowi



Fot. AIPN

Fot. ze zbiorów Kazimierza Krajewskiego



Fot. rep. Mateusz Ochocki/KFP



Fot. AIPN



Fot. MWP



Fot. Piotr Życieński

SPIS TREŚCI

- 36** Filip Gańczak, *Pod okiem „Henryka”*
- 42** Bogusław Tracz, *Fryzjerzy w mundurach*
- 47** Marcin Zwolski, *Cmentarzysko dwóch reżimów*

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

- 52** Jerzy Eisler, *Dzisiaj w nocy umrze miasto*

Z BRONIĄ W RĘKĘ

- 55** Michał Mackiewicz, *M16 – amerykański kałasznikow, cz. 2*

ORZEŁ BIAŁY

- 58** Tomasz Zawistowski, *Orzeł z trąbki*
- 39.** *Pułku Piechoty*

WYSTAWY IPN

- 62** Piotr Życieński, *Milcząc – wołają*

EDUKACJA HISTORYCZNA

- 65** Iwona Demczyszak, *Edukacja bez barier*

HISTORIA W KINIE

- 68** Grzegorz Wołk, *Ahistoryczna fantazja*

70 RECENZJE

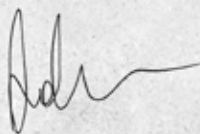
73 BIBLIOTEKA IPN

„Od 500 lat z Polakami są tylko kłopoty” – miał powiedzieć prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt podczas konferencji jałtańskiej. Nawet jeśli to tylko anegdota, to dobrze oddaje ducha pewnego rodzaju zniecierpliwienia połączonego z przeświadczeniem o własnej, mocarstwowej wyższości nad narodami spoza „wielkiej trójki”. Trójki (choć z czasem coraz bardziej dwójki, bo Wielka Brytania straciła na znaczeniu), która rościła sobie pretensje do samodzielnego układania powojennego świata. Wprawdzie konferencja na Krymie – o której w niniejszym numerze rozmawiamy z prof. Markiem Kornatem – tylko zatwierdziła wcześniejsze ustalenia dotyczące podziału świata na strefy wpływów, ale słowo „Jałta” jest w Polsce niemalże synonimem słowa „zdrada”. Nie po raz pierwszy bowiem podczas II wojny światowej zostaliśmy opuszczeni przez sojuszników: w słowach Roosevelta pobrzmiwają tony wypowiedzi tych, którzy w 1939 roku „nie chcieli umierać za Gdańsk”, i tych, którzy nie wierzyli w odbywającą się w okupowanej Polsce Zagładę. A już na pewno tych, którzy nie chcieli pamiętać o polskim wkładzie w zwycięstwo nad Hitlerem, ani o postanowieniach Karty Atlantyckiej. W dyplomacji jednak nie ma sentymentów, są jedynie interesy.

O swoje interesy Polacy musieli walczyć sami. Jednym z tych, którzy nie chcieli wyzwolenia w wydaniu radzieckim, był „Olech” – podporucznik AK Anatol Radziwonik. O walce żołnierza, który postanowił bronić swej Nowogródzyczyny przed Sowietami, nawet wtedy, gdy padł rozkaz o ewakuacji, pisze Kazimierz Krajewski. O tym, jak wyglądają rządy „władzy ludowej”, mieszkańcy wschodniej Rzeczypospolitej mieli okazję przekonać się „za pierwszego Sowietą”. W lutym 1940 roku rozpoczął się pierwszy etap deportacji Polaków w głąb ZSRR. Wyrzuceni z domów, ograbieni z dobytku, poniżani, trafiali najczęściej do syberyjskiej tajgi, gdzie w nieludzkich warunkach musieli mieszkać i pracować. Gehennę Polaków wywiezionych na wschód opisują Magdalena Dzienis-Todorczuk i Marcin Markiewicz.

Mimo upływu lat wciąż natrafiamy na ślady zbrodni popełnionych przez radzieckich, a następnie polskich komunistów. Zdjęcie z okładki tego numeru „Pamięci.pl” pochodzi z ekshumacji, które w zeszłym roku Instytut Pamięi Narodowej prowadził w pobliżu białostockiego Aresztu Śledczego. Historia tej katowni była do tej pory znana właściwie tylko dzięki dokumentom i relacjom świadków. Pracownicy Oddziału IPN w Białymstoku wraz z archeologami odkryli tuż za murem więzienia cmentarzisko, które może stanowić symbol – nie pierwszy zresztą – współpracy dwóch totalitaryzmów w niszczeniu polskiego narodu. Wprawdzie niemieccy naziści oraz sowieccy i później polscy komuniści nie współdziałali ze sobą bezpośrednio, ale wymowne jest to, że w tym samym miejscu i w taki sam sposób traktowali niewygodnych dla nich Polaków. Przebieg i zakres prac ekshumacyjnych relacjonuje ich uczestnik, Marcin Zwolski. Swój tekst kończy słowami: „Drugi raz na pewno nie pozwolimy im się schować w mroku”. Niech to się stanie mottem niniejszego numeru.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



■ Czaszkę **Józefa Franczaka „Lalusia”** – ostatniego żołnierza polskiego podziemia niepodległościowego – odnaleziono w zbiorach Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. To rezultat śledztwa prowadzonego przez prokuratorów tamtejszego oddziału IPN. Po II wojnie światowej Franczak służył w oddziale partyzanckim kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Później – dzięki pomocy miejscowej ludności – długo ukrywał się samotnie na lubelskiej prowincji. W 1963 roku został zastrzelony w Majdanie Kozic Górnych podczas oblavy zorganizowanej przez aparat bezpieczeństwa PRL. Zwłoki Franczaka pozbawiono głowy i złożono w bezimiennym mogile na jednym z lubelskich cmentarzy. Dopiero po 20 latach szczątki zostały przeniesione do rodzinnego grobowca. Czaszkę odnaleziono w grudniu ubiegłego roku, a następnie poddano szczegółowym badaniom antropologicznym w zakładzie medycyny sądowej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Biegli doszli do jednoznacznego wniosku, że jest to czaszka Józefa Franczaka. Została ona zwrócona Markowi Franczakowi, synowi „Lalusia”. „Będę mógł zrobić pogrzeb katolicki, żeby te szczątki nie tulały się, żeby spoczęły w jednym grobie. Ciało złożone razem to spokój dla duszy” – mówił wzruszony Marek Franczak, dziękując pracownikom IPN.



Fot. AIPN

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięi Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr hab. Robert Klementowski,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyzewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski,
Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex” sp. z o.o.
ul. Gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ Do końca lutego w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** można oglądać **wystawę** cyklu reliefów prof. Stanisława Kulona „**Świadectwo 1939–1946**”.

Autor jako dziecko został wraz z rodziną wywieziony na Ural. Ciężkie warunki panujące w sowieckich obozach pracy doprowadziły do śmierci jego rodziców i młodszego rodzeństwa. On sam w 1946 roku wrócił do Polski. Ukończył z wyróżnieniem studia w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W latach 1988–2000 był profesorem Wydziału Rzeźby ASP. W swojej twórczości wielokrotnie nawiązywał do wojennych losów Polski i Polaków. Cykl „Świadectwo 1939–1946” składa się z 33 sosnowych, barwionych tablic, przedstawiających tragiczne doświadczenia rodaków zmuszonych do osiedlenia się „na nieludzkiej ziemi”.



■ 16 lutego w gmachu Sejmiku Województwa Śląskiego przy ul. Ligonja 46 w **Katowicach** zostanie uroczystie otwarta **wystawa „Koniec i początek. Rok 1945 na Górnym Śląsku”**, przygotowana przez tamtejsze Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN. Ekspozycja składa się z dwudziestu paneli, które w przystępnej formie przybliżają realia 1945 roku w tym regionie: od okupacji niemieckiej, przez wkroczenie na Górną Śląsk Armii Czerwonej i deportacje mieszkańców regionu do ZSRR, po tworzenie się polskiej administracji, politykę narodowościową (weryfikacja i rehabilitacja), wysiedlenie ludności niemieckiej, funkcjonowanie systemu obozowego i odbudowę życia społeczno-gospodarczego. Tematy te zostały zilustrowane fotografiami, dokumentami, afiszami i wycinkami prasowymi. Zebrany materiał ikonograficzny pochodzi z placówek muzealnych (Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, Muzeum w Gliwicach, Muzeum Historii Katowic, Muzeum w Rybniku, Muzeum w Wodzisławiu Śląskim, Muzeum Miejskiego w Zabrze), Archiwum Państwowego w Katowicach, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, Archiwum Federalnego w Koblencji, Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu oraz z kolekcji osób prywatnych.



■ W połowie lutego prezydent Bronisław Komorowski uroczystie otworzy w **Radzionkowie** (ul. św. Wojciecha 118) **Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku**. Wystawa stała CDDG powstała na podstawie wcześniejszej, stworzonej w 2003 roku przez Oddział IPN w Katowicach. Jest to jednak zupełnie nowa jakość, uwzględniająca aktualny stan badań. Zwiedzający otrzymają najważniejsze informacje o wywózce ok. 50 tys. mieszkańców Górnego Śląska do pracy przymusowej w Związku Radzieckim. W specjalnej bazie będzie można sprawdzić dane personalne deportowanych (na początek ok. 10 tys. osób z okręgu przemysłowego). Wykorzystano techniki interaktywne, czego przykładem są infokioski, mapping sowieckiego łagru, prezentacje filmowe i multimedialne, a także symulacja podróży „krowiokiem” – wagonem bydłowym, którym wywożono na wschód Górnoślązaków. Wystawie stałej towarzyszy 140-stronicowy katalog, przygotowany przez Dariusza Węgrzyna i Sebastiana Rosenbauma z katowickiego IPN.



■ Rusza szósta edycja **konkursu „Sprzeczki i guziki z orzełkiem ze rdzy...”**, skierowanego do młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej. Zadaniem uczestników jest stworzenie karty z albumu poświęconej wybranej ofierze Zbrodni Katyńskiej. Na laureatów i ich opiekunów (ok. 100 osób) czeka atrakcyjna nagroda – zagraniczny wyjazd edukacyjny. W 2014 roku zwycięzcy odwiedzili Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino. Szczegółowy regulamin tegorocznej edycji pojawi się na początku marca na stronie www.pamiec.pl/sprzeczki.



■ Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich po raz drugi wyróżniło autorów publikacji o tematyce historycznej. Laureatkami **nagrody im. Janusza Kurtyki** zostały **Anna Rawska** z Radia Koszalin za reportaż *Podborsko – terra incognita* i **Katarzyna Michalak** z Radia Lublin za reportaż *Światło na stepie*. Audycja Rawskiej odsłania sekrety bunkrów usytuowanych w podborskim lesie koło Białogardu, w których w czasach PRL przez ponad 20 lat przechowywano sowieckie głowice jądrowe. Pociski miały zostać wystrzelone w razie ataku NATO na Układ Warszawski. Reportaż Katarzyny Michalak opowiada o losach Henryki Paśnik, deportowanej w 1940 roku do Kazachstanu.

Przyznano też pięć wyróżnień. Otrzymali je: Piotr Gursztyn za książkę *Rzeź Woli – zbrodnia nierozliczona*, Mariusz Kamiński za reportaż *To był wrześnieowy dzień* (Radio Lublin), Daniel Karaś, Norbert Tkacz i Dávid Zeisky za reportaż radiowy *Jak pijak grał w piłkę. Ernest Wilimowski i jego historia* (Wirtualna Polska), Aleksandra Rek za reportaż *Mój scenariusz...* (TVP) i Izabela Patek za reportaż *Biała czeremcha* (Radio Zachód).

POSTAĆ MIESIĄCA



Fot. PAP

➤ Aleksandr Solzhenitsyn
(1918–2008)

po śmierci Stalina mógł zadebiutować jako autor. W 1962 roku w ZSRR ukazało się jego opowiadanie *Jeden dzień Iwana Denisowicza* o życiu więźnia łagru. W czasie rządów Leonida Breżniewa Solzhenitsyn został jednak objęty nieoficjalnym zakazem publikowania i poddany innym szykanom. Kolejne głośne książki – *Krąg pierwszy* i *Oddział chorych na raka* – opublikował w 1968 roku na Zachodzie. Dwa lata później otrzymał literacką Nagrodę Nobla. W tym czasie był już otwartym przeciwnikiem reżimu komunistycznego. Największą sławę przyniósł mu monumentalny *Archipelag GULag* (1973), ukazujący gehennę życia w sowieckich łagrach. W 1974 roku pisarz został pozbawiony obywatelstwa ZSRR i wydalony z kraju. Osiedlił się w USA, trzymał się jednak z dala od emigracji rosyjskiej. Z biegiem lat coraz wyraźniej skłaniał się ku ideom wielkoruskim i panslawizmowi, a konsumpcyjnej kulturze Zachodu przeciwstawiał etykę opartą na prawosławiu. W 1990 roku odzyskał obywatelstwo sowieckie, a cztery lata później – już po rozpadzie ZSRR – wrócił do Rosji. Ostro krytykował przemiany zachodzące w kraju za prezydentury Borysa Jelcyna. W ostatnich latach życia chwalił zaś politykę Władimira Putina. Został jednak zapamiętany przede wszystkim jako wybitny pisarz, który – według oceny prof. Jerzego Pomianowskiego – „uświadomił ludziom na Zachodzie [...] jak niehumanitarny jest bolszewizm”.

9 lutego 1945: W Elblągu został aresztowany Aleksandr Solzhenitsyn.

Rosjanin Solzhenitsyn, z wykształcenia matematyk, w 1941 roku został zmobilizowany do Armii Czerwonej. Za zasługi w walkach z Niemcami był odznaczany i otrzymał awans do stopnia kapitana artylerii. Nie pomogło mu to, gdy służby sowieckie przechwyciły jego prywatną korespondencję z krytycznymi opiniami o Stalinie. Solzhenitsyn został skazany na 8 lat wychowawczego obozu pracy. W 1953 roku – po odbyciu wyroku – trafił na „wieczne osiedlenie” do Kazachstanu. Kilka lat później został jednak zrehabilitowany i powrócił do europejskiej części Związku Radzieckiego.

Dzięki krótkiej odwilży politycznej

2 lutego 1965: Zapadły wyroki w tzw. aferze mięsnej.

Po przełomie 1956 roku i odejściu od stalinizmu stopniowo rozbudzał się apetyt konsumpcyjny polskiego społeczeństwa. Centralnie sterowana gospodarka PRL, nastawiona w dodatku na potrzeby przemysłu ciężkiego, nie była jednak w stanie sprostać popytowi na podstawowe dobra konsumpcyjne, w tym mięso. Władze – niezdolne do rzeczywistych reform – szukały kozłów ofiarnych. Surowo karano i szeroko nagłaśniano nadużycia gospodarcze.

Afera mięsna wpisywała się w te działania. Proces ruszył 20 listopada 1964 roku przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy i toczył się w trybie doraźnym. Na ławie oskarżonych zasiadło dziesięć osób, którym zarzucano przyjmowanie łapówek, kradzieże, fałszowanie faktur czy podmienianie towaru. Składowi sędziowskiemu przewodniczył – specjalnie oddelegowany z Sądu Najwyższego – Roman Kryże, słynący z surowości i dyspozycyjności wobec władz. Także tym razem nie miał litości dla oskarżonych. Zapadły cztery wyroki dożywotniego więzienia. Najsurowiej został jednak potraktowany Stanisław Wawrzeczek, dyrektor przedsiębiorstwa Miejski Handel Mięsem na warszawskiej Pradze – skazany na karę śmierci i stracony. Był to jedyny w PRL wykonany po 1956 roku wyrok śmierci za przestępstwa gospodarcze. Z zachowanych dokumentów wynika, że na przebieg i wynik procesu wpływali przedstawiciele najwyższych władz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

W 2004 roku Sąd Najwyższy uchylił wyroki w aferze mięsnej, tłumacząc, że zapadły z rażącem naruszeniem prawa. Nie znaczy to, że oskarżeni byli niewinni. Nie zapewniono im jednak rzetelnego i sprawiedliwego procesu.

Fot. PAP

4 lutego 1945: Rozpoczęła się ośmiodniowa konferencja w Jaltcie.

Było to drugie spotkanie tzw. wielkiej trójki, czyli głównych przywódców koalicji antyhitlerowskiej. Odbywało się w czasie, gdy klęska Niemców w II wojnie światowej była już przesądzona. W Jaltcie na Krymie stawił się premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i sowiecki dyktator Józef Stalin. Potwierdzono i uściślono postanowienia konferencji teherańskiej z jesieni 1943

roku. Z polskiego punktu widzenia najistotniejszy był punkt szósty przyjętego oświadczenia. Głosił m.in., że granicą wschodnią Polski powinna być – z drobnymi odstępstwami – „linia Curzona”. Dla Rzeczypospolitej oznaczało to utratę – kosztem ZSRR – mniej więcej połowy przedwojennego terytorium, w tym tak ważnych miast jak Lwów i Wilno. Niejako w zamian mgliście obiecano Polsce



Fot. AIPN

„istotny przyrost terytorialny na północy i zachodzie”. W kraju miał zostać powołany Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej – przekształcony w dużej mierze ze zdominowanego przez komunistów „rządu lubelskiego”, choć poszerzony o „pozostałych przywódców demokratycznych” z kraju i emigracji. TRJN miał możliwie szybko przeprowadzić wolne wybory, w których wezmą udział „wszystkie antynazistowskie partie demokratyczne”. W praktyce o tym, kto jest demokratą, decydowali komuniści.

Ustalenia jałtańskie wywołały szok w kraju i na emigracji. „Polska, pierwszy kraj, który przeciwstawił się zbrojnie agresji Hitlera, została zdana na łaskę Stalina” – podsumowuje w książce *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989* prof. Andrzej Paczkowski. Emigracyjny rząd RP w Londynie oprostował decyzje podjęte na Krymie, ale nie mogło to niczego zmienić.

7 lutego 1985: Sąd Wojewódzki w Toruniu ogłosił wyrok w sprawie zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki.

Proces trwał od 27 grudnia 1984 roku. Na ławie oskarżonych zasiadło czterech funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa: kpt. Grzegorz Piotrowski, por. Leszek Pękala, por. Waldemar Chmielewski oraz ich przełożony płk Adam Pietruszka – zastępca dyrektora Departamentu IV MSW. Trzej pierwsi zostali oskarżeni o uprowadzenie, torturowanie i zabójstwo ks. Popiełuszki, a Pietruszka – o sprawstwo kierownicze zbrodni. Sąd uznał wszystkich czterech za winnych. Piotrowskiego i Pietruszkę skazał na 25 lat więzienia, Pękalę – na 15 lat, a Chmielewskiego – 14. Kary zostały jednak szybko złagodzone na mocy amnestii. Pierwszy, już w 1989 roku, więzienie opuścił Chmielewski. Ostatni, w roku 2001, na wolność wyszedł Piotrowski.

Postawienie przed sądem i prawomocne skazanie funkcjonariuszy SB było w PRL czymś niezwykłym. Historycy tłumaczą, że szybkie wyroki miały uspokoić opinię publiczną, a także poprawić w oczach Zachodu wizerunek rządzącej wówczas ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Dziś podkreśla się, że proces toruński nie ujawnił wszystkich okoliczności i mocodawców zbrodni. Dziennikarz Wojciech Sumliński, powołując się na ustalenia prok. Andrzeja Wit-

kowskiego, sugeruje wręcz, że grupa Piotrowskiego jedynie porwała ks. Popiełuskę, a następnie przekazała go innej ekipie. Zabójstwo popularnego kapelana Solidarności jest jednym z wątków prowadzonego przez IPN śledztwa w sprawie związku przestępczego w MSW w latach 1956–1989.



Fot.: AIPN

14 lutego 1950: Wojskowy Sąd Rejonowy w Szczecinie ogłosił wyroki w tzw. sprawie Robineau.

Był to kulminacyjny okres zimnej wojny i panującej w bloku wschodnim szpiegomanii. Propaganda w komunistycznej Polsce starała się wykazać, że przedstawiciele państw zachodnich zajmują się szpiegostwem, a pomagają im w tym Polacy wrogo nastawieni do „demokracji ludowej”.

Pod baczną obserwacją bezpieki znajdowały się m.in. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Szczecinie i tamtejszy konsulat francuski. 18 listopada 1949 roku André Robineau, młody pracownik konsulatu, został aresztowany na stołecznym lotnisku Okęcie. Szybko przyznał się do zorganizowania siatki szpiegowskiej i złożył zeznania obciążające inne osoby. 6 lutego 1950 roku ruszył pokazowy proces. Na ławie oskarżonych zasiadło dwóch obywateli Francji (Robineau i Gaston Druet) i czterech – Polski. Wszyscy przyznali się do winy. Zapadły wyroki skazujące, w tym w jednym przypadku kara śmierci i w jednym – do-

9 lutego 1970: Przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy ruszył tzw. proces taterników.

Taternikami nazywano osoby, które przez Czechosłowację szmuglowały do Polski wydawnictwa emigracyjne, głównie Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia, w tym „Kulturę”. W drugą stronę – na Zachód – przemycano świadectwa sytuacji politycznej w kraju. Działalność ta pozwalała na ominięcie peerelowskiej cenzury.

27 maja 1969 roku służby czechosłowackie zatrzymały i przekazały stronie polskiej Macieja Kozłowskiego i Marię Tworkowską. Wkrótce nastąpiły kolejne aresztowania. Do sprawy włączono także osoby, które nie uczestniczyły w przetruciu, lecz zbierały materiały o wydarzeniach marcowych – brutalnej pacyfikacji przez władze protestów studentów 1968 roku. Wśród zarzutów było m.in. „wejście w porozumienie z obcą organizacją”. Ostatecznie w „procesie taterników” sędzono pięć osób: oprócz Kozłowskiego i Tworkowskiej także Ja-

kuba Karpińskiego, Małgorzatę Szpakowską i Krzysztofa Szymborskiego. 24 lutego 1970 roku zapadły wyroki: od 3 lat do 4,5 roku więzienia. „Surowe kary miały zastraszyć nieliczne i rozbite środowiska opozycyjne. Nagłośniony przez środki masowego przekazu proces, wbrew założeniom władz komunistycznych, zyskał [jednak] rozgłos także poza granicami kraju” – pisze w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Adam Dziurak. Może właśnie z tych powodów Sąd Najwyższy złagodził kary, a wkrótce – dzięki zastosowaniu amnestii – cała piątka wyszła na wolność. Ostatni – we wrześniu 1971 roku – więzienie opuścił Kozłowski. Aresztowana za kontakty z „taternikami” i sędzona w Czechosłowacji Agnieszka Holland – wówczas studentka reżyserii w Pradze – usłyszała wyrok w zawieszeniu.



Fot.: PAP



Fot.: PAP

żywnotnego więzienia. Robineau został skazany na 12 lat pozbawienia wolności. 2 listopada 1950 roku Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał wyroki w mocy. Skazany na śmierć Bronisław Sokół-Klimczak został stracony jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Sprawa Robineau doprowadziła do zaostrzenia – i tak wówczas chłodnych – relacji polsko-francuskich. Odwilż we wzajemnych stosunkach przyszła dopiero po śmierci przywódcy ZSRR Józefa Stalina. 21 grudnia 1953 roku Rada Państwa PRL skorzystała z prawa łaski wobec Robineau i Drueta. Obaj zostali zwolnieni z więzienia i wydalenii z Polski.

Dziś można się spotkać z tezą, że sprawa Robineau została sfingowana przez polską bezpiekę. Doktor Radosław Ptaszyński, historyk z Uniwersytetu Szczecińskiego, twierdzi jednak, że dyplomaci francuscy werbowali polskich obywateli, by pozyskiwać dane wywiadowcze. Nie zmienia to faktu, że represje w związku z tą sprawą dotknęły wielu niewinnych ludzi.

17 lutego 1957 roku

Karnawał A.D. 1957 – pierwszy karnawał po październikowej odwilży – ośmielał do tego, by na łamach prasy dawać wyraz marzeniom. *Aby zniknęły kolejki przed sklepami...* – tak brzmiał tytuł tekstu **Warszawskiego Tygodnika Ilustrowanego „Stolica”** w numerze z 17 lutego 1957 roku, takie też były marzenia każdego obywatela każdego socjalistycznego kraju. Punkt wyjścia artykułu stanowiły obserwacje warszawskich ulic z tygodnia poprzedzającego święta Bożego Narodzenia. „Ulica Bracka np. w okolicy Centralnego Domu Towarowego, Chmielna, Nowy Świat tętniły bujnym życiem. Leżące tuż obok Świętokrzyska, Krucza, Marszałkowska nie zmieniły swego wyglądu. [...] Dlaczego? Odpowiedź nie będzie trudna”. Trudna nie była, ale – z punktu widzenia komunistycznej propagandy – obrazoburcza: „Warszawa przed wojną tętniła życiem. Była bowiem ośrodkiem drobnego przemysłu, ośrodkiem hurtowego, średniego i drobnego handlu. Tymczasem nasza dotychczasowa polityka gospodarcza jakby o handlu zapomniała”. To ostatnie zdanie było bardzo daleko idącym eufemizmem, by nie napisać: ordynarnym kłamstwem – wszak w latach 1947–1949 komuniści stoczyli zwycięską bitwę o handel, w której wyniku liczba sklepów prywatnych spadła prawie o połowę. „Handel uspołeczniony” nie był oczywiście w stanie wypełnić tej luki. „Jeżeli mamy w Warszawie trudności komunikacyjne, to m.in. dlatego, że wielu mieszkańców musi codziennie przyjeżdżać do paru ruchliwszych handlowo punktów miasta dla poczynienia niezbędnych zakupów. Na nowo zabudowanych ulicach (Krucza, Elektoralna, Krak. Przedmieście, Mazowiecka, Żurawia i inne) sklepów nie ma. Na ulicach zaś takich, gdzie mają być sklepy, np. przy Świętokrzyskiej, są wprawdzie, ale... wielkie sklepy jednobranżowe. [...] Gdyby w tych miejscach umieszczono parę średnich sklepów różnych branż, od razu zmieniłby się charakter ulicy” – wyobrażał sobie autor tekstu, podpisany inicjałami J.S.G. Zauważał, że wprawdzie powstało sporo kiosków i budek, ale „w centrum miasta, w połowie XX wieku i w 12 lat po skończeniu wojny [jest to] forma handlu cokolwiek nieodpowiednia”. Zwracał też uwagę na to, że w planie pięcioletnim przewidziano „zwiększenie masy towarowej o 50 proc”, a rozbudowę „sieci handlu uspołecznionego” – tylko o 14 proc. „Trudno więc przypuszczać, aby kolejki przed sklepami zniknęły w 1960 roku...” – przewidywał pesymistycznie redaktor i radził: „Znaczną [...] i szybką pomoc może przynieść odpowiednio pokierowany rozwój indywidualnego kupiectwa, wykorzystanie prężnej i żywotnej inicjatywy społecznej. Może ona spowodować zanik, a w najgorszym przypadku zmniejszenie tak dotkliwej bolączki społecznego handlu, jak »ogonki« przed sklepami”. Tak oto redakcja „Stolicy” usiłowała pomóc socjalizmowi rozwiązać jeden z problemów, które ten system generował. 📌

8 lutego 1985 roku

„Po 25 dniach procesu Sąd Wojewódzki w Toruniu ogłosił w czwartek wyrok w sprawie o uprowadzenie i zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki” – informowała na pierwszej stronie **„Trybuna Ludu”** w wydaniu z 8 lutego 1985 roku. Ogłoszenie wyroku w najważniejszej, według mec. Jana Olszewskiego, sprawie karnej rozpatrywanej w PRL po 1945 roku zostało skwitowane krótką notatką na dole strony. Autor podał jedynie suche fakty dotyczące ogłoszonego wyroku, informując, że „sąd skazał Grzegorza Piotrowskiego na karę łączną 25 lat pozbawienia wolności oraz praw publicznych na okres 10 lat [...] Leszka Pękałę na karę łączną 15 lat pozbawienia wolności, a Waldemara Chmielewskiego na karę łączną 14 lat pozbawienia wolności. Adamowi Pietruszce sąd wymierzył karę 25 lat pozbawienia wolności”. Pomiął za to całkowicie relację z przebiegu procesu. W artykule przytoczono słowa sędziego przewodniczącego, Artura Kujawy, który najpierw mówił, że sąd miał świadomość „z jaką uwagą społeczeństwo polskie oczekuje na rozstrzygnięcie problemu winy oskarżonych oraz kary”, później podkreślił, że „sąd działał jako organ państwa socjalistycznego”. Sędzia podał również, że zdaniem sądu oskarżeni mieli pełną świadomość bezprawności czynu, jaki planowali, ponieważ „znali przecież podstawowe zasady prawa karnego [...] chociaż sami ich nie przestrzegali?”. Artykuł zakończyło przytoczone stwierdzenie sędziego przewodniczącego, że wiele uwagi poświęcono ustaleniu i badaniu motywów zbrodni.

I to już wszystko. Ani słowa o tym, że Piotrowski, Chmielewski i Pękała byli funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa i pracownikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie wyjaśniono, jaka była rola Adama Pietruszki, zwierzchnika sprawców, który miał ich inspirować do zabicia ks. Popiełuszki. Nie podano także, że wszyscy czterej skazani byli pracownikami Departamentu IV MSW – specjalnej jednostki SB zajmującej się zwalczaniem Kościoła katolickiego w Polsce. Całkowicie pominięto ustalenia procesu, dotyczące motywów zbrodni, jej przebiegu, a nawet informację, kim właściwie był ks. Jerzy Popiełuszko i w jak okrutny sposób został zamordowany. Proces toruński był w rzeczywistości manipulowany przez władze i skrajnie upolityczniony, wielu wątków śledztwa do dziś nie wyjaśniono. Redakcja „Trybuny Ludu” nie wspominała rzecz jasna, że odpowiedzialność za zbrodnię spada na najważniejsze osoby w PRL.

W tym samym numerze gazety przedrukowano długi artykuł z przychylnego władzom tygodnika „Tu i Teraz” – zatytułowany **Dar nieba**. Autorem tekstu o sprzyjających opozycji publicystach, korzystających z gościny polskich kościołów, był – podpisujący się pseudonimem Jan Rem – rzecznik rządu Jerzy Urban, człowiek odpowiedzialny za akcję dyskredytowania ks. Jerzego Popiełuszki w mediach reżimowych. To pokazuje rzeczywisty stosunek „Trybuny Ludu” do procesu toruńskiego i do ks. Popiełuszki. 📌

ABY ZNIKŁY KOLEJKI PRZED SKLEPAMI...

Na ulicach Warszawy w tygodniu poprzedzającym święta Bożego Narodzenia...
Wieloletni plan...
W tym samym numerze gazety przedrukowano długi artykuł z przychylnego władzom tygodnika „Tu i Teraz” – zatytułowany **Dar nieba**. Autorem tekstu o sprzyjających opozycji publicystach, korzystających z gościny polskich kościołów, był – podpisujący się pseudonimem Jan Rem – rzecznik rządu Jerzy Urban, człowiek odpowiedzialny za akcję dyskredytowania ks. Jerzego Popiełuszki w mediach reżimowych. To pokazuje rzeczywisty stosunek „Trybuny Ludu” do procesu toruńskiego i do ks. Popiełuszki. 📌

Dar nieba

oprac. FG, JG, AS, KW
W tym samym numerze gazety przedrukowano długi artykuł z przychylnego władzom tygodnika „Tu i Teraz” – zatytułowany **Dar nieba**. Autorem tekstu o sprzyjających opozycji publicystach, korzystających z gościny polskich kościołów, był – podpisujący się pseudonimem Jan Rem – rzecznik rządu Jerzy Urban, człowiek odpowiedzialny za akcję dyskredytowania ks. Jerzego Popiełuszki w mediach reżimowych. To pokazuje rzeczywisty stosunek „Trybuny Ludu” do procesu toruńskiego i do ks. Popiełuszki. 📌

Życiorysy równoległe

Krzysztof Gottesman

Jerzy Semkow, Tadeusz Konwicki, Edmund Wnuk-Lipiński, Józef Oleksy. Smutny i bolesny okazał się przełom starego i nowego roku. Odeszli ludzie o bardzo różnych życiorysach, dokonujący różnych wyborów. Jedno ich na pewno łączyło. Pozostawili po sobie ważny ślad, przez lata dokładali się do współczesnego kształtu Polski.



Rys. A. Szafranski

Najstarsi, Semkow i Konwicki, urodzili się pod koniec lat dwudziestych XX wieku. Z wojny wyszli jako doświadczeni mężczyźni, z okrutnym bagażem własnych doświadczeń. Szczególnie Konwicki, wychowany w Wilnie i jego okolicach, zdążył jeszcze wziąć do ręki karabin, choć w poczuciu beznadziei i tragizmu sytuacji, w której się znalazł. Czy dlatego, gdy znalazł się w powojennym Krakowie, tak mocno zaangażował się w nowy porządek? Z pełnym przekonaniem zaczął budować Nową Rzeczywistość. Budować nie tylko słowem, lecz także dosłownie, z łopatą w Nowej Hucie. Nigdy nie przekreślił tych doświadczeń ani swojego udziału

w tworzeniu nowego ładu. Nie potrafił. Uznał je za największą życiową porażkę. Swoją własną. Jako jeden z niewielu, nie poprzestał tylko na niedbałym otrząśnięciu się i zapomnieniu. Nie zapomniał. Wileńskie rojsty, polski tragiczny los, oczekiwanie na coś wielkiego i wiara w przeznaczenie pojawiały się w jego książkach i filmach: *Wniebowstąpieniu*, *Senniku współczesnym*, *Salcie*, *Jak daleko stąd, jak blisko*, *Lawie*. Taka postawa wprowadziła Konwickiego do partii komunistycznej i taka sama go z niej wyprowadziła. Kazała również podpisywać listy protestacyjne do władz i wydawać książki poza zasięgiem cenzury. *Mała apokalipsa i Kompleks polski*, książki gorzkie, tragiczne i komiczne, pokazujące Polskę jako mieszaninę wielkości, pychy, wzniosłości, również słabości, małości, wielkiej odwagi i małego strachu. Taka była Polska Konwickiego, tak ją ja znajdowałem i przyjmowałem. Przemawiała do mnie, wydawało mi się, że wiele – choć dalece nie wszystko – z niej rozumiem.

Jerzego Semkowa, młodszego o dwa lata od Konwickiego, przez lata podziwiałem w filharmonii, gdy raz do roku, często na zakończenie sezonu, dyrygował największe dzieła największych twórców. *VIII Symfonia* Brucknera, *V i IX Symfonie* Beethovena, *Msza c-moll* Mozarta, Rachmaninow, Czajkowski... Jeszcze w przygotowanym wcześniej programie na bieżący sezon miał Semkow dyrygować Orkiestrą Filharmonii grającą wspólnie z młodym Chińczykiem. Każdy koncert to było wielkie, niezapomniane przeżycie. Posągowy Semkow onieśmiała, panował nie tylko nad muzykami, miał pełną władzę także nad publicznością. Nawet najmniej wyrobieni słuchacze czuli jego potęgę i maestrię. Nigdy nie słyszałem o pozamuzycznym zaangażowaniu Semkowa, nie wybrał drogi Panufnika, nie zerwał z PRL. Był wielkim artystą, kierującym największymi orkiestrami na świecie. Był jedyny i niezastąpiony.

Edmund Wnuk-Lipiński, rocznik 1944, i Józef Oleksy (1946) byli młodszy o całe pokolenie od Konwic-

kiego i Semkowa. Urodzeni po wojnie, w swoją dojrzałość wchodzili na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w Polsce rządzonej już dość długo przez komunistów.

Starszy, Wnuk-Lipiński, pochodził z Kaszub, dzięki własnemu uporowi i ciężkiej pracy szybko zdobył uznanie akademickie. Od dawna był szanowany i lubiany. Sumienny w prowadzonych badaniach, błyszczał – może to była ucieczka – również jako autor książek fantastycznonaukowych. *Za Rozpad polowiczny* w 1988 roku otrzymał nagrodę im. Janusza A. Zajdła, najważniejsze wyróżnienie w polskim piśmarstwie *science fiction*. Był mistrzem fantastyki socjologicznej. Jego książki do dziś są popularne. Należał do PZPR. Była to decyzja trudna, ale przemyślana. Nie miał złudzeń co do formy rządów w Polsce, ich legitymizacji. Tak zdecydował. Chciał działać, być pożytecznym. I był. W środowisku badaczy społecznych, choć nastawionym krytycznie, a z czasem i opozycyjnie, nie była to postawa wyjątkowa.

Prowadzenie badań, wybieranie ich tematów, kontakt ze światem, a także szczerą chęć uczestniczenia w życiu publicznym wielu skłaniała do wypełnienia deklaracji członkowskiej. Oportunizm? Karierowiczostwo? W wielu, może nawet w większości przypadków tak było. Ale były też inne motywacje. Nie każdy – bardzo mało kto – był gotów, chciał, potrafił zrezygnować z oficjalnego życia, kariery. Mało kto uważał, że warto. A takie konsekwencje rodziła otwarta nawet nie opozycja, lecz choćby kontestacja. Wnuk-Lipiński zresztą odszedł z partii, zafascynował się Solidarnością, zbliżył się do opozycji. Przy jednym z podstolików Okrągłego Stołu siedział już po stronie Solidarności. A swój charakter niezależnego naukowca pokazał choćby w badaniach członków PZPR, którzy wstąpili do Solidarności. W wolnej już Polsce potwierdził swój autorytet. Dużo pisał, brał udział w tworzeniu nowych wyższych uczelni i instytucji. Stronił, choć nie zawsze mu się

udawało, od bieżących sporów politycznych.

Józef Oleksy to zupełnie inna bajka. Urodzony w Nowym Sączu. Matka widziała go w przyszłości jako księdza, uczył się nawet w niższym seminarium. Ale poszedł inną drogą. Musiał się mocno przebijać. Był zdolny i sprytny. Organizacje młodzieżowe, partia od roku 1969, studia w SGPiS. Nie odmówił współpracy z wywiadem wojskowym. Typowa aparaczkowska kariera, potwierdzona pracą w KC i stanowiskiem I sekretarza w Białej Podlaskiej. Też siedział przy Okrągłym Stole, po przeciwnej niż Wnuk-Lipiński stronie.

Pamiętam go z sejmu kontraktowego. Wyróżniał się sylwetką działacza partyjnego aparatu. Wydawał się zagubiony. Nie należał, jak choćby młody Wiatr, do ulubieńców lewej strony opozycji. Nie chciał zaś, by kojarzono go z partyjnym betonem. Miał przy tym swoisty urok towarzyski, szybko skracał dystans, zaprzyjaźniał się z ludźmi ze wszystkich obozów. Miał dobre, z czasem coraz lepsze, kontakty z Kościołem. Lubił dziennikarzy. I świetnie odnalazł się w wolnej Polsce. Był posłem, marszałkiem sejmu, premierem, szefem postkomunistycznej, *pardon* – socjaldemokratycznej partii. Sprawiał wrażenie, że rzeczywiście cieszy się z wolności, chce i potrafi ją wykorzystać. Co było, to było, teraz wszyscy jesteśmy równi. Pracująca w PRL w nomenklaturowych instytucjach żona realizowała się w nowej bankowości i firmach ubezpieczeniowych, dzieci zdobywały solidne wykształcenie, także na amerykańskich uniwersytetach. Tylko czasami odzywała się przeszłość, wypadła jak trup z szafy. Nierozstrzygnięta do dziś i zagmatwana sprawa „Olina”, zakończona wielce salomonowym wyrokiem Sądu Najwyższego lustracja przypominały nie tylko Oleksemu, że Polska nie zaczęła się w 1989 roku.

Cztery polskie życiorysy, cztery różne drogi zakończone w jednym czasie. ❀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Wybuch w warszawskiej Rotundzie z 15 lutego 1979 roku należał do najtragiczniejszych katastrof w powojennej historii stolicy. Nic zatem dziwnego, że wzbudzał duże zainteresowanie społeczeństwa, był często komentowany, rodził wiele spekulacji. Opinie te rejestrowała czujna – jak zawsze – Służba Bezpieczeństwa.

Oczywiście komentarzy tych nie znajdziemy w ówczesnej prasie. Aby je poznać, trzeba sięgnąć do wspomnień i relacji z epoki, ale przede wszystkim do materiałów SB, która nie tylko odgrywała istotną rolę w wyjaśnianiu przyczyn wybuchu, lecz także prowadziła inne działania, m.in. zbierała opinie i pogłoski na temat okoliczności katastrofy.

15 lutego 1979 roku ok. 12.40 śródmieściem Warszawy wstrząsnął potężny wybuch. W powietrze wyleciał III Oddział Powszechnej Kasy Oszczędności Banku Państwowego przy ul. Marszałkowskiej, mający siedzibę właśnie w budynku Rotundy. Według oficjalnych danych zginęło 49 osób, *de facto* ofiar było pięćdziesiąt, ponieważ jedna z kobiet, która zmarła w szpitalu, była w ciąży. Ponad sto osób zostało rannych, z tego 77 trafiło do warszawskich szpitali – najczęstszymi obrażeniami były uszkodzenia kręgosłupa, złamania rąk i nóg oraz wstrząs mózgu. Wielu ludzi pokaleczyły odłamki szkła. Budynek Rotundy został zniszczony aż w 70 proc.

Bezpośrednią przyczyną katastrofy był wybuch gazu, do którego doszło z powodu zaniedbań konkretnych osób i peerelowskiej bylejałości, a także na skutek problemów systemowych (np. braków etatowych instytucji odpowiedzialnych za kontrolę stanu bezpieczeństwa w stolicy). Miesiąc po tragedii w jednym z roboczych opracowań stwierdzono: „Przy sprawnym, odpowiedzialnym, skoordynowanym i zgodnym z obowiązującymi przepisami działaniu którejkolwiek ze służb miejskich i kierownictwa Rotundy PKO BP, uniknięcie wypadku było bardzo prawdopodobne”. Ale przecież za wydarzenia z lutego 1979 roku odpowiadały także osoby pełniące znaczące wyższe stanowiska w państwie, ponie-

waż z wcześniejszych – choć na znacznie mniejszą skalę – eksplozji spowodowanych przez ulatnianie się gazu z uszkodzonych gazociągów wyciągano wnioski jedynie na papierze.

Wybuch w Rotundzie stał się tematem dnia, przedmiotem rozmów, spekulacji i komentarzy. Opinie te rejestrowali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, tworząc na ich podstawie kolejne informacje przeznaczone przede wszystkim dla kierownictwa resortu spraw wewnętrznych. Bez ryzyka większej pomyłki można stwierdzić, że trafiały one też (w formie oryginalnej lub przetworzonej) do najważniejszych osób w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i państwie. Jeden egzemplarz powędrował nawet do szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej.

Zachowały się cztery informacje na temat tragedii w Rotundzie. Trzy z nich powstały w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a jedna w WSW. Ta ostatnia dotyczyła reakcji w ludowym Wojsku Polskim oraz jego otoczeniu.

W gmachu MSW przy Rakowieckiej informacje przygotowano 16 i 17 lutego 1979 roku, przy czym tego pierwszego dnia sporządzono dwie. Były one krótkie, miały objętość dwóch, trzech stron. Obok prezentujemy ostatnią z nich, najbardziej syntetyczną oraz najpełniejszą. Szczególnie dużo uwagi esbecy poświęcili opiniom działaczy opozycji. Śledzili także wypowiedzi dziennikarzy zagranicznych i pracowników placówek dyplomatycznych oraz zwykłych Polaków, zwłaszcza mieszkańców stolicy.

Najprawdopodobniej w kolejnych dniach i tygodniach Służba Bezpieczeństwa odnotowywała kolejne komentarze na temat katastrofy, nie tworząc już jednak oddzielnych informacji. Nie ma ich w każdym razie w aktach sprawy ope-

racyjnego rozpracowania prowadzonej przez SB pod kryptonimem „Rotunda”.

Pierwszych 48 opinii bezpieczeństwa zebrała już 15 lutego. Tylko 17 osób miało twierdzić, że wybuchł gaz, aż 29 miało być przekonanych, że podłożono ładunki wybuchowe, a dwie podejrzewały, że katastrofę spowodował śnieg zalegający na dachu, który miał doprowadzić do jego zawalenia się. Dzień po katastrofie, kiedy jeszcze nie były powszechnie znane jej przyczyny, dużo zwolenników miała mieć np. wersja o podłożeniu ładunku wybuchowego przez „członka zachodniego lub arabskiego ugrupowania terrorystycznego”. Zdecydowanie rzadziej pojawiały się inne pogłoski, np. że eksplozja została spowodowana w celu zatarcia malwersacji w PKO BP czy też że była ona wynikiem „liberalizmu władz w stosunku do elementu kryminalnego i ludzi prowadzących pasożytniczy tryb życia”. Zdarzały się również spekulacje bardziej sensacyjne, np. że wybuch był dziełem działaczy opozycji albo że była to prowokacja ze strony władz.

Wybuch w Rotundzie łączono często z wydarzeniami w Warszawie wcześniejszymi o kilka lat – pożarami w Centralnym Domu Towarowym i mostu na Trasie Łazienkowskiej w 1975 roku – czy też z zupełnie wówczas świeżymi, takimi jak pożar warszawskiego Peweksu przy al. Armii Ludowej i wykolejenie się pociągu relacji Kraków – Warszawa. Krążyły również pogłoski o rzekomym ostrzeżeniu pracowników PKO BP przed eksplozją i spekulacje, że „ruszy [...] lawina nacisków zmuszających władze do radykalnej poprawy w sferze zaopatrzenia i gospodarki narodowej”. Pojawiały się wreszcie obawy przed „dokręceniem śruby” przez rządzących, zwłaszcza wobec opozycji politycznej, a w niektórych środowiskach nawet swoista psychoza, podsycana zresztą przez głupie żarty, że jest to pierwszy tego rodzaju przypadek, po którym nastąpią kolejne. ❄

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

W tym czasie odpowiadał za walkę z „działalnością antypaństwową” w kraju

Bogusław Stachura (1927–2008) – od 1969 roku wiceminister spraw wewnętrznych, w latach 1981–1983 I zastępca ministra spraw wewnętrznych

Tadeusz Kwiatkowski (ur. 1928) – w latach 1947–1981 funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa, 1971–1981 dyrektor Biura Śledczego MSW, później m.in. doradca w Gabinetie ministra spraw wewnętrznych

Teodor Kufel (ur. 1920) – w latach 1945–1979 funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa, 1965–1979 szef Wojskowej Służby Wewnętrznej

Dopuszczano dwie wersje – według pierwszej wybuch miała spowodować opozycja polityczna, a według drugiej miał to być element rozgrywek wewnątrz peerelowskich władz

Chodzi o pożar w Centralnym Domu Towarowym (Centralnym Domu Dziecka) w nocy z 20 na 21 września 1975 roku

Dane o treści jawnego telegramu Jana Pawła II SB zdobyła drogą operacyjną

Anka Kowalska (1932–2008) – w latach 1962–1982 redaktor w Instytucie Wydawniczym PAX, od 1976 roku związana z KOR

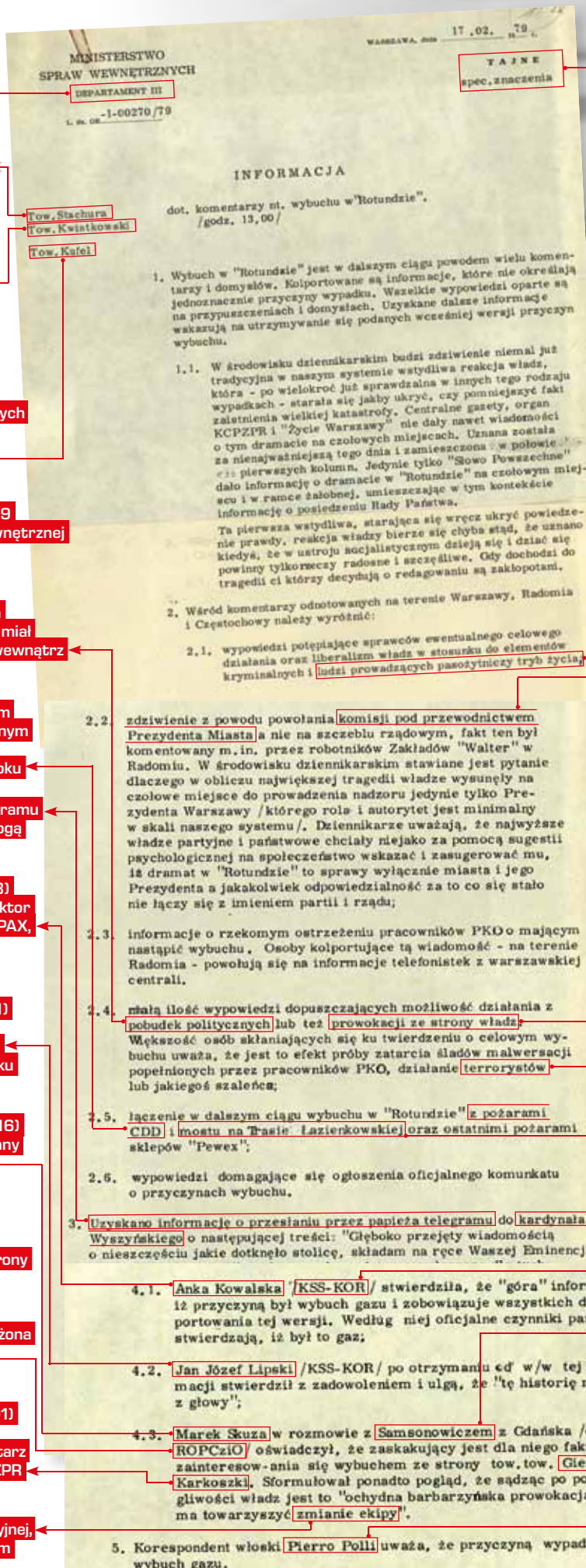
Jan Józef Lipski (1926–1991) – od lat sześćdziesiątych zaangażowany w działalność opozycyjną (m.in. w 1976 roku współzałożyciel KOR)

Marek Marian Skuza (ur. 1916) – działacz opozycyjny, związany z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Ruchem Wolnych Demokratów

Część: ROPCzIO – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela – ogólnopolska organizacja opozycyjna działająca od 25 marca 1977 roku, założona z inicjatywy środowisk niepodległościowych

Alojzy Karkoszka (1929–2001) – działacz komunistyczny, w latach 1976–1980 I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR oraz sekretarz KC PZPR

Chodziło o zmianę ekipy partyjnej, na czele z Edwardem Gierkiem



Najwyższa klauzula tajności

Osoby unikające pracy

Mimo dużej liczby ofiar śmiertelnych komisję do wyjaśnienia przyczyn tragedii utworzono jedynie na szczeblu lokalnym; wywoływało to niepochlebne komentarze, gdyż katastrofy nawet na mniejszą skalę wyjaśniano na szczeblu rządowym

Według tej teorii katastrofa miałaby posłużyć władzom jako pretekst do wzmożenia represji (zwłaszcza wobec opozycji politycznej)

Trudno powiedzieć, o jakich terrorystów chodziło; w latach siedemdziesiątych PRL nie była obszarem działania terrorystów, z wyjątkiem arabskich, którzy wykorzystywali ją jako miejsce schronienia i szkolenia

23 września 1975 roku zapalili się pomost techniczny pod jezdnią

Stefan Wyszyński (1901–1981) – w latach 1948–1981 prymas Polski, od 1953 roku kardynał

Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” – opozycyjna organizacja przekształcona 29 września 1977 roku z Komitetu Obrony Robotników, którego formuła i zakres działania zostały rozszerzone

Jan Samsonowicz (1944–1983) – od lat siedemdziesiątych zaangażowany w działalność opozycyjną, m.in. od 1977 roku współpracował z ROPCzIO

Edward Gierka (1913–2001) – działacz komunistyczny, w latach 1970–1980 I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Właśc. Piero Polli – korespondent włoskiej agencji prasowej ANSA w Warszawie w latach 1974–1979

Dzielna bezpieka w walce z kontrrewolucją

Paweł Zielony

„Bardzo interesująca i bardzo potrzebna wystawa (ściślej lekcja poglądowa). Znakomite ekspozycje, starannie dobrane dokumenty i dowody rzeczowe ilustrujące prawdziwe cele kierownictwa »Solidarności« oraz ich doradców. Wyrażam podziękowanie wszystkim towarzyszom, którzy wystawę przygotowali” – tak 30 listopada 1983 roku do **księgi pamiątkowej wystawy** zorganizowanej przez MSW wpisał się Mieczysław Rakowski.

Działalność Biura „C”, czyli pionu archiwalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, nie ograniczała się wyłącznie do prac związanych z archiwizacją dokumentów, udzielania informacji pionom operacyjnym czy opiniowania kandydatów na stanowiska służbowe. Dyrektor biura, płk Kazimierz Piotrowski, dawał swoim archiwistom możliwość zaprezentowania zdolności twórczych przy organizowaniu wystaw. Najbardziej z nich znana i najdłużej ekspozowana, nosząca tytuł „Kontrrewolucyjne zagrożenie Polski w latach 1980–1983”, była prezentowana od 25 października 1983 roku do maja 1989 roku. Celem wystawy było przedstawienie społeczeństwu narracji służby bezpieczeństwa, a więc „uświadomienie zagrożenia”, które miała nieść ze sobą działalność nielegalnej opozycji: NSZZ „Solidarność”, a także Komitetu Obrony Robotników, Konfederacji Polski Niepodległej, Ruchu Młodej Polski

Bardzo interesująca i bardzo potrzebna wystawa (ściślej lekcja poglądowa). Znakomite ekspozycje, starannie dobrane dokumenty i dowody rzeczowe ilustrujące prawdziwe cele kierownictwa »Solidarności« oraz ich doradców. Wyrażam podziękowanie wszystkim towarzyszom, którzy wystawę przygotowali.

30.XI.1983

M. Rakowski.



oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wystawa miała przekonać, że mimo zdelegalizowania organizacji te tworzą struktury podziemne i próbują przejąć władzę siłą.

Widz mógł obejrzyć zdjęcia z nielegalnych demonstracji i strajków. Według autorów jedynym sposobem na powstrzymanie „anarchii” w kraju było wprowadzenie stanu wojennego. Na wystawie przedstawiono portrety osób odpowiedzialnych rzekomo za chaos: liderów, członków, doradców opozycji i ich darczyńców. Zaprezentowano polityków amerykańskich i ich „złowrogą politykę wobec Polski Ludowej”. Zwracano uwagę na rozwój działalności podziemnej, nielegalnego druku, powiązania ruchów opozycyjnych z Kościołem katolickim i wsparcie z jego strony. Pokazano twarze sprawców terrorystycznego napadu na polską ambasadę w Bernie oraz zabójców starszego sierżanta milicji Zdzisława Karosa, zastrzelonego w lutym 1982



Fot. AIPN

roku w warszawskim tramwaju. Ukazano na fotografiach obrażenia „funkcjonariuszy MO i ZOMO zranionych w czasie zajęć ulicznych w Gdańsku 13 grudnia 1981 r.”, zniszczenia „pomników i miejsc pamięci poświęconych poległym funkcjonariuszom milicji i SB

oraz żołnierzom Armii Czerwonej”. Zaprezentowano zarekwirowany arsenał „kontrewolucjonistów”: dzidy górników z kopalni Wujek, „pałki uczestników zamieszek ulicznych w pierwszych dniach trwania stanu wojennego”, a także sprzęt drukarski, urządzenia



Fot. AIPN

nagłośniające i nadajniki Radiu „Solidarność”, plakaty i ulotki wzywające do strajków, czynnego i biernego oporu oraz nielegalne wydawnictwa polskie i zagraniczne. Wyeksponowano czapeczki, opaski i znaczki z logo Solidarności, rozpowszechniane w „milionach egzemplarzy przed 13 grudnia 1981 r. Wpływy z ich sprzedaży – pisano – trafiały na konta poszczególnych Zarządów Regionalnych NSZZ »Solidarność«, zasilając fundusze na działalność antysocjalistyczną”.

Otwarcie wystawy 10 i 11 listopada 1983 roku było zarezerwowane tylko dla przedstawicieli resortu. Zwiedziło ją kierownictwo MSW: wiceministrowie Władysław Ciastoń i Władysław Pożoga, gen. Edward Tarała, dyrektorzy generalni (16 osób). 22 listopada oglądali ją delegaci radzieccy, w tym szef KGB, gen. Wiktor Czebrikow, wraz z gen. Czesławem Kiszczakiem, ministrem spraw wewnętrznych PRL.

Zachowała się imponująca liczba wykazów osób zgłaszających chęć zobaczenia wystawy. Zwiedzali ją „przedstawiciele centralnych władz państwowych i partyjnych (tow. Mieczysław Rakowski, Roman Malinowski, Edward Kowalczyk, Zenon Komender, Jan Głowczyk, Marian Woźniak, Jerzy Urban), goście zagraniczni zaproszeni przez kierownictwo MSW: ministrowie spraw wewnętrznych ZSRR, Czechosłowacji, Kuby oraz delegacje funkcjonariuszy bratnich resortów ZSRR, NRD, CSRS, Węgier, Kuby,

a także centralnej administracji państwowej, Wojska Polskiego, funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych, aktyw partyjny i związkowy z kilkunastu zakładów pracy, jak również z organizacji młodzieżowych”. Harmonogram zwiedzania był wypełniony. Przyjść można było tylko po wcześniejszej rejestracji, nadesłaniu listy zwiedzających i umówieniu się z przewodnikiem na określoną godzinę.

Część zwiedzających wpiisywała się do księgi pamiątkowej. Uczynił tak np. partyjny publicysta, prof. Kazimierz

Kąkol, który napisał: „Gdyby wszyscy Polacy mieli możliwość zapoznania się w tej skondensowanej formie (we fragmentach byli świadkowie wydarzeń) z groźbą, która zawisła nad naszym socjalistycznym domem – to proces porozumienia na bazie programu Partii przebiegałby szybciej. Gratulacje – nie tylko dla twórców wystawy, ale dla tych wszystkich funkcjonariuszy SB i MO, których ofiarności Polska zawdzięcza to, że możemy oglądać wystawę”.

Zwiedzająca grupa nauczycieli ze Szkoły Podstawowej nr 111 przy ul. Różanej 22/24 w Warszawie umieściła 28 maja 1984 roku wpis: „Serdecznie dziękujemy za udostępnienie nam wystawy. O wielu rzeczach dopiero tu się dowiedzieliśmy i te doświadczenia pozwolą nam lepiej pracować i wychowywać młodzież. Pewnymi eksponatami jesteśmy wstrząśnięci”.

Pracownicy Najwyższej Izby Kontroli 31 stycznia 1984 roku napisali: „Słowa uznania należą się twórcom wystawy. Zachowajcie ją »ku przestrodze« młodszych pokoleń”.

9 lutego 1984 roku do dyrektora Piotrowskiego zwrócił się w piśmie naczelnik Samodzielnego Wydziału Współpracy z Zagranicą PAP – Marek Strzemień: „W załączeniu przesyłam 17 zdjęć z wysta-



Fot. AIPN



Fot. AIPN

wy »Solidarności« zrobionych przez korespondenta radzieckiej agencji TASS. Uprzejmie proszę o wytypowanie zdjęć, które mogłyby być opublikowane w prasie radzieckiej». O tym, jak prośba została rozpatrzona, dowiadujemy się tylko z małej karteczki doczepionej do pisma z lakoniczną, odręcznie napisaną adnotacją: „Uzgodniłem z Naczelnikiem Wydz. Prasowego, aby powiadomił zainteresowanego, że MSW nie jest w zainteresowaniu publikowania żadnych zdjęć z wystawy. Informację [fragment nieczytelny]łem na kserokopii pisma. 20 II 84”.

Z zachowanej korespondencji możemy także wnioskować, że nie zawsze odbiór wystawy był zgodny z oczekiwaniami. Naczelnik Wydziału II Biura „C” MSW, płk Zdzisław Bilski, tak pisał w notatce do przełożonych: „W dniu 23.02.1984 r. wystawę zorganizowaną przez Biuro »C« MSW zwiedzały grupy z Ministerstwa Sprawiedliwości. W trakcie oprowadzania zwiedzających stwierdzono zupełny brak zainteresowania tematyką wystawy, prezentowanymi dokumentami i eksponatami. Niektóre osoby w ogóle nie podchodziły do plansz, oczekując z boku na otwarcie drzwi wejściowych, inne opuszczały salę w połowie oglądania wystawy. Niestosowne zachowanie osób zwiedzających odnotowano przy oglądaniu zdjęć funkcjonariuszy poszkodowanych w wyniku zażść ulicznych. Zdjęcia te wzbudzały głośny śmiech. Najbardziej negatywne zachowanie zaobserwowano przy planszach dotyczących powiązania kościoła z »Solidarnością«. Wysunięto głośno następujące zarzuty: 1. SB zmusza księży do opuszczenia swoich parafii; 2. SB usunęła ks. [Henryka] Jankowskiego z Gdańska; 3. Negatywne wystąpienia księży to po-



Fot. AIPN

myśl SB. Śmiechy zaobserwowano również przy planszach zawierających ulotki szkalujące resort spraw wewnętrznych, a także nowe związki zawodowe”.

Problemy ze znalezieniem wspólnego języka między przewodnikiem a zwiedzającymi pojawiły się już na początku wizyty: „W momencie oprowadzenia ostatniej grupy, zaproszono przybyłych pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości do sali wystawowej następującym zwrotem: »Bardzo proszę Towarzyszy o wejście do sali«. Po tych słowach jedna z pań wchodzą-

zwróciła uwagę, iż nie należy używać zwrotu »towarzysze«, ponieważ nie wszyscy są »towarzyszami«”.

Zachowanie przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości nie było wyjątkiem. W tej samej notatce płk Bilski pisze: „W dniu 14.02.br. wystawę zwiedzili pracownicy z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Osoby oprowadzające po wystawie zaobserwowały całkowity brak zainteresowania ze strony gości problematyką ekspozycji. Przewodnikowi towarzyszyły tylko nieliczne osoby z przybyłej grupy. Pozostałe po samodzielnym pobieżnym obejrzeniu niektórych plansz, gromadziły się na środku sali, prowadząc między sobą rozmowy, ewentualnie opuszczały wystawę. Omawianie przez przewodnika wyników i efektów pracy SB i MO w okresie stanu wojennego, wzbudziło natychmiastowe poruszenie i negatywne komentarze”. Dezaprobatę archiwistów Biura „C” wywoływał brak szacunku dla miejsca i przedstawianych informacji: „Wybuchy głośnego śmiechu odnotowano przy oglądaniu zdjęć z rzutnika dokumentacji fotograficznej przedstawia-

jącej funkcjonariuszy poszkodowanych w wyniku zażść ulicznych, a także przy prezentowaniu **broni używanej przez demonstrantów**, szczególnie **dzid z kopalni »Wujek«**”.

Pierwszy sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR w MSW Zbigniew Pocheć w imieniu swojego Sekretariatu składał w piśmie z dnia 26 czerwca 1984 roku „Towarzyszowi Dyrektorowi Biura »C« MSW Piotrowskiemu serdeczne podziękowania za okazaną pomoc w realizacji programu pobytu w Polsce delegacji ▶

Komitetu Partyjnego w Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, z gen. Aleksandrem Supłatowem na czele. Ze szczególnym uznaniem delegacji radzieckiej spotkało się rzeczowe, nacechowane dużą znajomością problematyki politycznej, zaprezentowanie wystawy kontrrewolucyjnej działalności grup antysocjalistycznych i NSZZ »Solidarność«”.

Ten sam Sekretariat Komitetu Dzielnicowego PZPR w MSW w swojej odezwie z 25 listopada 1984 roku do komitetów zakładowych i uczelnianych PZPR, podstawowych i oddziałowych organizacji partyjnych oraz grup partyjnych zalecał: „[...] wykorzystanie w pracy ideowo-wychowawczej wystawy pokazującej działania i zamierzenia sił antysocjalistycznych w Polsce oraz rezultaty wprowadzonej przez resort spraw wewnętrznych walki o zachowanie socjalistycznej państwowości i spokoju społecznego.

Wystawa, która powstała z inicjatywy i staraniem kierownictwa oraz aktywu partyjnego Biura »C«, a także innych jednostek (m.in. Biura »B« i Dep. Techniki) zawiera bogaty zbiór dokumentów, eksponatów, materiałów, w tym także filmów odtwarzanych z magnetowidu. Jest zrealizowana w oparciu o dobrze skonstruowany scenariusz, bez zarzutu rozwiązano również oprawę plastyczną”.

Wystawa musiała być dla przedstawicieli sekretariatu znaczącym wydarzeniem: „ważnym i wartym podkreślenia jest fakt, iż ekspozycja ta, [...] nie jest tylko jedną z wielu wystaw, o których często się nie pamięta w jakiś czas po zwiedzeniu. Tutaj mamy do czynienia z wywierającym wrażenie dokumentem najnowszych dziejów Polski Ludowej, ale także z dokumentem ogromu pracy, jaki włożyli funkcjonariusze resortu

spraw wewnętrznych, by nie dopuścić do bratobójczej wojny domowej i rozszerzenia konfliktu daleko poza nasz kraj. Komitet Dzielnicowy zwraca się do wszystkich organizacji partyjnych działających w MSW o zorganizowanie grupowego zwiedzania wystawy, po wcześniejszym uzgodnieniu terminu”.

Należy podkreślić, że płk Kazimierz Piotrowski i jego pracownicy mieli duże doświadczenie w organizowaniu podobnych wystaw. Z racji dostępu do materiałów archiwalnych uczestniczyli w przygotowaniu ekspozycji i albumów jubileuszowych z okazji trzydziesto-, a następnie trzydziestopięcioletnia MO i SB (1974 i 1979), a w 1982 roku współorgani-



Fot.: AIPN

nizowali wystawę „Od porozumień społecznych do sięgania po władzę” obrazującą „działalność sił kontrrewolucyjnych w PRL w latach 1980–1982”. Doświadczenie, dokumenty archiwalne i eksponaty z tej wystawy zostały wykorzystane do zorganizowania ekspozycji „Kontrrewolucyjne zagrożenie Polski w latach 1980–1983”. Miała ona jednak już większy rozmach i była lepiej dopracowana plastycznie. Nową ekspozycję zlokalizowano w sali kinowej bloku I MSW przy ul. Wiśniowej w Warszawie (wystawa z 1982 roku mieściła się w gmachu przy ul. Rakowieckiej w bloku B na IV piętrze).

W notatce z 18 marca 1989 roku do ministra Kiszczaaka dyrektor Piotrowski

pisał: „zgodnie z poleceniem Towarzysza Ministra Biuro »C« zorganizowało w październiku 1983 r. wystawę [...]. Dotychczas ogółem obejrzało wystawę około 20 000 osób. [...] Wystawa spełniła ważną funkcję propagandowo-polityczną, poznawczą oraz wychowawczą, co odzwierciedlało się w wypowiedziach zwiedzających i we wpisach do księgi wystawy. Dokumenty zawierające wartość operacyjną i historyczną zostaną zdeponowane w archiwum Biura »C«. Uwzględniając obecną sytuację społeczno-polityczną [trwające obrady Okrągłego Stołu], proponuję zlikwidować wystawę”.

Czesław Kiszczaak 20 marca 1989 roku wyraził na to pisemną zgodę. Pułkownik Piotrowski w piśmie do Szefa Służby Zabezpieczenia Operacyjnego w MSW, gen. Stefana Stochaja, meldował: „wystawa została zlikwidowana w maju 1989 roku. Znajdujące się na niej eksponaty, jak: sprzęt poligraficzny, radiowy, fotograficzny, broń i wydawnictwa zwarte, zostały zwrócone jednostkom, które je nadesłały w czasie organizowania wystawy. Pozostałe

dokumenty, ulotki, plakaty i fotografie ze względu na stałe ich przyklejenie do plansz ekspozycyjnych zostały zniszczone przy demontażu. W archiwum Biura »C« nie pozostały żadne eksponaty”.

Pismo to powstało 28 lipca 1989 roku i doskonale ukazuje nastroje panujące wówczas w resorcie. Nastąpiła nowa epoka, w której nikt już nie chciał pamiętać o „walce z kontrrewolucją”. Przed pracownikami Biura „C” MSW stanęły nowe wyzwania, zapowiadające okres wytężonej pracy, związane nie tyle z utrwalaniem wykreowanej przez nich historii, ile raczej z jej zacieraniem. ■

Paweł Zielony – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Jałta nie mogła nic zmienić

W przeciwieństwie do Roosevelta Churchill nie miał złudzeń co do Stalina, był jednak zbyt słaby, aby mu się skutecznie przeciwstawić – mówi prof. Marek Kornat w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim

W lutym 1945 roku Armia Czerwona jest już niespełna 100 km od Berlina, a alianti zachodni są już w Nadrenii. Wojna jeszcze trwa, ale wiadomo już, jaki będzie jej wynik, czas myśleć o świecie powojennym. Czy konferencja w Jałcie była spotkaniem sojuszników czy już przeciwników *in spe*?

Prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i jego otoczenie wierzyli w to, że Sowietci w dalszym ciągu będą wiarygodnym partnerem Zachodu. Powstanie Warszawskie stworzyło na Zachodzie wyraźne wrażenie, że Stalinowi chodzi o sowietyzację Polski. Że nie zadowolony się przyjaznym rządem, lecz będzie dążył do uzależnienia Polski. Niemniej Roosevelt miał na względzie przede wszystkim interesy Stanów Zjednoczonych, szczególnie dwa: stworzenie ONZ (z udziałem Sowietów) i wykorzystanie ZSRR do wojny z Japonią. W odróżnieniu od Roosevelta premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill miał zapewne poważne wątpliwości wobec Sowietów. Podejrzewał, że bezlitośnie dążą oni do dominacji przynajmniej nad częścią Europy. Spojrzenie Churchilla było o wiele bardziej realistyczne niż Roosevelta.

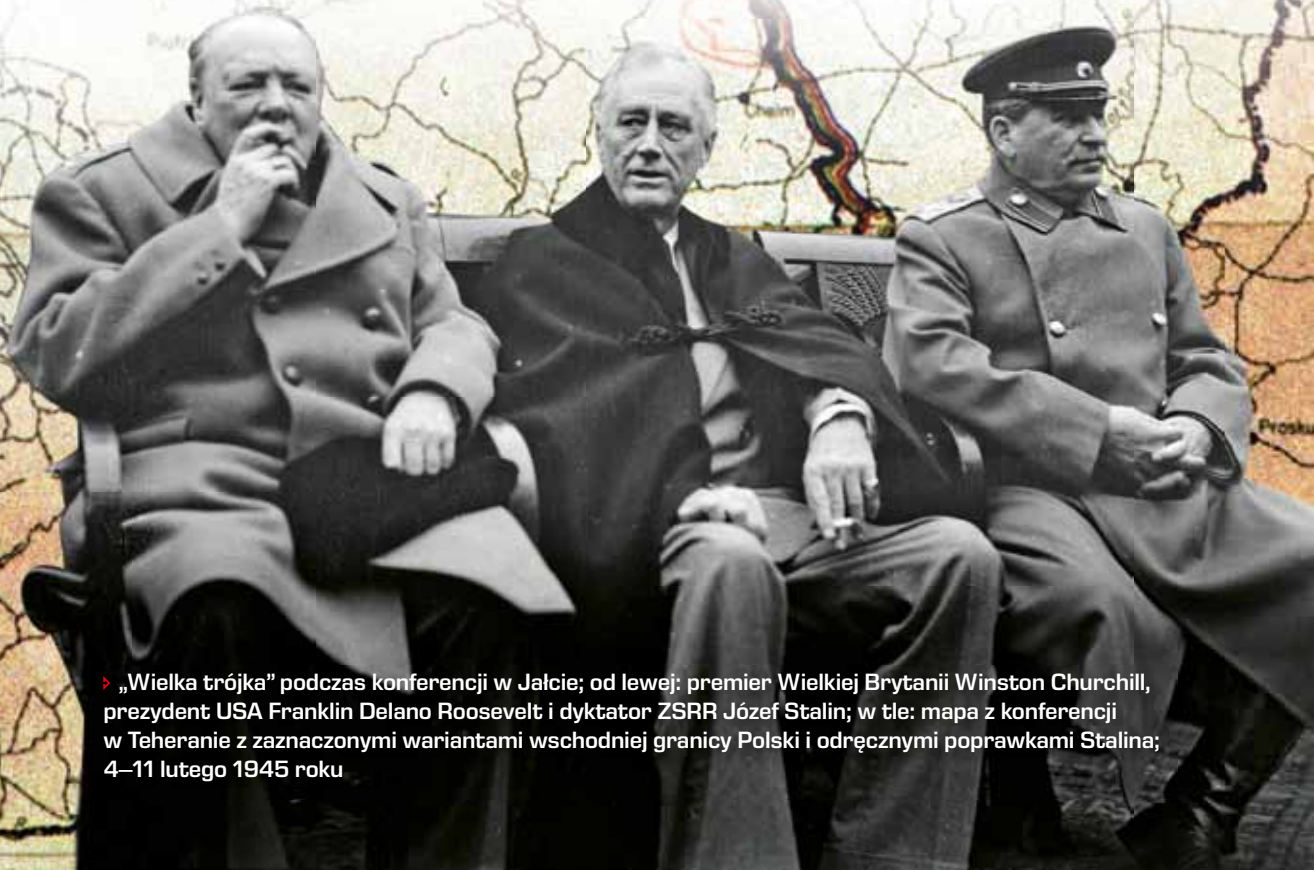


dr hab. Marek Kornat (ur. 1971) – historyk, sowietolog, profesor na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, kierownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii PAN; zajmuje się m.in. historią dyplomacji XIX i XX wieku; autor książek, m.in. *Polska 1939 roku wobec paktu Ribbentrop-Mołotow. Problem zbliżenia niemiecko-sowieckiego w polityce zagranicznej II Rzeczypospolitej* (2002) i *Polityka zagraniczna Polski 1938–1939. Cztery decyzje Józefa Becka* (2012).

Fot. ze zbiorów autora

Jeden z uczestników konferencji wspominał, że Rooseveltowi po prostu nie mieściło się w głowie, by Stalin mógł być aż tak zły, że już wówczas myślał o sowietyzacji Europy Wschodniej. A jak Stalin patrzył na aliantów zachodnich?

Stalin już wtedy traktował partnerów zachodnich jako przeciwników. Był świadom, że Hitler został pokonany, i myślał, jak wyjść zwycięsko także z rywalizacji z Zachodem. Mamy coraz więcej dowodów na to, że był on, zwłaszcza w odniesieniu do polityki brytyjskiej, coraz bardziej nastawiony negatywnie – widział, że Churchill próbuje przeciwdziałać sowietyzacji Polski, co okazało się później nieskuteczne. Z całą pewnością Stalin nie spotykał się jak sojusznik z sojusznikami, a więc z wiarą w kontynuowanie partnerstwa. ▶



▶ „Wielka trójka” podczas konferencji w Jałcie; od lewej: premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i dyktator ZSRR Józef Stalin; w tle: mapa z konferencji w Teheranie z zaznaczonymi wariantami wschodniej granicy Polski i odręcznymi poprawkami Stalina; 4–11 lutego 1945 roku

W dyplomacji nie ma przyjaciół – są tylko interesy?

Tak. Sowieci byli przekonani o nieuchronności rywalizacji i konfliktu dwóch światów. Nie było dla nich ważne, czy „kapitalistyczne otoczenie” ma formę państwa „faszystowskiego”, czy liberalno-kapitalistycznego. Jedno i drugie z zasady było przeciwnikiem. Świat komunistyczny to po prostu przeciwieństwo kapitalizmu – tak rozumowali i uważali, że ta walka musi się wcześniej czy później rozstrzygnąć na drodze militarnej.

Uczestnicy konferencji przyjechali do Jałty już po spotkaniu w Teheranie i kilku innych, na których dokonano pewnych ustaleń. Co jeszcze chcieli osiągnąć?

Mysł prezydenta USA była, jak się zdaje, następująca: trzeba zapewnić sobie sojusz z Sowietami na okres pokoju, a płaszczyzną współpracy może być tylko idea Narodów Zjednoczonych, a ściślej: czterech głównych mocarstw, czyli USA, Wielkiej Brytanii ZSRR i Chin. Ten alians miałby przedłużyć pokój na świecie. Na życzenie Roosevelta Stalin zgłosił akces do ONZ już w Teheranie, ale postawił warunek, żeby Rada Bezpieczeństwa złożona z tych mocarstw jako członków stałych decydowała jednomyślnie – czyli z prawem weta dla każdego z nich. Roosevelt uznał więc konferencję teherańską za swój wielki sukces. Jeśli zaś chodzi o wojnę na Dalekim Wschodzie, występowała tu prosta kalkulacja: do chwili konferencji w Jałcie w wojnie z Japonią zginęło ok. 80 tys. Amerykanów. Szacowano, że wylądowanie na wyspach japońskich i wymuszenie bezwarunkowej kapitulacji pochłonie od 800 tys. do miliona żołnierzy amerykańskich. Roosevelt uważał więc, że do wojny z Japonią potrzebny jest sojusznik w postaci Sowietów. Program stworzenia broni atomowej wprawdzie już był realizowany, ale przełomowe testy przeprowadzono dopiero w kwietniu 1945 roku. W Jałcie prezydent nie brał tej broni jeszcze pod uwagę. Wówczas też nie można było nic pewnego powiedzieć na temat jej skuteczności. Cele amerykańskie były zatem dwa: ONZ i Daleki Wschód.

A Europa? Tu też ginęli „amerykańscy chłopcy”.

Europą Stany Zjednoczone interesowały się dużo mniej i chyba w pełni akceptowały sowiecką doktrynę o „strefach wpływów”, chociaż tego w Waszyngtonie nie wolno było głośno mówić. Ale państwa Sowietom przyjazne, zapewniające im pokój, w gruncie rzeczy miały znajdować się w strefie ich wpływów. Co do Niemiec – krążyły różne pomysły, nawet radykalne, np. podział i zrobienie z nich kraju rolniczego. Z kolei Churchill zdawał sobie sprawę z tego, że kształtuje się ogromne zagrożenie na wschodzie. Nie jesteśmy jednak w stanie odtworzyć procesu jego przemyśleń w tej sprawie. Kiedy premier brytyjski wrócił z Jałty i w Izbie Gmin zdawał relację ze swych działań, powiedział, że Stalin zapewnił go o swojej woli współpracy z Zachodem, a on odczuł, że sowiecki przywódca jest w tych zapewnieniach uczciwy. Ale tak naprawdę nie można twierdzić, że ta refleksja odzwierciedla rzeczywiste przekonania Churchilla. To mogły być tylko werbalne zapewnienia, bo przecież trudno było otwarcie przyznać się do klęski. Wiosną 1945 roku Churchill zlecił przygotowanie operacji *Unthinkable*,

czyli „Nie do pomyślenia”. Był to plan użycia armii przeciw Sowietom, a więc rozpoczęcia III wojny światowej. Z pewnością świadczy to o tym, że brytyjski premier był większym realistą niż Roosevelt. Ale karty Wielkiej Brytanii w polityce międzynarodowej były coraz słabsze. Rolę mocarstw decydujących miały w obozie aliantów USA i ZSRR. Churchill musiał się do tych warunków dostosować. Wydaje mi się, że zawarcie układu w Jałcie traktował jako rodzaj poręczenia. Może przypuszczał, że uda się wywalczyć jakiś znośny status dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej, jak Polska. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wchodząc w strefę sowieckich wpływów, tracą one suwerenność. Prawdę mówiąc, konferencja w Jałcie nie mogła tu już niczego zmienić, dlatego że Sowietci zajęli te terytoria, walcząc z Niemcami. W tych warunkach było niezmiernie trudno o jakąkolwiek inną, ale skuteczną, politykę mocarstw Zachodu. Cele Sowietów były maksymalnie ekspansywne: stworzyć jak najszerzą strefę sowieckich interesów, budując system państw zależnych.

Churchill przynajmniej do czasu próbował dochować lojalności wobec rządu polskiego w Londynie. W końcu tysiące żołnierzy polskich walczyły na froncie zachodnim. Ale Jałta w polskiej pamięci narodowej kojarzy się ze zdradą, oszukaniem Polski, oddaniem nas Stalinowi i komunistom. Czy sprawa polska rzeczywiście miała aż tak duże znaczenie dla „wielkiej trójki”?

Aby walczyć o sprawę polską, w takim kształcie, w jakim byśmy chcieli, lecz w układzie sił z końca 1944 roku, mocarstwa anglosaskie musiałyby podjąć grę ocierającą się o ryzyko wywołania III wojny światowej. A przekonanie społeczeństw zachodnich do tego, by stoczyć jeszcze jedną wojnę, tym razem przeciwko dotychczasowemu sojusznikowi, Sowietom – było niemożliwe. W tych warunkach Churchill miał taką alternatywę: albo nie uczestniczyć w konferencji jałtańskiej i – tym samym – wyklu-



► Powitanie uczestników konferencji w Jałcie: pierwszy z lewej: minister spraw zagranicznych ZSRR Wiczesław Mołotow, obok Winston Churchill i Franklin Delano Roosevelt (w samochodzie); Jałta, 4 lutego 1945 roku

czyć się z procesu decyzyjnego (a raczej pseudodecyzyjnego, gdyż ustalenia jałtańskie w dużym stopniu były zatwierdzeniem aktualnych warunków wytworzonych przez wojnę i wcześniejsze decyzje), albo jednak brać udział w tych działaniach. Wybrał to drugie. W przypadku Roosevelta natomiast nic nie wskazuje na jego wątpliwości co do dobrej woli Sowietów.

Wycofanie się z Jałty oznaczałoby marginalizację Wielkiej Brytanii, która i tak traciła już rangę mocarstwa. Duma brytyjska tego by nie zniosła.

Zmarły niedawno dyplomata amerykański, George Frost Kennan, w rozmowie z też nieżyjącym już polskim historykiem, Januszem Zawodnym, zastanawiał się w 40. rocznicę konferencji jałtańskiej nad pytaniem, co delegacja amerykańska powinna była zrobić. Jedyna uczciwa opcja, jaka w jego przekonaniu była dostępna, to przedstawić własny punkt widzenia i opuścić obrady, odmawiając udziału w niegodzwej transakcji. Rzecz jasna, losów narodu polskiego by to nie zmieniło, bo też wyzwolenie mogło przyjść jedynie w następstwie kolejnej wojny światowej, ale Ameryka nie byłaby sygnatariuszem układu przypieczętowanego los Polski. Kennan w grudniu 1946 roku, będąc *chargé d'affaires* w Moskwie, wysłał do Waszyngtonu tzw. długi telegram, w którym pisał, że wszystkie złudzenia amerykańskie na temat Sowietów jako kraju pokojowego są szkodliwe. Ameryka musi przejść do polityki powstrzymywania komunizmu. *Long telegram* stanowi pierwszy zarys tej polityki.

Roosevelt i Churchill spotykali się wcześniej bez Stalina, ale widać, że sojusz anglosaski nie był monolitem – mieli niespójne interesy. Czy alianci zachodni byli przygotowani do tej konferencji? I czy Stalin miał z góry przygotowany plan negocjacji, czy spontanicznie reagował na rozwój sytuacji?



Fot. East News

Planu aliantów jako takiego po prostu nie było. Ale płynąc do Jałty, Churchill usilnie nalegał na Roosevelta, aby spotkał się z nim wcześniej na Maltzie. Sama informacja o spotkaniu, bez względu na jego rezultaty, mogła na Stalina wywrzeć wrażenie korzystne dla Anglosasów, sugerując, że odbywa się konferencja przed konferencją, która zaowocuje przyjęciem wspólnej taktyki. Roosevelt był niechętny takiemu spotkaniu, ale w końcu się zgodził. Jednak w zgodnej opinii historyków spotkanie to nie przyniosło opracowania wspólnej linii strategicznej obu mocarstw. Co do przygotowań Stalina – nie ma konkretnych źródeł. Dokumenty sowieckie dotyczące przygotowań do konferencji na Krymie nie zostały opublikowane. Wydawnictwo *Dokumenty Wnieszniej Politiki SSSR* historycy rosyjscy doprowadzili jedynie do roku 1942.

Może po prostu jako dyktator nie musiał z nikim się konsultować?

Może tak, ale niekoniecznie. Korzystał zwykle z zespołu doradców, nigdy nie działał sam, zwłaszcza w krytycznych momentach. Choć oczywiście do niego należało ostatnie słowo. Jedno jest bezsporne – Stalin się cofał tylko wówczas, kiedy napotykał bezwzględny opór, który mógł pogorszyć jego pozycję. Na przykład podczas wojny z Finlandią: widząc nie tylko opór małego narodu, ale szczególnie to, że mocarstwa zachodnie przygotowują się do udzielenia jej pomocy – Stalin poszedł na ustępstwa, mimo że miał wojnę właściwie wygraną, bo przecież wiosną Finowie nie mieli już szans powstrzymania Armii Czerwonej. Najwyraźniej nie chciał ryzykować wojny z Zachodem i zdecydował się na kompromisowy pokój. Inny przykład: wycofanie się Sowietów z północnego Iranu po tzw. ultimatum Trumana w roku 1946. Kolejna tego typu wymowna sytuacja to I kryzys berliński z roku 1948. Nie ma wątpliwości, że ustępstwa – czy to nieprzyjaciół, czy też partnerów – prowadziły Stalina do przekonania o całkowitej słabości drugiej strony. Wówczas starał się w bezlitosny sposób narzucić swoją wolę.

Wśród rozbieżności między Rooseveltem a Churchillem ważnym elementem chyba była też Karta Atlantycka, do której w Jałcie wracano, szczególnie punkt o samostanowieniu narodów. Niewątpliwie klóciło się to z celami Stalina, ale też i z tym, co miał w głowie Churchill, stojący na straży imperialnych, kolonialnych interesów Wielkiej Brytanii.

To jeden z motywów różnicujących. Churchill – w tej kwestii będący jeszcze mentalnie politykiem dziewiętnastowiecznym – dążył do zachowania imperium. Roosevelt, jako polityk postępowo-demokratyczny, kierował się znaną niechęcią do kolonializmu. Był przekonany, że za wszelką cenę trzeba kontynuować sojusz z Sowietami po wojnie, a interesy Wielkiej Brytanii nie mogą temu stać na przeszkodzie. Zresztą jest paradoksem, że Churchill doprowadził swój kraj do zwycięstwa nad Hitlerem, ale ceną za to zwycięstwo stała się likwidacja Imperium Brytyjskiego.

Czy wybranie Jałty jako miejsca do rozmów miało znaczenie?

Stalin domagał się, aby spotkanie odbyło się na terenie ZSRR, gdyż daleka podróż nie wchodzi dla niego w rachubę z powodu obowiązków głównodowodzącego walczących na froncie sił zbrojnych. Przywódcy aliancy nie sprzeciwiali się wyborowi Jałty jako miejsca obrad. Gra na zwłokę nie prowadziła by zresztą do żadnych korzyści – z ich punktu widzenia. Istniało zresztą zagrożenie, że do spotkania może nie dojść przed zakończeniem wojny. Wówczas, jak można było przypuszczać, Sowieci zastosują na wielką skalę swoją metodę faktów dokonanych. Pamiętajmy jeszcze o jednym. Tuż przed konferencją ruszyła sowiecka ofensywa znad Wisły, gdzie Armia Czerwona zatrzymała się w sierpniu 1944 roku, pozostawiając Powstanie Warszawskie w osamotnieniu.

Braku spotkania obawiali się aliancy zachodni czy Stalin?

Anglosasi. Stalin był już panem sytuacji: zajmował kolejne terytoria. Jego położenie nie byłoby może tak proste, gdyby Hitler, zamiast użyć ostatnich wielkich rezerw do ofensywy w Ardenach w grudniu 1944 roku, wysłał je na front wschodni. Führer liczył, że w wypadku zwycięstwa Zachód zgodzi się na odrębny pokój. Wówczas Niemcy mogliby skupić się już na dalszej walce tylko z Sowietami. Oczywiście nie polepszyłyby to sytuacji Polski.

W takich sytuacjach przewagę ma gospodarz: decyduje o miejscu, czasie i programie...

Niezupełnie, bo miejsce, czas i program były przedmiotem wcześniejszych konsultacji, a jeśli chodzi o stronę formalną, to przypomnijmy, że Stalin bardzo taktownie poprosił Roosevelta, aby przewodniczył obradom. Atut miejsca dawał możliwości: podsłuchiwanie delegacji, stałej obserwacji...

Znaczenie mogły mieć też takie drobiazgi jak warunki zakwaterowania czy wyżywienie – po to by wywrzeć presję, wpłynąć na samopoczucie. W końcu Roosevelt był ciężko chory, wiele mówi się też o skłonnościach Churchilla do alkoholu. Obaj zresztą byli zaawansowani wiekowo.

Być może Stalin to jakoś wykorzystywał, ale nie ma na to dowodów. Choć stan zdrowia prezydenta USA był bardzo poważny, to nie można jednak powiedzieć, żeby nie był on świadom swoich słów i czynów. Churchill natomiast był niewątpliwie w najtrudniejszym położeniu, zważywszy na brak jakichkolwiek usiłowań sprzeciwu wobec działań Sowietów ze strony amerykańskiego przywódcy. Nie bez silnego rozdrażnienia, Roosevelt wypowiedział w Jałcie słynne zdanie: „Od 500 lat z Polską są tylko kłopoty”. Podczas obrad sprawa polska zajmowała jedno z najważniejszych miejsc, ale dlatego że stanowiła przede wszystkim przeszkodę w funkcjonowaniu wielkiej koalicji antyniemieckiej. Jawiła się też jako jedna z przeszkód na drodze do realizacji wielkiej wizji amerykańskiego prezydenta. Dzisiaj oczywiście wiemy, że wizja ta była tylko kosztowną iluzją.

Jak większość tego rodzaju spotkań, tak i Jałta jest postrzegana nie tylko jako stół negocjacyjny, lecz także sekwencja rautów, toastów, klepania się po plecach, nazywania Stalina „wujaszkiem Joe” itp. Czy taka fraternizacja miała znaczenie dla przebiegu negocjacji?

Nie oceniałbym tego w takich kategoriach. Przyjęcia są rytuałem sztuki dyplomatycznej od wieków. Podobnie przejawiała się oprawa takich spotkań od kongresu wiedeńskiego w 1815 roku po konferencję paryską w 1919. Jeśli zaś chodzi o ukształtowanie się dobrego wizerunku Stalina w opinii zachodniej, trzeba zauważyć, że było to zjawisko wyjątkowo zdumiewające. Miała tu swoje znaczenie propaganda liberalna i lewicowa. Ale nie tylko. W swoich pamiętnikach wysoką ocenę wystawił Stalinowi jako dyplomacie brytyjski minister spraw zagranicznych, konserwatywny polityk, Anthony Eden. W odróżnieniu od innego dyktatora, Hitlera, Stalin w rozmowach zagranicznych nie wykazywał arogancji czy przekonania o własnej wielkości. Negocjował raczej z pozycji skromnego człowieka, sam siebie określał jako sługę swego państwa. Wypowiadał się ostrożnie i rzeczowo, nie podnosił głosu, był spokojny i uprzejmy. Wykładał swoje racje stanowczo, ale bez emocji i bez eksponowania ideologicznej motywacji. Cechy te zjednywały mu ludzi. Już w Teheranie, na pierwszym spotkaniu, relacjonował Rooseveltowi sytuację na froncie wschodnim: trwają zacięte walki, wyzwoliliśmy jedno miasto, utraciliśmy inne. Nie używał hasła w rodzaju: „niezwyciężona armia”, „wódz”, czy „komunizm”. Nazwą „Rosja”, jak się zdaje, operował częściej niż „Związek Sowiecki”.

Ale w tej ostrożnej dyplomacji Stalin potrafił celnie uderzyć, a nawet pokonać przeciwnika własną bronią, jak chociażby Kartą Atlantycką w starciu z Churchillem w sprawie samostanowienia narodów.

Skontrolował w Jałcie też Roosevelta. Na jego apel, który na prośbę Churchilla zwrócił się do sowieckiego przywódcy, aby zostawił Polsce Lwów, Stalin odpowiedział, że nie może tego zrobić, bo przecież Ukraińcy nie mogliby mu tego zapomnieć. A skoro lord Curzon i premier Clemenceau po I wojnie światowej nie chcieli oddać Lwowa Polsce, to on nie może być hojniejszy niż oni. Kiedy Churchill wspominał, że przecież Lwów nie był nigdy rosyjski, Stalin odpowiedział: „ale Warszawa była”. Tak więc riposta z użyciem argumentacji historycznej pojawiała się u Stalina dość często.

Stalin manipulował też np. nazwami geograficznymi przy ustalaniu polskiej granicy zachodniej...

Chodziło o to, że granica miała bieć wzdłuż rzeki Nysy i w pewnym momencie pojawiło się nieporozumienie, o którą Nysę chodzi: Łużycką czy Kłodzką.

Nieźle chyba też rozegrał sprawę polskiego podziemia niepodległościowego, któremu na forum międzynarodowym zarzucał dywersję wobec Armii Czerwonej walczącej z Niemcami, a także kwestię rządu lubelskiego w opozycji do rządu w Londynie.

Już wcześniej Stalin mówił, że rząd w Londynie i komitet lubelski mają się porozumieć. W rzeczywistości o żadnym porozumieniu nie było mowy, bo przecież PKWN dawał Mikołajczykowi i jego stronnikom cztery lub pięć drugorzędnych tek ministerialnych w dwudziestokilkuosobowym Rządzie Jedności Narodowej. Stalinowi zależało na tym, aby w Polsce powstał rząd zdominowany przez komunistów, który nie dopuściłby do przeprowadzenia uczciwych wyborów. Roosevelt tej sprawie nie poświęcił specjalnej uwagi, mało go to obchodziło. Z kolei Churchill chciał dla Polski nowego rządu demokratycznego – owszem, z udziałem komunistów, nawet znacznym, ale jednak nowego. Stalinowi zaś chodziło o rozszerzenie komitetu lubelskiego przez dodanie kilku polityków w charakterze dekoracji. I to przeprowadził.

Po konferencji jałtańskiej wiele kwestii pozostało nierozstrzygniętych – uznano je za nieważne, czy raczej odłożono na później, by tymczasem nie zaogniać stosunków między aliantami?

W sprawie polskiej rozstrzygnięto dwie kwestie: linię Curzona uznano za granicę wschodnią (potwierdzenie ustaleń teherańskich) oraz przygotowano rząd dla Polski – choć też nie do końca. Miał on zostać

powołany na nowej konferencji zorganizowanej przez Komisję Dobrych Usług w Moskwie. Nie wytyczono natomiast ostatecznie granicy zachodniej Polski, dlatego uchwała o wysiedleniu ludności nie precyzowała tego, jakich terenów dotyczy. Roosevelta te sprawy niezbyt obchodziły, a Churchill był zdecydowanie przeciwny przyjęciu linii Odry i Nysy Łużyckiej.

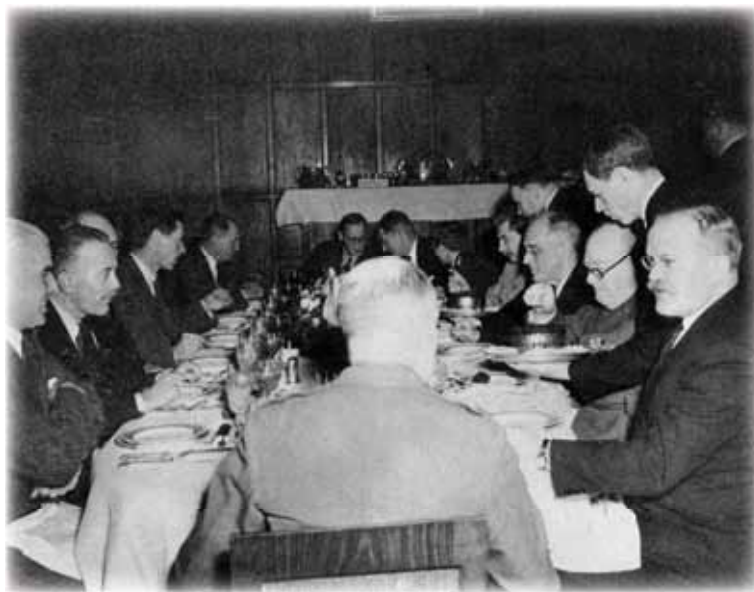
Jak można wyczytać z różnorodnych wspomnień i relacji, obie strony wyjechały z przeświadczeniem o osiągnięciu sukcesu. Czy można wskazać zwycięzców konferencji w Jałcie?

Dla Stalina był to sukces, ponieważ rozszerzono granice ZSRR i ustalono strefy wpływów. Spełniono właściwie maksimum jego życzeń. Roosevelt pisał w telegramie pożegnalnym do Stalina, że jest zbudowany atmosferą tej konferencji. Churchill w Izbie Gmin mówił, że Stalin z honorem podtrzymał wolę współpracy z Zachodem. Czy oni obaj w pełni byli przekonani do swoich słów? Wydaje mi się, że każdy rozumny człowiek musiał sobie

wtedy zdawać sprawę z tego, co podpisuje. Dotyczy to przede wszystkim Churchilla, który nie mógł przecież mieć złudzeń, że rząd lubelski z dokooptowanymi kilkoma politykami przeprowadzi uczciwe wybory. Z drugiej strony patrząc – trudno też oczekiwać, by premier brytyjski, w momencie końca wojny i w trakcie kampanii wyborczej, przyszedł do Izby Gmin i powiedział: „przegraliśmy sprawę pokoju”, „ponieśliśmy całkowitą klęskę”. Inna rzecz, że gdyby tak powiedział, to dzisiaj jego wizerunek w naszych oczach byłby dużo lepszy.

Czy można zatem powiedzieć, że konferencja w Jałcie zwiastowała zimną wojnę?

Niektórzy twierdzą, że gdyby Roosevelt nie umarł już w kwietniu 1945 roku, to jako pierwszy z Amerykanów przejrzałby na oczy i obrał kurs na politykę powstrzymywania Sowietów. Nie jest to jednak ocena, którą uważałbym za właściwą. Churchill z kolei sądził, że układ jałtański powinien być dotrzymany, ale jednocześnie nakazał komitetowi szefów sztabu pracować nad operacją *Unthinkable* na okoliczność niedotrzymania przez Sowietów umowy o podziale Niemiec. Nie wykluczał też ponoć wykorzystania resztek



Fot. East News

► Dyplomatyczna gra toczyła się nawet podczas posiłków: przy stole (po prawej) siedzą Stalin, Roosevelt, Churchill i Molotow; Jałta, luty 1945 roku

Wehrmachtu w takiej konfrontacji. Brzmi to dość fantastycznie, ale plan ten opracowywano między kwietniem a lipcem 1945 roku, a więc do końca urzędowania Churchilla na stanowisku premiera. Oczywiście nie był on możliwy do realizacji bez zaangażowania Stanów Zjednoczonych. Jałta nie przesądziła więc o zimnej wojnie. To dopiero dalsze ekspansywne działania Sowietów z lat 1945–1948 zdecydowały o przejściu do polityki powstrzymywania. Mam tu na myśli konflikt o Spitzbergen, Iran Północny, I kryzys berliński. Bez tych wydarzeń zapewne nie byłoby korektury polityki mocarstw anglosaskich wobec ZSRR. Jałta była klęską mocarstw Zachodu, bo stanowiła transakcję przypieczetowaną podział kontynentu europejskiego. Za zaspokojenie roszczeń Sowietów mocarstwa anglosaskie nie otrzymywały właściwie nic w zamian – z wyjątkiem wspomnianej deklaracji Stalina o pomocy w wojnie z Japonią. Jałta słusznie symbolizuje politykę *appeasementu* na rzecz bolszewickiej Rosji, tak jak Monachium zawsze przynosi wspomnienie ustępstw wobec Hitlera. ❀

Wagony szły na wschód

Magdalena Dzienis-Todorczuk, Marcin Markiewicz

Mieszkańcy wschodnich terenów Polski okres okupacji „pierwszego Sowietu” kojarzą głównie z masowymi wywózkami w głąb Związku Sowieckiego. Ta forma zbiorowych represji była doświadczeniem setek tysięcy polskich obywateli.

W wyniku agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku wschodnie obszary Rzeczypospolitej znalazły się w granicach Związku Sowieckiego (tzw. Zachodnia Ukraina i Zachodnia Białoruś). Dla mieszkających tam Polaków oznaczało to zmierzenie się z nową władzą, która wszelkimi sposobami dążyła do

wynarodowienia i zrusyfikowania obywateli polskich. Metody, jakimi posługiwali się Sowieci, były bardzo różnorodne: sowietyzacja oświaty, propagowanie wychowania laickiego, przymusowa paszportyzacja, która odebrała Polakom ich dotychczasowe obywatelstwo. Towarzyszyły temu terror i aresztowania. Fizyczna eliminacja tych, którzy wbrew wszystkiemu nie chcieli zapomnieć, że

są Polakami, była istotnym elementem sowietyzacji zagarniętych ziem.

Cztery deportacje z lat 1940–1941 nie były zatem celem samym w sobie, lecz miały doprowadzić do zniszczenia śladów polskiej państwowości na zajętych obszarach oraz ich unifikacji ze Związkiem Sowieckim. Wywózki objęły przede wszystkim polską elitę, która była częścią społeczeństwa najbardziej świadomą swej narodowości i przynależności państwowej. Deportowanych traktowano jako „element kontrrewolucyjny”, destabilizujący sowiecki ład na zajętych terenach. Usunięcie intelektualnej i kulturalnej elity było więc

podstawowym warunkiem skutecznej sowietyzacji i pełnej aneksji Kresów.

Tragedia w czterech aktach

Pierwsza wywózka rozpoczęła się w nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku. Sowieci przygotowywali się do niej bardzo starannie. Podczas jednej z narad poprzedzających akcję stwierdzono, że będzie to „ogromna, odpowiedzialna praca wymagająca wielkiej uwagi i poważnego podejścia oraz bezwzględnej mobilizacji sił i możliwości”. Jej celem stali się osadnicy cywilni i wojskowi oraz pracownicy służby ochrony lasów i ich rodziny – w sumie ok. 140 tys. osób. Rozmieszczono ich w 115 osiedlach w 21 republikach, krajach i obwodach Związku Sowieckiego – głównie tam, gdzie przeważał przemysł leśny (obwody: archangielski, swierdłowski, południowe i zachodnie rejony Komijskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej oraz Kraj Krasnojarski). Niespełna miesiąc później, 5 marca 1940 roku, Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Wszechnarzędzowej Komunistycznej Partii (bolszewików) nakazało wymordowanie 14 854 polskich oficerów i policjantów z obozów jenieckich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz ponad 7 tys. osadzonych w więzieniach na Białorusi i Ukrainie.

Druga deportacja, rozpoczęta 13 kwietnia 1940 roku, objęła urzędników państwowych, policjantów, nauczycieli, działaczy politycznych i przedstawicieli ziemiaństwa. Szacuje się, że wywieziono wówczas ok. 61 tys. ludzi. Szczególnie dramatyczne były losy bliskich internowanych oficerów, jak w przypadku rodziny Chodorowskich z Knyszyna w województwie białostockim. Podporucznik rezerwy, dr Józef Chodorowski, służył w kadrze zapasowej 3. Szpitala Okręgowego w Grodnie, do sowieckiej niewoli dostał się w Baranowiczach. Taki sam los spotkał jego starszego brata Bronisława (także podporucznika Wojska Polskiego), który do wybuchu wojny pracował jako weterynarz w Świecianach. Obaj w odstepie kilku dni zginęli w Katyniu. W kwietniu 1940 roku ich rodzice zostali

deportowani do Kazachstanu – na zesłanie jechali w czasie, gdy mordowano ich synów. W 1946 roku do kraju powróciła jedynie schorowana matka.

Trzecia akcja deportacyjna z 29 czerwca 1940 roku objęła głównie tzw. bieżenców, czyli uciekinierów spod okupacji niemieckiej, wśród których dwie trzecie stanowili Żydzi. Ofiarami tej wywózki stało się wielu przedstawicieli inteligencji, m.in. lekarze i ludzie nauki, a liczba wywiezionych to ok. 80 tys. Trafili na Syberię, w większości do obwodów: archangielskiego, swierdłowskiego, nowosybirskiego, do republik Komi, Maryjskiej, Jakuckiej i Kraju Ałtajskiego. Ta wywózka nieco różniła się od poprzednich: deportowanych przez kilka dni zwożono w miejsca formowania transportów i zapewniano ich, że wrócą na ziemię okupowaną przez III Rzeszę.

Ostatnia, czwarta deportacja zaczęła się 20 czerwca 1941 roku – w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Akcja była wymierzona w rodziny i osoby związane z deportowanymi wcześniej grupami ludności. Deportacja ta objęła również republiki nadbałtyckie i Mołdawię. Łącznie wywieziono 90 tys. ludzi, z czego ponad 22 tys. z tzw. Zachodniej Białorusi. Zesłańcy trafili do Kraju Krasnojarskiego, Ałtajskiego, obwodu nowosybirskiego i Kazachstanu. Trudno jest oszacować liczbę osób wywiezionych podczas ostatniej deportacji: badacze podają, że mogło ich być od 31 do 52 tys.

Dobrowolnie pod pistoletem

Scenariusz deportacji był zawsze podobny: łomotanie do drzwi kolbami karabinów w środku nocy, krzyki, bicie, popędzanie w trakcie pakowania, płacz kobiet i dzieci, ujadanie psów. Ten obraz najczęściej pojawia się we wspomnieniach deportowanych. W przypadku pierwszej zsyłki grozę sytuacji potęgował mróz, dochodzący w lutym 1940 roku do minus 40 stopni Celsjusza, a podczas wywózki w czerwcu 1940 roku – potworne upały. W ciągu kilkunastu minut ludzie tracili dorobek całego życia: „10 lutego 1940 roku był dniem rozstania z tym, co kochałam – wspominała po latach jedna

z sybiraczek. – Z rewolwerem enkawudzisty przy głowie ojciec podpisał dokument, że to z dobrej i nieprzymuszonej woli będziemy przesiedleni w inne miejsce. Nie będę opisywać, co działo się w ciągu dwudziestu minut, jakie mieliśmy do zebrania się. Była sobota i mama tylko chleb do pieca wsadziła... a więc i tego nie było na drogę. Szynek z komory wyrwał ojcu enkawudzista, mówiąc, że tam u nich jest *mnogo* wszystkiego, ale żeby nie zapomnieć piły i siekiery zabrać. Pies mój, Burek, ulubieniec, z którym po polach biegałam w dzieciństwie, ujadł straszliwie. Rwał się tak bardzo, że myślałam, iż zerwie się z łańcucha i rzuci na tych, którzy przyszli nas skrzywdzić. *Swołocz* – okropne słowo – usłyszałam i padł strzał”.

Deportacje przeprowadzały tzw. trójki operacyjne NKWD, działające według specjalnych instrukcji. Każda z trójek miała przydzielone po dwie lub trzy rodziny przeznaczone do wywiezienia. Po wejściu do domów funkcjonariusze oznajmiali decyzję o wysiedleniu, po czym przeprowadzali rewizję w poszukiwaniu broni. Następnie miał zostać zrobiony spis majątku pozostawionego przez wywożonych. Oddzielne wytyczne precyzowały, co rodziny mogły zabrać ze sobą: ubranie, bieliznę, obuwie, pościel, nakrycia stołowe, żywność na miesiąc, drobne narzędzia gospodarcze, pieniądze i kufer potrzebny do zapakowania dobytku. Wszelkie instrukcje jednak obowiązywały jedynie na papierze. Deportowanym kazano się pakować w ogromnym pośpiechu, a oszołomieni i przerażeni ludzie często nie myśleli logicznie. Wielu z nich nie zdołało zabrać ze sobą właściwie nic. We wspomnieniach deportowanych często pojawia się stwierdzenie, że dużo zależało od postawy funkcjonariuszy. Jedna z sybiraczek wspominała: „Żołnierze rozkazali nam tonem niedopuszczającym sprzeciwu lub pytań spakować najpotrzebniejsze rzeczy w ciągu 2 godzin. [...] poruszaliśmy się w przerażeniu i poczuciu ogromnego zagubienia”. Inna zapamiętała, że „jak ktoś trafił na lepszego żołnierza, to nawet co nieco pozwolił zabrać. Nam nic nie pozwolili, mieliśmy tylko to, co na sobie”. Jeden ▶

z tych lepszych żołnierzy – jak wspomina pewien deportowany – „podszedł do mamy i wskazując na stojący obok kufer, szepnął »weź ciepłe rzeczy dla dzieci«”.

Zesłańców czekała podróż trwająca nawet kilka tygodni. W bydłych wagonach, którymi jechali, były prycze, żelazne piecyki, a zamiast toalet – dziury w podłodze. Brakowało wody, ciepłych posiłków, opieki lekarskiej. W transportach szybko rozprzestrzeniały się wszy i pluskwy. Do tego dochodził potworny ścisk, dotkliwy szczególnie podczas upałów. Te urągające ludzkiej godności warunki często powodowały śmierć zwłaszcza najsłabszych: chorych, dzieci, osób starszych.

Podróż była jednak zaledwie pierwszym aktem dramatu zesłańców. Szokiem po przyjeździe na miejsce okazywały się warunki mieszkaniowe, które zastawali deportowani. „Wzdłuż ścian baraków zbudowane były dwupoziomowe prycze o wymiarach około 2,5 m długości i prawie 170 cm szerokości. Z trzech stron obite były dartymi [łupanymi] deskami szerokości około 30 cm, tworząc swego rodzaju skrzynię bez jednego boku. Była to standardowa, uregulowana zapewne jakimiś ogólnymi zarządzeniami władz, powierzchnia domu – legowiska przeznaczona dla czterech osób. Do rodzin, które składały się z trzech osób, dokwaterowywano osobę samotną lub kogoś z rodziny pięcioosobowej” – opisywał Zbigniew Fedus, wówczas niespełna dziesięcioletni. Wielu zesłańców kwaterowano w ziemiankach i lepiankach, ciasnych i właściwie nienadających się do zamieszkania. „Było strasznie brudno. Ściany niebielone, wymazane gliną, wołłoki naszpikowane wszami, a w ścianach pluskwy. W pierwszą noc tak nas pluskwy i wszy oblażyły i pogryzły, że najmłodsza siostra dostała gorączki” – wspominała jedna z zesłanych.

Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet

Deportowanych zatrudniano do ciężkich, wyniszczających prac: przy wyrębie lasu, w kopalniach, cegielniach, kolchozach, sowchozach, osadach prze-

mysłowych. Przymus pracy dotyczył wszystkich między szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia. Często zdarzało się jednak, że do robót zmuszano dwunastolatków, a i górna granica wieku nie zawsze była przestrzegana. Pracowano po kilkanaście godzin dziennie, przez sześć, a nawet siedem dni w tygodniu. Wycieńczenie robotników, niezwykle trudne warunki klimatyczne i brak odpowiedniej odzieży powodowały choroby i dużą śmiertelność. Zidentyfikowano około 130 łagrów, w których przebywali Polacy. Nadludzki wysiłek zabijał deportowanych, lecz stanowił jedyną możliwość zdobycia pożywienia i przetrwania. W *specposiołkach*, czyli osadach dla deportowanych, obowiązywała praca akordowa – porcje żywności dla zesłańców były uzależnione od tego, jaki procent normy dziennej wykonali. Powszechnie stosowana była sowiecka maksyma: *kto nie rabotajet, tot nie kuszajet* (kto nie pracuje, ten nie je). Opuszczenie dnia pracy skutkowało grzywną, potrąceniem płacy, aresztem lub więzieniem. Najdotkliwszą karą było jednak pozbawienie racji żywnościowej.

Dlatego zesłańcy chwyтали się każdej okazji i każdego sposobu na zdobycie pożywienia: „Rano obudziłem się i stwierdziłem, że ojca nie ma w izbie – wspominał jeden z sybiraków. – Poszedłem zobaczyć, jak oprawia kozę. Zajrzałem do szopy i zdziwiłem się: koza stała w niej i spokojnie spoglądała na mnie. Poszedłem po śladach pozostawionych w śniegu i zobaczyłem, że za chatą ojciec obdziera ze skóry psa. Z zadowoleniem stwierdziłem, że nareszcie wpadł w sidła. Ojciec kazał pozacierać mi ślady na śniegu przy płocie i aż do drogi. Zrobiłem to najlepiej, jak umiałem. Przez trzy dni skóra na nas drżała, że żołnierze mogą po śladach dojść do nas. Na trzeci dzień spadł śnieg i zasypał wszystkie ślady. Teraz mogliśmy być spokojni. Mięso z tej zdobyczy było wykorzystane dokładnie, nawet wszystkie kostki zostały pooblizywane. Najwydajniejszym było sporządzenie galarety. Pomimo że nie było do niej żadnych przypraw ani warzyw, a soli było w niej

jak na lekarstwo, to i tak smakowała jak najlepszy w świecie rarytas”.

Deportowanych z lutego i czerwca 1940 roku oraz czerwca 1941 roku osiedlano w miejscach pracy przymusowej. Zesłańcy z kwietnia 1940 roku znaleźli się w osadach podlegających administracji państwowej, od której zależało ich zatrudnienie. Częstokroć oznaczało to, że ludzie ci pozostawali bez zajęcia i środków do życia. Większość syberyjskich zesłańców pracowała przy wyrębie lasu – siekierką i piłą ręczną. Podczas wyrębu ludzie umierali z wycieńczenia i głodu. W ciągu roku były tylko trzy dni wolne: 1 stycznia, 1 maja i 7 listopada (rocznica Rewolucji Październikowej). Do lasu raz dziennie dostarczano zupę (*pachlopkę*) i wrzątek (*kipiatok*).

Najtragiczniejszy los spotkał zesłanych do kopalń ołowiu na Czukotce i kopalń złota na Kołymie. „Temperatura była bardzo niska [nawet do minus 70 stopni Celsjusza] – opowiadał jeden z deportowanych w obwodzie magadańskim – a zimny wiatr z północy, niosący z sobą pył śniegu, mroził do szpiku kości. Nawet opaski ze szmat, jakimi chroniliśmy nasze twarze, zamarzały wokół ust, a zimne powietrze zapierało oddech. Tutaj marzło się nieustannie, od rana do nocy. Stojąc oparty na łopacie, przez szczeliny opaski patrzyłem na moich współtowarzyszy. Każdy z nich tak jak ja, stał nieruchomo, a przyprószony pyłem śnieżnym wyglądał jak biały słupek wystający ponad powierzchnię śniegu. Te ludzkie słupki stały jak duchy, zamrożone w trakcie pracy i czekające na wybawienie od udręki białego piekła”.

Szczególnie dramatyczny był los zesłanych dzieci. Na co dzień stykały się ze śmiercią i chorobami najbliższych, rosły w poczuciu ciągłego strachu i niepewności. Głód, trudny klimat, liczne choroby powodowały ogromną śmiertelność wśród najmłodszych. Wielu z nich straciło kontakt z rodzicami czy to w wyniku aresztowania, czy zgubienia się w trakcie podróży. Liczba sierot rosła – w 1942 roku oceniano ją na 20 tys. Zdarzało się, że polskie rodziny przygarniały sierotę, wiązało się to jednak

z dodatkowym obciążeniem i koniecznością utrzymania jeszcze jednej osoby. Najczęściej więc pozbawione opieki polskie dzieci trafiały do sowieckich domów dziecka. Zdarzały się też sytuacje, kiedy dziecko odbierano matce pod jej nieobecność i przymusowo umieszczano w placówce. Jedna z matek wspomina, że odzyskała synka po zapłaceniu dużej łapówki. Dziecko było „wystraszone jak pisklą, które wyrwano z gniazda. Tulił się do mnie, cieszył ze swojego powrotu i mówił po rosyjsku: *Mamoczka, ty wsie-gda budziesz tiepier so mnoj*”.

W ochronkach dzieci były mniej narażone na głód, musiały się jednak borykać z niechęcią sowieckich opiekunów, agresją ze strony innych podopiecznych i rusyfikacją. Obowiązywał zakaz modlitw i rozmów w języku polskim, co miało przyspieszyć proces wynarodo-

wienia. Wielu dzieciom zmieniono nazwiska, co powodowało, że zwłaszcza najmłodsze zapomnieli, skąd pochodzą (jedną z takich historii – losy Ryszarda Pokropowicza – opisał Paweł Niziołek w „Pamięci.pl” nr 3/2014).

Chociaż deportowani Polacy rzadko źle wspominają miejscowych syberyjskich bądź kazachskich sąsiadów, to zdarzały się przypadki poniżania, szyderstw i przemocy fizycznej. Jednak to właśnie miejscowa ludność często przychodziła zesłańcom z pomocą. Oto świadectwo jednej z polskich matek deportowanych z małym dzieckiem: „Po obłędnie długiej, straszliwej podróży z chorującym dzieckiem osiedlono nas w tartacznej osadzie, w Narymskim Kraju – 300 km na północ za Tomskiem. Trafiłam na kwaterę do rosyjskiej rodziny. Byli to zesłańcy z okresu kolektywizacji. I tutaj też miałam szczęście, spotykając dobrych, serdecznych ludzi, pełnych współczucia, chętnych do pomocy, lecz równie jak my biednych, nieszczęśliwych, okrutnie do-

świadczonych przez własne władze, nie przez wroga. Do dzisiaj też wzrusza mnie wspomnienie doznanej wyjątkowej pomocy ze strony lekarzy rosyjskich.

Dwu k ro t n i e byłam przyjęta wraz z chorym dzieckiem na dłuższe, prawie miesięczne, leczenie. Raz była to dezenteria, po dwóch latach malaria. Byłam jedyną wówczas matką obecną w szpitalu z chorym dzieckiem”.

Liczba osób wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego podczas czterech wielkich deportacji do dzisiaj budzi spory zarówno wśród

historyków, jak i samych zesłańców. Badacze dokonujący obliczeń na podstawie szacunków rządu RP w Londynie i danych ambasady polskiej działającej w 1941 roku w Związku Sowieckim podawali liczbę około miliona deportowanych. Nowe możliwości badawcze stworzyło stopniowe uchylanie (bo ciągle jeszcze nie otwarcie) drzwi archiwów w krajach postsowieckich. Niewątpliwie dzisiejszy stan wiedzy jest nieporównanie większy niż dwadzieścia lat temu, ciągle jeszcze istnieje jednak wiele znaków zapytania i nieścisłości.

Dostęp do archiwaliów rosyjskich i białoruskich umożliwił weryfikację danych dotyczących liczby wywiezionych obywateli polskich w latach 1940–1941. Znawcą tej problematyki, Aleksander Gurjanow ze Stowarzyszenia Memoriał, wykorzystując dokumenty Wojsk Konwojowych NKWD (m.in. imienne spisy osób wywożonych) oraz materiały Wydziału Osiedleń Roboczych i Specjalnych Gułag NKWD – ustalił liczbę deportowanych na 320–340 tys., a więc o wiele mniej niż szacowali emigracyjni historycy. Podstawą tych informacji jest wiarygodne, choć niepełne – w dalszym ciągu pozwalające jedynie szacować – materiały źródłowe. Należy też pamiętać, że sowieckie represje dotknęły nie tylko deportowanych. Po 17 września 1939 roku do niewoli trafiło 45 tys. polskich jeńców wojennych, dodatkowo na terenach II Rzeczypospolitej zajętych przez Sowieców ofiarami masowych aresztowań padło około 110 tys. osób. Łącznie w latach 1939–1941 różne rodzaje sowieckich represji dotknęły od 462 do 490 tys. obywateli polskich. Z tej liczby życie straciło ponad 58 tys. osób. Co najmniej 33 tys. rozstrzelano (w tym ofiary Zbrodni Katyńskiej), co najmniej 25 tys. zmarło w obozach i na zesłaniu. ■

Magdalena Dzienis-Todorczuk – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

dr Marcin Markiewicz – kierownik Referatu Badań Naukowych i Zbiorów Bibliotecznych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

Fotografie pochodzą z wystawy „Sybiracy”, przygotowanej w Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku.

► Zesłane do Altajskiego Kraju (od lewej): Wanda Drozdowska, Halina Żelazna, Jadwiga Kożuchowska, Janina Kudrycka; 1945 lub 1946 rok



Ofiary Katynia na wokandzie

Krzysztof Łągojda

Bolesną, ale konieczną procedurą było prawne uznanie osób zaginionych w czasie wojny za zmarłe. Z tego powodu na wokandzie komunistycznych sądów pojawiał się zakazany przez władze temat Zbrodni Katyńskiej.

To, w jakich okolicznościach zaginionego można uznać za zmarłego, regulował dekret z 29 sierpnia 1945 roku „W sprawie postępowania o uznanie za zmarłego i o stwierdzenie zgonu”. Zaraz po II wojnie światowej do sądów wnoszono tysiące takich wniosków. Swoją sytuację chciały w ten sposób uregulować także te rodziny, które dzisiaj określamy mianem katyńskich. Żony zamordowanych chciały ustalić, czy są wdowami, a dzieci – sierotami. Od tego zależało, czy będą mogły się starać o renty po zmarłym, stypendia socjalne itp., a także – w wypadku owdowiałych kobiet – powtórnie wyjść za mąż. Ta ostatnia kwestia miała jednak mniejsze znaczenie – rzadko która z wdów decydowała się na ponowne zamążpójście (spośród 209 znanych przypadków kolejne związki zawarły tylko 34 wdowy). Ważniejsze były finanse – oprócz uzyskania rent i stypendiów chodziło też

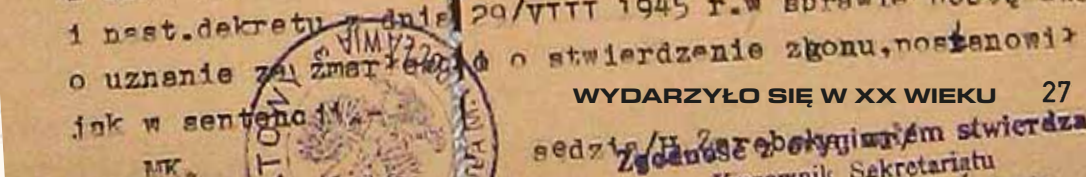
niekiedy o uregulowanie spraw spadkowych.

Postanowienia o uznaniu za zmarłych wydawały sądy grodzkie – do końca 1950 roku, kiedy zostały zlikwidowane – a następnie sądy powiatowe. Postępowanie odbywało się najczęściej bez rozprawy sądowej, nie skracало to jednak czasu otrzymania postanowienia. Najpierw sąd zarządzał umieszczenie ogłoszenia o wszczęciu postępowania w piśmie urzędowym. Następnie informacja miała zostać podana do publicznej wiadomości w miejscu ostatniego zamieszkania zaginionego (jeśli miejsce to znajdowało się na terenie państwa polskiego). Od momentu ukazania się informacji zaginiony miał sześć miesięcy na zgłoszenie się w celu wstrzymania procedury. Czasem sądy dodatkowo zarządzały, aby rodzina zamieściła ogłoszenie o zaginięciu danej osoby w Dzienniku Urzędowym „Monitor Polski”, prasie lub radiu. Dla wielu ro-

dzin było to zbyt kosztowne, dlatego w razie takiego postanowienia część z nich musiała rezygnować z dalszego postępowania.

Logika czasów, logika sądu

Najistotniejszym zagadnieniem w postanowieniach sądowych, które jednocześnie wzbudzało najwięcej kontrowersji, było ustalenie daty śmierci. Na podstawie wspomnianego dekretu z 1945 roku sądy powinny przyjmować datę, która wydawała się najbardziej prawdopodobna według zebranych dowodów. Prawo ustalało również, że jeżeli nie można było wskazać dokładnej daty śmierci lub dowody zebrane w sprawie okazywały się w opinii sądu nieprzekonujące, uznawano, że zaginiony zmarł rok od zakończenia działań wojennych w Europie, czyli 9 maja 1946 roku (w bloku wschodnim, inaczej niż na Zachodzie, koniec wojny świętowano 9, a nie 8 maja). Czasami jako



datę śmierci przyjmowano ostatni dzień roku następnego po roku zakończenia działań wojennych, czyli 31 grudnia 1946 roku. Stąd też 9 maja i 31 grudnia pojawiały się najczęściej w postanowieniach sądowych dotyczących osób biorących udział w działaniach wojennych oraz tych, które zaginęły na obszarze objętym wojną. Daty te – chociaż nieodpowiadające rzeczywistości – miały swoje uzasadnienie w przepisach; nie były więc – wbrew temu, co często można przeczytać w literaturze przedmiotu – przypadkowe.

Ważnym wątkiem są postanowienia sądowe, które dotyczyły osób zamordowanych w Katyniu oraz innych miejscach Związku Sowieckiego. Należy bowiem pamiętać, że w państwach bloku wschodniego propaganda głosiła, jakoby mord na polskich oficerach w Katyniu dokonali żołnierze Wehrmachtu w lipcu 1941 roku. Taka data była forsowana przez Sowietów po tym, jak w kwietniu 1943 roku Niemcy poinformowali o odnalezieniu masowych grobów polskich oficerów w Katyniu. Sowietci wyparli się odpowiedzialności za tę zbrodnię, a swoją wersję wydarzeń poparli pseudonaukowymi tezami komisji Nikołaja Burdenki, która w 1944 roku upozorowała zbadanie okoliczności zamordowania polskich obywateli. Podczas postępowań sądowych rodziny przedstawiały pocztówki nadesłane z obozów, datowane na koniec 1939 oraz pierwsze miesiące 1940 roku. Podważało to sowiecką wersję, jednak sądy nie brały pod uwagę tych dowodów.

W momencie ogłaszania postanowień o uznaniu roku 1946 za datę śmierci wiele rodzin z oburzeniem przyjmowało te decyzje. Były one dla nich w większości zupełnie niezrozumiałe. – Komunistyczny rząd polski postanowił uznać wszystkie rodziny polskich jeńców wojennych za pozbawione mężów i ojców z zupełnie fikcyjną datą. Moja mama otrzymała z sądu takie paradoksalne zaświadczenie, że owdowiała w maju 1946 roku – mówi prof. Adam Zaleski, syn kpt. Ryszarda Zaleskiego, jeńca Starobielska.

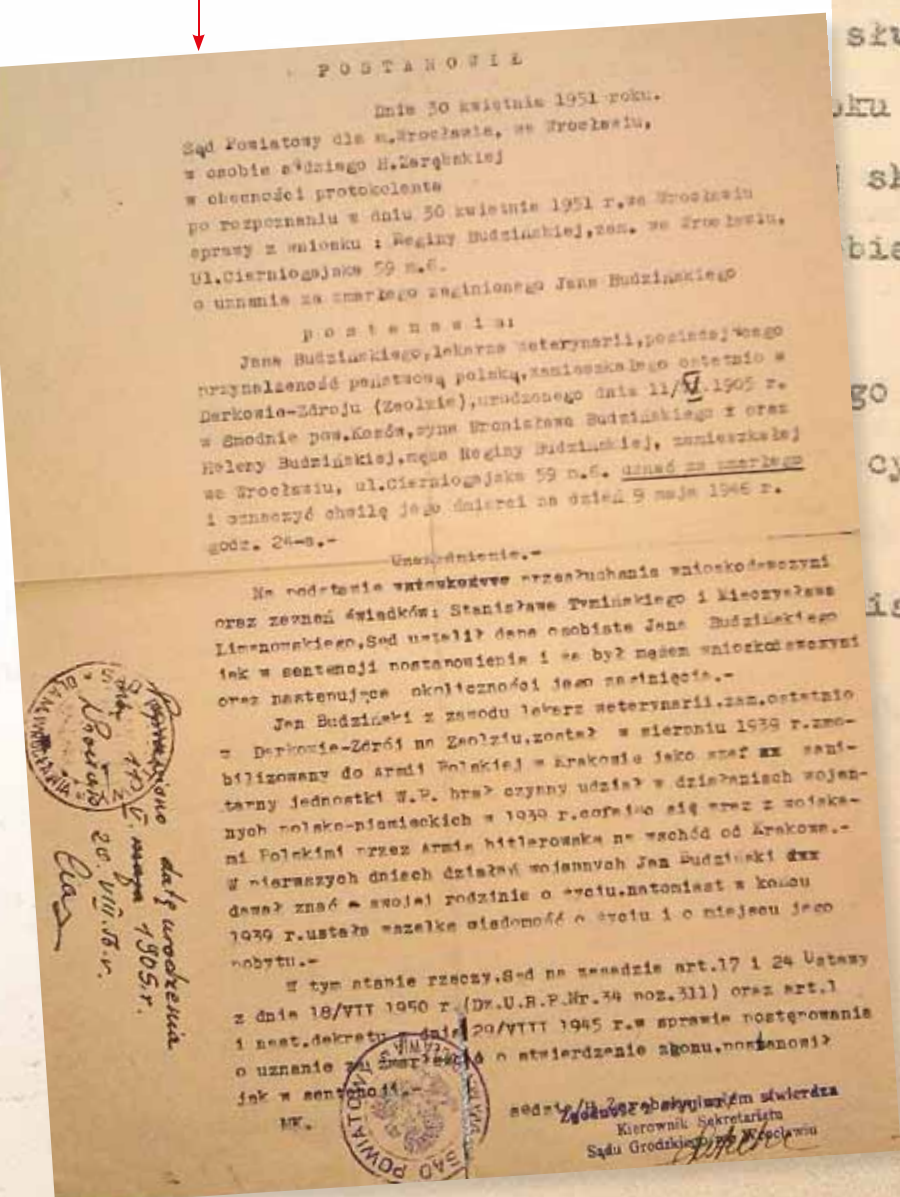
Na postanowieniu, które otrzymała rodzina Zaleskich, widnieje data 10 maja

1946 roku. Trudno wytłumaczyć, dlaczego sąd ustalił datę śmierci na 10, a nie na 9 maja, jak było to powszechne. Dokument jest jednak ciekawy także z innego powodu. Sądy grodzkie, a później powiatowe, najczęściej nie podawały miejsca przypuszczalnej śmierci. Przyjmowano miejsce najbardziej prawdopodobne, niemniej ze względu na to, że ani dekret z 29 sierpnia, ani prawo osobowe nie regulowały tego wątku, sądy często nie ustosunkowywały się do tej kwestii. W postanowieniu dla rodziny Zaleskich, wydanym przez sąd grodzki w Kaliszu w lipcu 1948 roku, jako miejsce śmierci jest podany Starobielsk, z którego w 1940 roku przychodzili do rodziny ostatnie wiadomości.

Podobne w swoim propagandowym wydźwięku jest postanowienie Sądu Powiatowego we Wrocławiu z 1951 roku,

które otrzymałem od Anny Budzińskiej, córki lekarza weterynarii, ppor. rez. Jana Budzińskiego, jeńca Starobielska. Sąd wskazał 9 maja 1946 roku jako datę śmierci. W uzasadnieniu stwierdzono, że podporucznik „został w sierpniu 1939 r. zmobilizowany do Armii Polskiej w Krakowie jako szef sanitarny jednostki W.P. [następnie] brał czynny udział w działaniach wojennych polsko-niemieckich w 1939 r., cofając się wraz z wojskami Polskimi przez [przed] Armią hitlerowską na wschód od Krakowa. W pierwszych dniach działań wojennych Jan Budziński dawał znać swojej rodzinie o życiu, natomiast w końcu 1939 r. ustała wszelka wiadomość o życiu i o miejscu jego pobytu” (pisownia oryginalna). Uzasadnienie jest, można rzec, typowe. Nie pojawia się wzmianka o wkroczeniu Armii Czerwonej

Fot. AIPN





zawdziadził żonę w marcu 1940 roku z obozu w Starobielsku i odtąd nie ma o nim wiadomości. [...] Sąd, uznając jego śmierć za niewątpliwą, stwierdza jego zgon, a jako chwilę śmierci jego przyjmuje w myśl art. 13 cyt. dekretu dzień 31 marca 1940 r.”.

Ostatnia pocztówka ze Starobielska, która dotarła do rodziny i została przedstawiona w sprawie, pochodziła z marca 1940 roku. W przypadkach, kiedy nie można było ustalić dokładnej daty, przyjmowano, że jest to ostatni dzień miesiąca, w którym poszukiwany dawał znak życia. W tym dokumencie, oprócz przyjętej daty zgonu, zadziwiająca jest jego treść. Podana jest informacja o niewoli sowieckiej, co w postanowieniach sądów zdarzało się sporadycznie. Można jednak założyć, że po 1948 roku, kiedy komuniści zupełnie już wyeliminowali opozycję i przejęli monopol władzy (tak-

ani o niewoli sowieckiej, mimo że rodzina przedstawiła listy z obozu w Starobielsku. Logika komunistycznych sądów pozwalała przejść do porządku dziennego nad tą ewidentną sprzecznością.

W sowieckiej niewoli

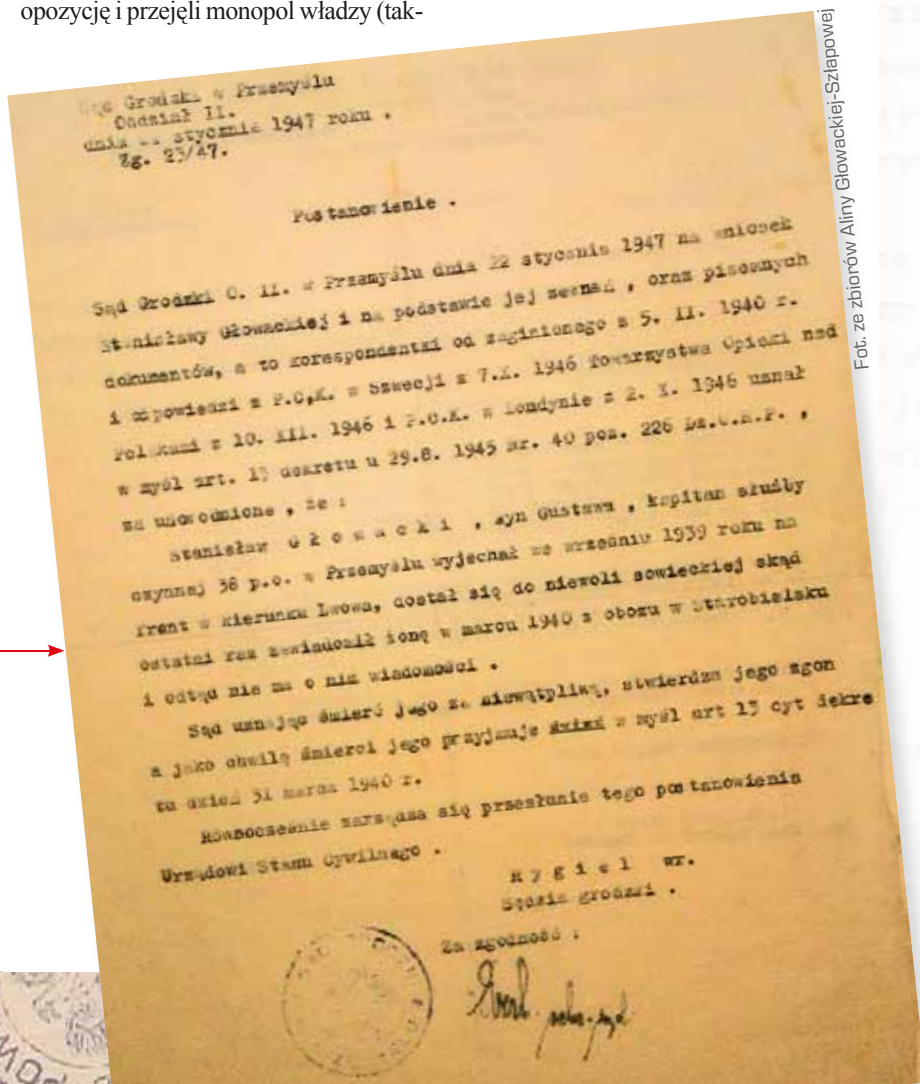
Zaginiony mógł zostać uznany za zmarłego, jeśli został pozbawiony wolności w czasie wojny przez władze obcego państwa (np. aresztowanie, internowanie) oraz gdy został osadzony w miejscu, w którym istniało zagrożenie życia (obozy). Jeżeli w toku postępowania uznania za zmarłego sąd w świetle uzyskanych dowodów (np. relacji rodziny i przedstawionych pocztówek z obozu) uznał, że śmierć zaginionego nie budzi wątpliwości, to stwierdzał jego zgon, wyznaczając daty inne niż 9 maja czy 31 grudnia. Stwierdzenie zgonu miało moc „aktu zejścia”. Mimo tej formalnej prawomocności dokument o uznaniu za zmarłego lub stwierdzeniu zgonu mógł zostać uchylony, jeśli okazało się, że zaginiony żyje. Oczywiście w przypadku rodzin katyńskich nigdy to nie nastąpiło.

W styczniu 1947 roku wdowa po kpt. Stanisławie Głowackim, jeńcu Starobielska, otrzymała postanowienie Sądu Grodzkiego w Przemyślu. W pierwszym akapicie sąd przedstawił uwzględnione w postępowaniu dokumenty, a następnie stwierdził: „Stanisław Głowacki, syn Gustawa, kapitan służby czynnej 38 p.o. [powinno być „pp”, czyli pułku piechoty] w Przemyślu wyjechał we wrześniu 1939 roku na front w kierunku Lwowa, dostał się do niewoli sowieckiej, skąd ostatni

że sędowniczej), uzasadnienia, w których była mowa o sowieckiej niewoli, nie pojawiały się już w ogóle.

Katyń 1941, 1942 lub 1946

Sprawy, w których pojawiała się nazwa Katyń, były dla wymiaru sprawiedliwości problematyczne. Najczęściej sądy w takich przypadkach stwierdzały, że osoby, których dotyczyło postępowanie, brały udział w działaniach wojennych i zginęły – i wyznaczały datę ich śmierci na 9 maja lub koniec grudnia 1946 roku. Były także przypadki wyznaczenia daty śmierci na rok 1941, kiedy to – według wersji powszechnie przyjętej w krajach komunistycznych – mord na polskich oficerach dokonali Niemcy. Bywały jednak wyjątki. Barbara Dworzak, córka por. rez. Edwarda Sztarka, jeńca Kozielska, zamordowanego w Katyniu, ma **stwierdzenie zgonu ojca wystawione na wniosek matki przez Sąd Grodzki w Kaliszu 10 lutego 1948 roku**. Jako datę śmierci



Fot. ze zbiorów Aliny Głowackiej-Szapowej

sąd przyjął 30 kwietnia 1943 roku. W uzasadnieniu powołał się na pismo Polskiego Czerwonego Krzyża: „W świetle zaświadczenia P.C.K z dn. 28. I. 1947 r. fakt śmierci Edwarda Alfonsa Staraka nie ulega wątpliwości. Z tych względów Sąd nie uznał za celowe dokonanie ogłoszeń i przeprowadzenie innych dowodów. [...] datę śmierci określono na zas. art. 13 Dekr. z dn. 29. 8. 1945 r., uznając dzień 30 kwietnia 1943 r. o godz. 24⁰⁰. Trudno wyjaśnić decyzję sądu, ponieważ dokument PCK z 1947 roku nie zachował się w zbiorach córki zamordowanego. Można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że zawierał informacje, iż Edward Sztark znajduje się na liście ofiar w Katyniu, ekshumowanych w 1943 roku. Rodzina dysponowała już dokumentem z 18 grudnia 1946 roku, poświadczonym przez Centralę Poszukiwań Zaginionych Osób, który stwierdzał, że Edward Sztark znajduje się na

liście ofiar katyńskich. Sąd nie wyznaczył daty śmierci na rok 1941, jak było powszechnie przyjęte w sprawach tego typu, lecz wskazał rok i miesiąc, w którym trwały niemieckie prace ekshumacyjne. Dokument w swojej treści nie jest wyjątkowy. Nie podaje miejsca śmierci, czyli Katynia. Wątpliwości budzi jednak wspomniana data. Motywy działania sądu w tym przypadku są trudne do odgadnięcia. Można założyć, że było to zwykle niedopatrzenie lub brak wiedzy o wydarzeniach w Katyniu. Sąd powołał się na art. 13 dekretu z 29 sierpnia 1945 roku, który mówi, że w postanowieniu stwierdzającym zgon chwila śmierci powinna być dokładnie określona; jeśli zaś ustalenia sądu wskazują, że śmierć nastąpiła w jakimś miesiącu, ale konkretnej daty wskazać nie można, należy przyjąć, że osoba ta poniosła śmierć ostatniego dnia tego miesiąca – stąd 30 kwietnia. Prawdopodobnie sąd na podstawie do-

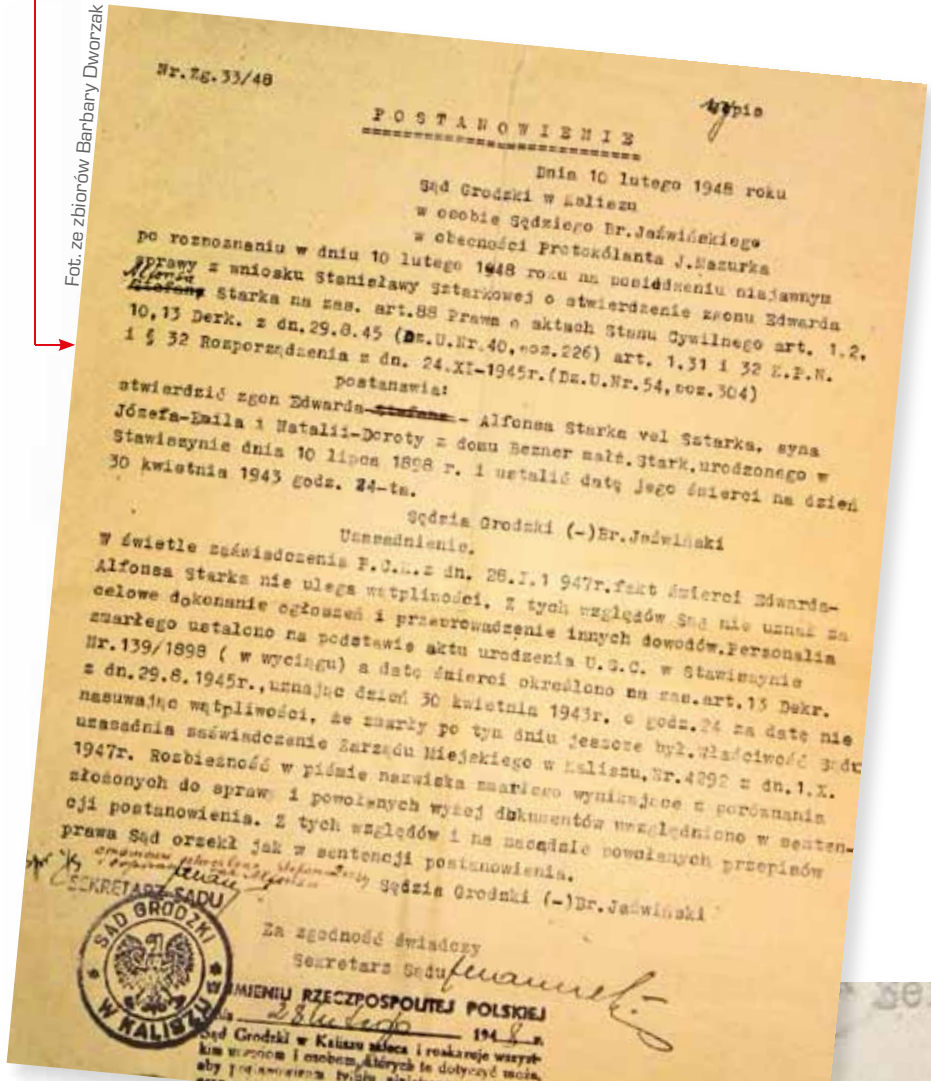
kuła kwiecień 1943 roku – czyli moment odkrycia grobów w Katyniu – jako czas śmierci Edwarda Sztarka, nie analizując, kiedy porucznik dał ostatni znak życia.

Równie nielogiczne stwierdzenie zgonu wydał Sąd Grodzki w Łodzi w maju 1950 roku: „Zbigniew Wiktor German zmarł 31 grudnia 1942 o godzinie 24 w Katyniu (ZSRR)”. Zbigniew German był jeńcem nie Kozielska, ale Starobielska, i został zamordowany w Charkowie. W tym przypadku została podana wieś Katyń na terenie Związku Sowieckiego, jednak w 1942 roku tereny te były przecież pod okupacją niemiecką, stąd też założenie, że podporucznik zginął z rąk niemieckich.

Nie można wskazać jednego schematu wszystkich postępowań w sprawach uznania za zmarłe ofiar Zbrodni Katyńskiej. Kształt postępowań zależał od wielu czynników: postawy sędziego, przedstawienia odpowiednich dowodów, wreszcie – odwagi rodzin do stwierdzenia przed sądem, że ich bliski zginął w Katyniu. Istotny wpływ na postępowania sądów miało jednak zaostrzenie się polityki w sprawie katyńskiej. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w marcu 1952 roku wydało rozporządzenie nakazujące ujawnienie i pociągnięcie do odpowiedzialności karnej osób, które rozpowszechniały „nieprawdziwe” (czyli niezgodne z komunistyczną propagandą) informacje w sprawie Katynia. Od tego momentu rodziny osób zamordowanych w Katyniu tym bardziej obawiały się występować do sądów o uznanie bliskiego za zmarłego. A jeśli to robiły, to nie przedstawiały żadnych dowodów w sprawie (np. gazet z okresu okupacji niemieckiej, gdzie pojawiały się listy ekshumowanych w Katyniu, pocztówek z obozu w Kozielsku), lecz stwierdzały najczęściej: „Zaginął podczas wojny”. Inne rodziny dopiero po upadku komunizmu w Polsce wystąpiły do sądów o uznanie bliskiej osoby za zmarłą. Czeptały, bo wcześniej obawiały się represji, szczególnie zaraz po wojnie w okresie stalinowskiego terroru. ❗

Krzysztof Łagojda – historyk, doktorant Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego, w 2014 roku laureat nagrody im. prof. Wojciecha Wrzesińskiego za najlepszą pracę magisterską z historii XX wieku

Fot. ze zbiorów Barbary Dworzak



„Olech”: przeciwko sowieckiemu terrorowi

Kazimierz Krajewski

Anatol Radziwonik „Olech” z grupą podkomendnych nie zdecydował się po wojnie ewakuować z Nowogródzczyzny, choć teren ten znalazł się w granicach Związku Sowieckiego. Żołnierze liczyli na przywrócenie Polski na Kresach Wschodnich. Jednocześnie polska partyzantka stała się samoobroną miejscowej ludności przed terrorem NKWD.

Los wschodniej połowy państwa polskiego został przesądzony w wyniku teherańskich, a następnie jałtańskich wyroków, które zapadły bez zgody rządu Rzeczypospolitej Polskiej i wbrew zasadom prawa międzynarodowego. W literaturze historycznej dotyczącej II wojny światowej i jej konsekwencji brak jest pozycji, która oddawałaby rzeczywisty dramat mieszkańców polskich Kresów Wschodnich. Mogłoby się wydawać, że obywatele polscy, zwłaszcza Polacy, których kilka milionów nadal mieszkało w chwili zakończenia wojny na tym terenie, przyjęli jałtańskie decyzje z pokorą i biernością. Prawda wygląda jednak zupełnie inaczej. Oderwanie połowy kraju i włączenie jej do innego, wrogiego przecież, państwa spotkało się z zaciekle oporem mieszkańców – zwłaszcza na terenach północno-wschodnich. Przez wiele lat kontynuowano tutaj polską konspiracyjną działalność niepodległościową i toczyły się zacięte walki partyzanckie poakowskiej samoobrony z Wojskami Wewnętrznymi NKWD.

Jednym z najdłużej trwających na straconych posterunkach polskich przywódców kresowych był ppor. Anatol Radziwonik „Olech” (używał także



► Podporucznik Anatol Radziwonik „Olech” – twórca i dowódca obwodu Szczuczyn–Lida

pseudonimów „Mruk”, „Stary”, „Ojciec”). Pochodził z polskiej rodziny prawosławnej spod Wołkowyska (sam przeszedł jednak na katolicyzm). Jako absolwent seminarium nauczycielskiego pracował w szkole w Iszczońnianach w powiecie szczuczynskim. Jeszcze przed wojną ukończył podchorążówkę, następnie awansował do stopnia podporucznika rezerwy piechoty.

W Armii Krajowej, występując pod pseudonimem „Mruk”, dowodził jedną z konspiracyjnych placówek Obwodu Szczuczyn (krypt. „Łąka”). Zimą 1944 roku przeszedł do partyzantki, gdzie dowodził plutonem w 2. kompanii w VII batalionie 77 pp AK pod komendą legendarnego por. Jana Piwnika „Ponurego”. W lipcu 1944 roku uczestniczył w marszu na północ z zadaniem udziału w operacji „Ostra Brama”. Jego jednostka nie dotarła jednak pod Wilno i dzięki temu uniknęła rozbrojenia przez wojska sowieckie. Wraz z częścią podkomendnych wymknął się bolszewikom i powrócił w ojczyste strony w powiecie szczuczynskim. Tu włączył się ponownie do pracy konspiracyjnej AK, prowadzonej pod rozkazami kolejnych komendantów Obwodu „Łąka”: chor. Wacława Ługowskiego „Stojana”, ppor. Józefa Raubo „Zenita” i st. sierż. Anatola Urbanowicza „Lalusia”.

Zimą 1944/1945 roku ppor. „Olech” zorganizował bazę samoobrony, która wchłonęła kilka mniejszych grupek poakowskich, m.in. rozbitków z oddziału ppor. Czesława Zajączkowskiego „Ragnara”. Wiosną z sił tych został sformowany silny oddział partyzancki, liczący blisko siedemdziesięciu żołnierzy. Głównym celem oddziału „Olecha” było zapewnienie bezpieczeństwa organizacji i ludności niezorganizowanej – likwidowano agenturę NKWD i szczególnie szkodliwych funkcjonariuszy aparatu okupacyjnego. Żołnierze „Olecha” odnosili sukcesy – rozbili m.in. trzy sowieckie samochody wojskowe oraz posterunek milicji w osadzie Tobała i uwalnili z aresztu kilkunastu więźniów.

Został, żeby walczyć

W okresie zarządzanej przez dowództwo wileńsko-nowogródzkiej AK ewakuacji żołnierzy za jałtańską granicę ppor. Radziwonik przeprowadził częściową demobilizację oddziału, sam jednak w poczuciu odpowiedzialności za ludzi i teren zdecydował się pozostać na Ziemiach Utraconych. Jak określały to dokumenty sowieckie, zamierzał „koryndować dalszą pracę podziemną”. Część jego podkomendnych wyjechała „do Polski” w transportach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, posługując się dostarczonymi przez organizację sfałszowanymi dokumentami. Przerzut ostatniej grupy żołnierzy w listopadzie 1945 odbył się pod kontrolą operacyjną NKWD (w odjeżdżającym z Lidy pociągu aresztowano dziewięciu akowców, kilkunastu ujęto w punkcie organizacyjnym pod Lidą). Miejsce postoju „Olecha” w chutorze Dajnowszczyzna zostało 11 listopada 1945 roku otoczone przez grupę operacyjną NKWD, Radziwonik jednak zdołał się przebić; stracił przy tym dwóch ludzi, w tym adiutanta.

Podporucznik „Olech”, który po śmierci st. sierż. Anatola Urbanowicza „Lalusia” (22 maja 1945 roku) sprawował funkcję komendanta poakowskiego Obwodu Szczuczyn–Lida, zdecydował się na dalsze kierowanie tą jednostką konspiracyjną. Jego zastępcami byli: sierż. Paweł Klikiewicz „Irena” (do śmierci w walce z MWD w maju 1947 roku), a następnie ppor. Wiktor Maleńczyk „Cygan” (do maja 1949 roku). Ten ostatni, pochodzący spod Wasiliszek, został wywieziony „za pierwszego Sowietą” na Syberię. Nie zdążył do wojsk gen. Władysława Andersa i wcielono go do armii gen. Zygmunta Berlinga. Gdy przyjechał na urlop odwiedzić rodzinę, przyszło po niego NKWD. Nie zamierzał drugi raz trafić na Sybir, stawiał opór, zabijając kilku funkcjonariuszy. Pozostał mu już tylko las.

Obwód dzielił się na placówki, nierównomiernie rozrzucone po terenie powiatów lidzkiego i szczuczynskiego. W kilku przypadkach w skład obwodu weszły całe kompanie terenowe, pozosta-

łe jeszcze po AK. Stan liczebny organizacji kierowanej przez ppor. Radziwonika oceniany był przez NKWD sowieckiej Białorusi w 1945 roku na około ośmiuset ludzi, w większości pozostających w konspiracji. Zapewne struktura zbudowana przez komendanta „Olecha” była jednak jeszcze liczniejsza, niż sądzili czełkiści. Współczesny historyk z Białorusi, Andrzej Poczobut, szacuje siły podległe „Olechowi” na tysiąc ludzi, a jego zaplecze, tj. wszystkich współpracujących, choć niezaprzyjęzonych – na kilka tysięcy. Niektóre z placówek miały patrole samoobrony, okresowo mobilizowane do działań zbrojnych. Poza siatką terenową obwód dysponował oddziałem (a właściwie zgrupowaniem) partyzanckim. Oprócz grupy stale przebywającej u boku komendanta „Olecha”, tworzyły go pododdziały dowodzone przez sierż. „Irenę”, ppor. „Cygana” i „Francuza” (Petera Fitza, Alzatzczyka, który wcielony przez Niemców do formacji budowlanych, zbiegł w 1944 roku do lasu i dołączył do oddziałów AK). Każda z tych grup miała przydzielony odrębny rejon działania („Irena” – centralną część powiatu szczuczynskiego, „Cygan” – rejon Wasiliszek i Wawiórki, „Francuz” – okolice Nowego Dworu i Zabłocia).

Nie tylko Polacy

W szeregach konspiracji i partyzantki dowodzonej przez „Olecha” panował prawdziwie obywatelski duch, wywodzący się z tradycji Armii Krajowej. Służyli tu obok siebie przedwojenni obywatele Rzeczypospolitej bez względu na wyznanie. W oddziałach „Olecha” walczyli także antykomuniści niebędący Polakami – pojedynczy ochotnicy narodowości ukraińskiej lub rosyjskiej. Jeden z nich, lejtnant Armii Sowieckiej o pseudonimie „Zielony” (Ukrainiec), wstąpił się ogromną odwagą w walkach z NKWD. Także w pracy na rzecz organizacji siatki terenowej komendant „Olech” wykorzystywał Białorusinów i Rosjan zatrudnionych w różnych sowieckich instytucjach. Pracowało dla niego sporo urzędników sowieckiej administracji terenowej, miał „wtyczki” ponoć nawet w grodzieńskiej ➤



Fot. ze zbiorów autora

► Żołnierze oddziału „Olecha”

milicji i prokuraturze. Motywacje tych ludzi były zapewne złożone, jest jednak jasne, że stając po stronie polskich niepodległościowców, opowiadali się za wolnością – przeciwko systemowi sowieckiemu, będącemu jej zaprzeczeniem. Choć lata okupacji niemieckiej na kresach północno-wschodnich spotęgowały konflikty narodowościowe wśród zamieszkujących je społeczności, umiejętnie rozgrywane przez Sowieców, to jednak ostatni polscy niepodległościowcy okazali się zdolni do odrzucenia tego balastu przeszłości. Już sam udział nie-Polaków w tworzeniu organizacji pokazuje, że żołnierze Radziwonika nie byli, jak twierdziła propaganda bolszewicka, „zaślepionymi polskimi nacjonalistami”. Oddziały „Olecha” stykały się z antykomunistyczną partyzantką litewską, zachowując z nią poprawne stosunki. Polskie obozowisko w uroczysku Horiaczy Bór stało się nawet przez pewien czas schronieniem dla jednego z tych oddziałów.

Tak wspomina codzienne bytowanie oddziału „Olecha” jeden z nielicznych, ocalałych żołnierzy, Witold Wróblewski „Dzięcioł”: „Mieliśmy takie jedno ulubione i względnie bezpieczne miejsce – polanę Horiaczy Bór. Było to trudno dostępne uroczysko, położone w głębi

rozległych, nadniemeńskich borów. [...] Dzień rozpoczynała pobudka, wkrótce stawaliśmy w szeregach, z bronią w rękę do modlitwy porannej pod krzyżem na polanie. W dalszej kolejności zajmowaliśmy się czyszczeniem broni. Często po obiedzie odbywały się ćwiczenia taktyczne. [...] Przez cały czas pełniliśmy służbę wartowniczą. Żołnierze na posterunkach zmieniali się co dwie godziny. Komendant sprawdzał, czy partyzanci pełnią tę służbę z wystarczającą czujnością. Był też czas na odpoczynek. [...] Zawsze wymagano od nas odpowiedniej dyscypliny, zachowania spokoju i nadziei w najbardziej krytycznej sytuacji. Każdy dzień kończyła wspólna modlitwa wieczorna na polanie przed krzyżem”.

Organizacja zbudowana przez „Olecha” nie miała żadnego kontaktu z kierownictwem polskiego podziemia niepodległościowego za jałtańską granicą. Utrzymywała natomiast kontakty z pokąskimi ośrodkami konspiracyjnymi w powiatach grodzieńskim i wołkowyskim, a także z kilkoma luźnymi polskimi oddziałami partyzanckimi, głównie z powiatu (według sowieckiego nazewnictwa: rejonu) lidzkiego, dowodzonymi przez Jana Bukatkę i Michała Durysa.

Ukarac Sowieców dla przykładu

Działalność organizacji „Olecha” miała dwa wymiary. W perspektywie spodziewanego konfliktu wolnego świata z blokiem sowieckim wydawało się, że polska zbrojna obecność na Ziemiach Utraconych ma znaczenie zasadnicze. Sam „Olecha” w rozmowach z podkomendnymi podkreślał, że nadal są oni wojskiem polskim w konspiracji, że w momencie przełomowym oni będą przywracać tu Polskę. Z drugiej strony partyzantka miała zadania i cele doraźne. Była samoobroną miejscowego społeczeństwa przed terrorem NKWD, nadużyciami i bezprawiem przedstawicieli władz sowieckich. Szczególnie surowo zwalczano pracowników administracji okrutnie odnoszących się do ludności. Konsekwentnie likwidowano agenturę NKWD, której działalność stwarzała sowieckim siłom bezpieczeństwa podstawę do działań represyjnych wobec ludności cywilnej. Zdobywano też środki materialne potrzebne do finansowania pracy organizacji (m.in. podczas akcji na agencje bankowe w Nowym Dworze i Wasiliszkach). Wspomniany „Dzięcioł” tak charakteryzuje działania prowadzone przez oddział: „Organizowaliśmy zamachy na różnych [sowieckich] naganiaczy, agitatorów, funkcjonariuszy partyjnych, którzy zapędzali ludzi do kołchozów. Niszczyliśmy pierwsze urządzenia kołchozowe. Broniliśmy ludzi przed grabieżą ich ojcowizny, przed sowieckim niewolnictwem”. Józef Berdowski „Ziuk” dodaje: „Niestety czasami akcje nasze były bardzo surowe. Trzeba [było] mocno ukarać, czasem dla przykładu, i dla zastraszenia. Ale innej rady nie było. Albo walka, albo nic. Byliśmy w warunkach bardzo trudnych, było nas niewiele. Terror ze strony władz sowieckich był szalony. [...] Dzięki naszej samoobronie to się jakoś łagodziło”.

„Olecha” starał się także podtrzymywać na duchu mieszkańców powiatów szczuczyńskiego i lidzkiego. W bazie oddziału znajdował się odbiornik radiowy z anteną umocowaną na sośnie. Dzięki niemu partyzanci mieli dostęp do informacji przekazywanych przez polskoję-

zyczne rozgłosnie funkcjonujące w wolnym świecie. Upowszechniano je wśród członków organizacji i ludności za pośrednictwem gazetki „Świtez”. Ponadto sporządzano okolicznościowe ulotki i proklamacje, pozostawiane w terenie m.in. po wykonanych akcjach. Informowano w nich, dlaczego w stosunku do szczególnie szkodliwych, nieludzkich pracowników sowieckiego aparatu okupacyjnego są podejmowane akcje odwetowe. Z reguły czyniono tak po zlikwidowaniu jakiegos bolszewickiego „asa”.

Mimo skrajnie trudnych warunków organizacja polska w powiatach szczuczynskim i lidzkim przez pierwsze cztery lata po wojnie, dzięki poparciu ludności, trzymała się całkiem nieźle. Szef NKWD obwodu grodzieńskiego w jednym z raportów pisał do sekretarza Obwodowego Komitetu Komunistycznej Partii (bolszewików) Białorusi w Grodnie, Sergiusza Prytyckiego: „Członkowie bandy »Olecha« od 1945 r. do czerwca 1946 r. dokonali na terytorium rejonów wołkowyskiego, lidzkiego, żołudzkiego, szczuczynskiego, wasiliskiego i raduńskiego 115 aktów terrorystycznych, które dotknęły miejscową ludność [donosicieli, agentów i sowieckich współpracowników – przyp. KK] oraz aktyw [sowiecki]”. Andrzej Poczobut ocenia, że „jeszcze w 1948 r. na terenie rejonów lidzkiego i szczuczynskiego (oblasti grodzieńskiej) faktycznie panowała dwuwładza. W dzień rządząli komuniści, w nocy – partyzanci”.

Witold Wróblewski wspomina: „Kiedy wstępowaliśmy do jakiejś chaty, nie pytaliśmy, czy gospodarz jest Polakiem,

Białorusinem czy »tutejszym«, czy rodzina jest katolicka czy prawosławna. Było to dla nas obojętne. Wszyscy mieszkańcy byli gościnni – i przyjmowali nas – jak to się mówi – czym chata bogata. System sowiecki był tak absurdalny i zbrodniczy, że nikt z nas nie wierzył w jego trwałość. Byliśmy przekonani, że prędzej czy później runie cały porządek komunistyczny w Europie, a ziemie kresowe powrócą do wolnej i niepodległej Polski. Co więcej, wierzyła w to znaczna część ludności – katolickiej i prawosławnej. Ciężkie przeżycia wojenne oraz nowe przejawy sowieckiej przemocy jeszcze bardziej utrwalały tę nadzieję”.

Walka z kołchozami

Największe nasilenie wystąpień zbrojnych oddziałów podlegających „Olechowi” przypada na drugą połowę 1948 roku. Podjęły one wówczas szeroko zakrojoną akcję przeciwko kolektywizacji przeprowadzanej przez administrację sowiecką. Zniszczono kilkanaście organizujących się kołchozów, likwidując jednocześnie najbardziej szkodliwych aktywistów sowieckich. Działania te

zahamowały pierwszą fazę kolektywizacji na terenie objętym działalnością „Olecha”. Dopiero po całkowitym zlikwidowaniu zorganizowanej polskiej partyzantki udało się władzom sowieckim zapędzić ludność do kołchozów, zmuszając ją do tego rujnującymi podatkami i obowiązkowymi dostawami.

10 września 1948 roku grupa „Cygana” rozbiła urząd pocztowy w Wawiórcie. Trzy dni wcześniej grupa „Francuza” zlikwidowała nowo utworzony kołchoz im. Klimienta Woroszyłowa (gmina Nowy Dwór), przy czym wykonano wyroki śmierci na szczególnie szkodliwych, znenawidzonych przez ludność, aktywistach sowieckich. Nocą z 10 na 11 listopada grupa „Cygana” spaliła wielki wzorcowy kołchoz im. Stalina w Kulbaczynie, niszcząc budynki, obory z inwentarzem i sterty ze zbiorami. Rozbito piętnastoosobowy posterunek NKWD ochraniający obiekt. 15 grudnia w Papierni (rejon lidzki) zlikwidowano oficera NKWD Iwana Strelnikowa, a 14 lutego 1949 roku – oficera NKWD Iwana Noskowa. Wcześniej, 20 stycznia, partyzancki patrol zniszczył mleczarnię ▶

▶ Oddział „Olecha” podczas ćwiczeń w terenie; 1945 rok



kontyngentową (czyli taką, do której ludzie z odległych nawet wiosek musieli dostarczać mleko według wygórowanych limitów) pod Ostryną i zlikwidował funkcjonariusza administracji za to, że ten źle traktował miejscową ludność. Nie znamy dokładnej daty akcji wykonanej w 1948 roku, polegającej na ujęciu dwóch urzędników sowieckich określanych przez ludność jako „instruktorzy przysłani z Moskwy”, odznaczających się bezlitosnym stosunkiem do chłopów. Powieszono ich na słupach telegraficznych przy drodze do Szczuczyna – na postrach dla innych nadgorliwych pracowników aparatu sowieckiego.

Zimą 1949 roku siły bezpieczeństwa Związku Sowieckiego przystąpiły do ostatecznej rozprawy z oddziałami „Olecha”. Rozpoczęła się seria obław i operacji poprzedzonych pracą agentów. Użyto olbrzymich sił Wojsk Wewnętrznych NKWD. Rejony, w których agentura lokalizowała obecność grup partyzanckich, były otaczane kilkakrotnymi pierścieniami wojsk NKWD i dokładnie penetrowane. Szanse na wydostanie się z takich kotłów były minimalne.

Z 19 na 20 marca 1949 roku w zasadzkę zorganizowaną przez Grupę Operacyjną Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MGB) sowieckiej Białorusi we wsi Lebidki (rej. Wasiliszki) wpadł ppor. Witold Maleńczyk „Cygan”. Zginął w czasie walki, a w ręce bolszewików dostał się wówczas partyzant Franciszek Krupowicz „Smok”. Również w marcu grupa operacyjna NKWD i MWD z Grodna zaatakowała bazę oddziału „Olecha” w uroczysku Horiaczy Bór, w której znajdował się wówczas jedynie patrol Petera Fitza „Francuza”. Oprócz niego polegli partyzanci: Mikołaj Jurasow, Anatol Żuk i Aleksander Lebedowicz, a ciężko rannego Antoniego Daszkiewicza „Czaropkę” czekiści wzięli żywcem.

Komendant „Olech” ze swym oddziałem coraz częściej obozował w lasach – nie zachodził do wsi i chutorów, chcąc w ten sposób uchronić ludność od represji sowieckich.

24 kwietnia 1949 roku grupa operacyjna NKWD przeprowadziła operację przeciwko oddziałowi ppor. „Olecha”, kwaterującemu w lesie nad Lebiodą w pobliżu wsi Stankiewicze (której mieszkańcy wspomagali partyzantów). „Olech”, mający wówczas ze sobą siedemnastu żołnierzy, zdołał wyrwać się z okrążenia, tracąc jednego poległego (Wacław Szturma „Doktor” ze wsi Wołoka); ranny Witold Wróblewski „Dzięcioł” zdołał się wycofać. Następnego dnia podczas operacji prowadzonej w Niecieczy czekiści zamordowali Jadwigę Kuczurę, siostrę akowca poległego w jednej z wcześniejszych walk (zastrzelono ją jakoby podczas próby ucieczki).

W kleszczach NKWD

Dwa tygodnie później, 12 maja, w trakcie kolejnej operacji sowieckiej, do której użyto znacznych sił 284. pułku MWD kwaterującego w Grodnie, okrążono oddział „Olecha” obozujący nad Niewiszą pod wsią Raczkowszczyzna. Tym razem oddział został rozbity i zlikwidowany. Podczas desperackiej próby przebicia się przez pierścień obławy blokujący teren operacji poległo kilku partyzantów, wśród nich – ostrzeliwu-

jący się do końca – komendant „Olech” (wraz z nim zginęli też partyzanci „Przybysz” i „Bolek”). W ręce Sowieków wpadli ranni Zygmunt Olechnowicz „Zygma” – adiutant komendanta, Witold Wróblewski „Dzięcioł” i jego siostra, łączniczka Genowefa Wróblewska. Pościg za rozbitym oddziałem był kontynuowany jeszcze przez kilka kolejnych dni. 14 maja 1949 roku podczas starcia w lesie koło Rudy Lipiczańskiej polegli partyzanci „Mściel” i „Jasiuk”.

Schwytani żołnierze „Olecha” zostali skazani na 25 lat łagru. „Zygma” po zwolnieniu z obozu w 1964 roku powrócił do Lidy, skąd zamierzał wyjechać do rodziny w Polsce. Zniknął jednak bez śladu. Dopiero niedawno wyjaśniło się, że nie pozwolono mu na opuszczenie Związku Sowieckiego i zamknięto go w psychuzce (rodzina poszukiwała go przez lata).

Choć kilku partyzantów zdołało się wyrwać z obławy, sukces NKWD był całkowity – polskiemu podziemiu zadano definitywny cios, pozbawiając go ośrodka dowódczego. Ani oddział partyzancki, ani dowództwo obwodu nie zostały już odbudowane. Z okrążenia pod Raczkowszczyzną wydostał się jeden z dowódców pododdziałów,

► „Olech” siedzi (w środku) ze swymi żołnierzami



Fot. ze zbiorów autora



► Oddział „Irena” ze zgrupowania „Olecha”, wiosna 1947 roku; w środku komendant „Olech”, z prawej jego zastępca Paweł Klikowicz „Irena” (zginął wkrótce po wykonaniu tego zdjęcia)

Wacław Szwarobowicz „Kiepora”. Przez kilka kolejnych miesięcy działał z kilkoma już tylko towarzyszami broni. 29 października 1949 roku NKWD zlokalizował go w jednej z wiosek pod Wasiliszkami. „Kiepora” poległ podczas próby przebicia się – wraz z partyzantem Bronisławem Gławnickim „Lisem” oraz członkiem siatki, Markiewiczem. Podczas starcia zdążył zastrzelić sierżanta Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

27 sierpnia 1949 roku sowiecka grupa operacyjna rozbiła w Łozanach k. Toboły patrol partyzancki dowodzony przez Białowąsa (jego podkomendni mieli na swym koncie spalenie spółdzielni w Tobole i w zastrzelenie w Jamontach kilku osób zachęcających ludzi do zapisania się do kolchozu).

Operacjom przeciwko ostatnim grupkom partyzanckim wywodzącym się z oddziału „Olecha” towarzyszyły masowe aresztowania w polskich wioskach podejrzanych o nastawienie antysowieckie i wspomaganie „band”.

Sowieckie służby specjalne aresztowały 279 żołnierzy konspiracji Obwodu 49/76, których oskarżono o „terroryzm, rabunki i pomoc partyzantom”. W Stankiewiczach aresztowano np. trzydzieści osób, które oskarżono o udzielanie pomocy „Olechowi”. Tamtejsza placówka AK została rozbita, a jej komendant, Roman Kulesza „Andrzej”, wpadł w ręce NKWD.

Natalia Rybak, badaczka z Białorusi, wymienia także działające na Nowogródczyźnie, zlikwidowane w końcu lat czterdziestych, polskie grupy zbrojne Antoniego Łojki „Bałaja” (rejon żołudzki) i Stanisława Tankiewicza (rejon Wasiliszki i Sobakińce). Zapewne one także były pozostałością po strukturach podlegających komendantowi „Olechowi”.

Sowiecka bezpieka w ciągu 1949 roku złamała zorganizowany polski opór w rejonach szczuczyńskim i lidzkim. Komendy Obwodu Szczuczyn–Lida nie udało się już odbudować, większość placówek rozbiły aresztowania, oddziały partyzanckie wykru-

szyły się w czasie walk i potyczek. Polski opór tlił się tutaj jeszcze przez kilka lat, lecz nie miał już zorganizowanego charakteru. Działały już tylko kilku-, a nawet kilkunastoosobowe grupki partyzanckie, wybijane przez kolejne obławy i operacje NKWD. Później opór stawiali jeszcze pojedynczy partyzanci, kryjący się z bronią w ręku przez kilka dalszych lat.

Dowodzony przez ppor. Anatola Radziwonika „Olecha” Obwód Szczuczyn–Lida był największą, ale niejedyną polską strukturą niepodległościową na ziemi nowogródzkiej w latach 1945–1949. Działało tam kilkadziesiąt oddziałów i grup leśnych oraz struktur konspiracyjnych, trwających często jeszcze do początku lat pięćdziesiątych. Historia każdej z nich – to świadectwo wierności społeczeństwa kresowego wobec Polski i jego przywiązania do wolności. ■

dr Kazimierz Krajewski – historyk, kierownik Referatu Badań Naukowych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, prezes Nowogródzkiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK

Pod okiem „Henryka”

Filip Gańczak



Fot. rep. Mateusz Ochocki/KFP

W latach osiemdziesiątych Donald Tusk był inwigilowany przez wschodnioniemiecką bezpiekę. Zdobytymi informacjami Stasi dzieliła się z polską SB.

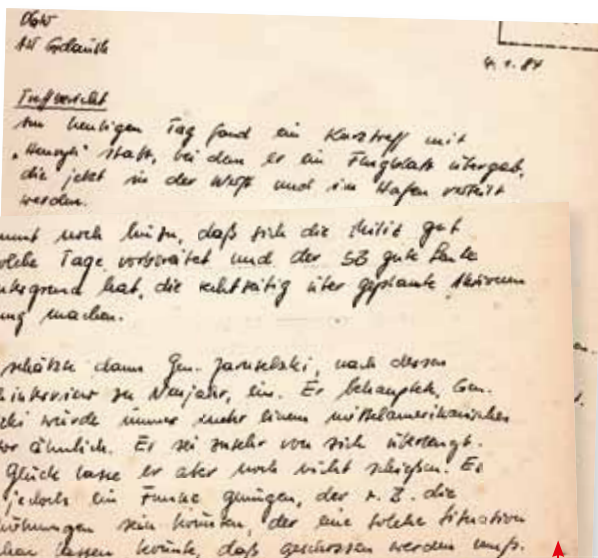
► Detlef Ruser (z lewej) oraz przyjaciele z redakcji „Samorządności”: Grzegorz Fortuna, Donald Tusk, Ewa Górńska; początek lat osiemdziesiątych

Powiedzieć, że byli przyjaciółmi, to przesada. Ale znajomymi – owszem. Donald Tusk – młody historyk, opozycyjny dziennikarz, od 1983 roku redaktor podziemnego „Przeglądu Politycznego”. Detlef Ruser – starszy o dwie dekady naukowiec z komunistycznej NRD, przez polskich przyjaciół zwany Heniem. Przez kilka lat bywa gościem w domu Tuska. O tych wizytach na bieżąco informuje oficera prowadzącego. Ruser jest wówczas zarejestrowany jako tajny współpracownik Ministerstwa Bez-

pieczeństwa Państwowego NRD, czyli niesławnej Stasi. W raportach „Henryka” – bo takim pseudonimem posługuje się wschodnioniemiecki naukowiec w kontaktach z rodzimą bezpieką – Tusk często jest nazywany po prostu Donaldem.

O informatorze Stasi w otoczeniu przyszłego premiera RP wspominali już Andrzej Stankiewicz i Piotr Śmiłowicz, autorzy wydanej w 2008 roku biografii *Donald Tusk. Droga do władzy*. Rok później wspólnie opisałmy tę historię na

łamach „Newsweeka”. W archiwum BStU – niemieckiego odpowiednika Instytutu Pamięci Narodowej – uzyskałem wgląd w materiały, które wówczas



Fot. BStU

ROZMOWY KONTROLOWANE

8 marca 1982 roku

Stan wojenny. Donald Tusk pracuje w wydawnictwie książkowym Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Według relacji „Henryka”, nie widzi sensu życia i dlatego może się poświęcić działalności opozycyjnej. Zaopatrzenie jest złe, Tusk nie ma mieszkania i jest przekonany, że nigdy go nie dostanie.

21 lipca 1983 roku

Stasi wie już, że Donald Tusk jest zaangażowany w druk i dystrybucję nielegalnych czasopism.

9 września 1983 roku

„Henryk” przynosi oficerowi materiały Ruchu Młodej Polski, w tym artykuł Aleksandra

Halla *Próba spojrzenia*. „Henryk” otrzymał te publikacje od Donalda Tuska i przypuszcza, że ten zna miejsce ukrywania się Halla.

13 października 1983 roku

„Henryk” informuje, że redakcja podziemnego „Przeglądu Politycznego”, dla którego pracuje

Donald Tusk, mieści się prawdopodobnie w pobliżu stacji kolejki w Sopocie.

4 stycznia 1984 roku

W rozmowie z „Henrykiem” Donald Tusk wypowiada się o premierze PRL Wojciechu Jaruzelskim: „Twierdził, że gen. Jaruzelski coraz bardziej przypomi-

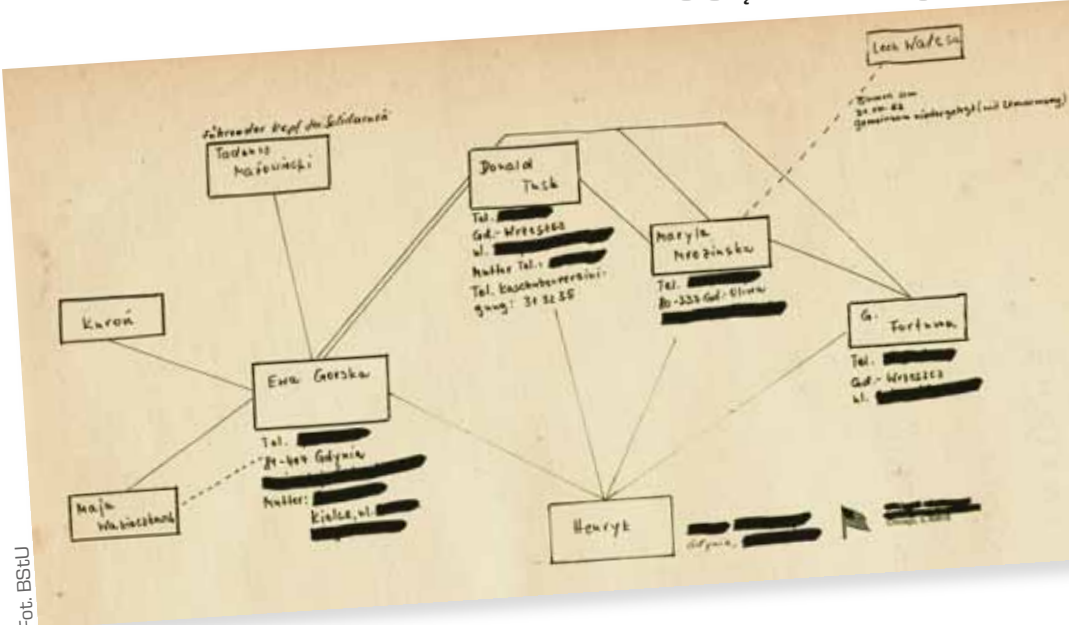
► Sieć kontaktów „Henryka” już w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych obejmowała Donalda Tuska, z czasem – także Bogdana Borusewicza czy Lecha Kaczyńskiego

nie były nam znane. Wzmianki o Donaldzie Tusku odnalazłem też w archiwum gdańskiego IPN. Wszystko to składa się na dość spójny obraz inwigilacji, której był poddany dzisiejszy przewodniczący Rady Europejskiej.

Taśmy i numery telefonów

Marzec 1981 roku. W Polsce goszczą „Christian” i „Christiane” – enerdowskie małżeństwo zwerbrowane przez Stasi. Od znajomego z pomorskiej Rumi dowiadują się o Donaldzie Tusku – dziennikarzu związanym z Solidarnością, który gościł w Lipsku i przejrzał tamtejszy partyjny dziennik „Leipziger Volkszeitung”, by napisać, jak prasa w NRD wy-
powiada się o wydawnictwach w PRL. „Christian” i „Christiane” przypuszczają, że Donald Tusk to... dziennikarski pseudonim.

To jednak nie oni będą dla wschodnioniemieckiej bezpieki głównym źródłem informacji o młodym polskim opozycjonście. Tę rolę szybko przejmie Ruser. Zwerbowany przez Stasi w 1971 roku, jeszcze w czasie pracy w Rostoku, używa początkowo pseudonimu „Hermann”, a od 1976 roku – „Henryk”. Chętnie bywa w Polsce, łatwo nawiązuje kontakty. „Dorabiałam, ucząc polskiego, a on był w grupie Niemców, których uczyłam – wspomi-



Fot. BStU

na w książce Stankiewicz i Śmiłowicza Ewa Górska. – To ja przedstawiłam Rusera Donaldowi” – dodaje. Górska i Tusk to dobrzy znajomi. Na początku lat osiemdziesiątych pracują w Wydawnictwie Morskim w Gdańsku, redagują „Samorządność” – bliski Solidarności

sander Hall, lider Ruchu Młodej Polski. Bądkowski również zabiera głos. „Henryk” odnotuje, że w prezydium siedzieli także Donald Tusk, redaktor „Samorządności”, i Grzegorz Fortuna. Po spotkaniu Tusk sprzedaje biuletyn, który „Henryk” pozyskał już wcześniej z innego źródła.

Ich hatte das Glück, am 30. Juni eingeladen werden zum 2. Plenum dieses Clubs. Das 1. hatten wir ja hier im Juni noch besprochen, wovon ich ja diese Übersetzung über den Verlauf zu machen hatte. Es war also wieder die gleiche Menge von Teilnehmern, etwa 45. Sie tagten in dem Verlag "Wydawnictwo Morskie" in Gdansk, in der uliza Shiroka. Sie haben als Thema ihres Plenums den IX. Parteitag der PVAP gewählt.
Einen Vortrag hielt Aleksander Hall, über den ich bereits sprach. Es brachte sein Kofereferat dazu Lech Ba - kowski. Im Präsidium saßen weiterhin Donald Tusk, ein Redakteur der "Samorządność", der Spalte von Solidarnosc, vier sind es nur, der vierte heißt Fortuna, Grzegorz, dieser Tusk hat dann so ein Bulletin verkauft, was ich

Fot. BStU

dodatek do „Dziennika Bałtyckiego” – udzielają się w Klubie Myśli Politycznej im. Konstytucji 3 Maja.
30 czerwca 1981 roku „Henryk” gości na spotkaniu klubu, prowadzonego przez Lecha Bądkowskiego, znanego w Trójmieście pisarza związanego z opozycją. W budynku Wydawnictwa Morskiego przy ul. Szerokiej w Gdańsku zbiera się ok. 45 osób. Wykład wygłasza Alek-

Czy to właśnie wtedy zostają sobie przedstawieni? Z zachowanej dokumentacji wynika, że bliższa znajomość rodzi się nieco później. Tusk i „Henryk” dotyczą gorących tematów polskiej opozycji: śmiertelnego

pobicia przez milicjantów Grzegorza Przemyska, zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki czy aresztowania Bogdana Lisa, ukrywającego się po wprowadzeniu stanu wojennego. Gdy Tusk przeżywa trudne chwile, niemiecki znajomy oferuje mu „finansową i moralną pomoc”, w tym nocleg w swoim mieszkaniu.

Kariera przybysza z NRD układa się pomyślnie. Od 1981 roku Ruser ►

na południowoamerykańskiego dyktatora. Jest zbyt pewny siebie. Na szczęście jednak nie każe na razie strzelać. Mogłaby jednak wystarczyć iskra, [...] np. [...] podwyżki cen, by powstała taka sytuacja, że trzeba strzelać. Policja nie może jednak zawsze tylko strzelać, rząd nie uniknie negocjacji i porozumienia z So-

lidarnością. Prędzej czy później musi przystać na jej propozycje”.

26 stycznia 1984 roku

„Henryk” spekuluje, że Donald Tusk nie ma regularnego kontaktu z ukrywającym się Bogdanem Borusewiczem, mógłby go jednak ustanowić „dla R.”. Chodzi prawdopodobnie o Różę, siostrę Borusewicza.

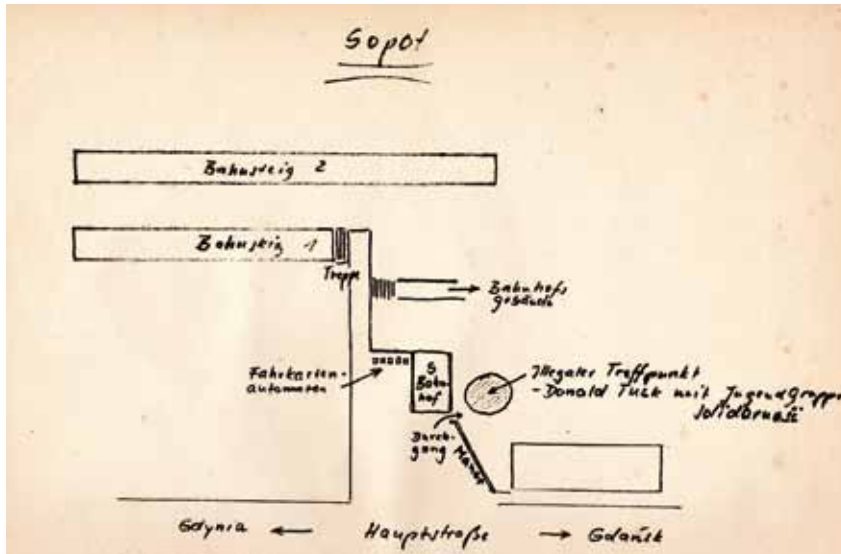
19 marca 1984 roku

„Henryk” informuje, że 14 marca Donald Tusk słuchał nadającego nielegalnie Radia „Solidarność”. Dźwięk miał być bardzo dobrej jakości.

5 grudnia 1984 roku

Według „Henryka”, Donald Tusk jest przekonany, że wypadek

samochodowy, w którym zginęło trzech funkcjonariuszy MSW, nie był przypadkiem. Pułkownik Stanisław Trafalski, prowadzący śledztwo w związku z zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki, wiedział – zdaniem Tuska – zbyt dużo i musiał zostać usunięty. ►



Fot. BStU



odbywa staż naukowy na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej. Dwa lata później zostaje zatrudniony w tamtejszym Zakładzie Hydroakustyki jako adiunkt. Równolegle ma jeszcze inne – nieoficjalne – zajęcia, za które jest nagradzany. Na zlecenie Stasi przygląda się trójmiejskiej opozycji. W czasie rozmów z oficerem „Henryk” sporządza szkic rzekomego miejsca spotkań Donalda Tuska z „grupą młodzieżową Solidarności”, przekazuje egzemplarze prasy podziemnej, które dostał od młodego polskiego historyka, podaje m.in. numery telefonów Tuska i jego pseudonim używany w podziemnej prasie. Ten ostatni z błędem – zamiast Anny Barycz mamy więc w aktach Annę Bajacz.

W latach dziewięćdziesiątych Ruser dołącza do swoich teczek w BStU obszernie wyjaśnienia. Twierdzi, że starał się prowadzić grę ze Stasi: dostarczał wielu nieistotnych szczegółów, które nie stanowiły dla polskiej opozycji tajemnicy, a których ewentualne potwierdzenie kosztowało bezpieczeństwo wiele wysiłku. Oficerowie – jak przekonuje – brali wszystko za dobrą monetę i nie przysłali na jego miejsce „prawdziwego szpicla”. Brzmi to wszystko mało wiarygodnie.

Przyjmijmy, że numery telefonów każdy mógł znaleźć w książce telefonicznej. Ale już nie informacje o pseudonimach autorów drugiego obiegu. Z drugiej strony – w żadnym z raportów „Henryka” nie znajdziemy adresów podziemnych drukarni ani miejsc ukrywania się czo-

łowych opozycjonistów. Nie chciał ich wydać – czy zwyczajnie nie potrafił tego ustalić? W książce *Donald Tusk. Droga do władzy* Ewa Górka mówi o „Henryku”: „na tajne spotkania go nie zapraszaliśmy”. Nie trzeba jednak być na spotkaniu, by je później zrelacjonować.

W czerwcu 1983 roku grupa trójmiejskich opozycjonistów podejmuje Günthera Grassa, znanego pisarza z RFN, późniejszego noblistę, gdańszczanina z pochodzenia. Funkcję tłumacza pełni pisarz Bolesław Fac. „Henryk” twierdzi jednak, że rozmowę zdominował Tusk, znający język niemiecki.

Grass gościł wcześniej w Nikaragui i stawia tamtejszych sandinistów za wzór dla polskiej opozycji. „Donald był zły na GG, bo ten często wykorzystywał



Fot. AIPN

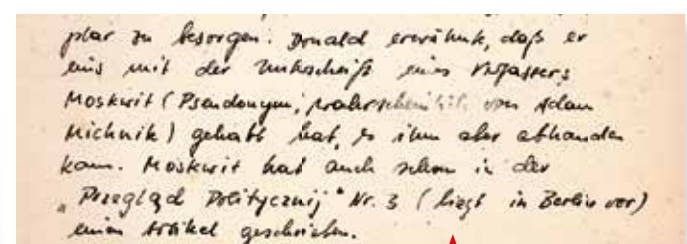
25 lutego 1985 roku

Podpułkownik Hans Gottschling ze Stasi informuje płk. Władysława Kucę z SB, że Tusk liczy się z aresztowaniem w najbliższych dniach.

19 marca 1985 roku

Donald Tusk oznajmia „Henrykowi”, że wspólnie z dawnymi

kolegami z Niezależnego Zrzeszenia Studentów chce podjąć niebezpieczną, ale dobrze płatną pracę, taką jak np. malowanie kominów. Z kolei w maju Tusk planuje wraz z żoną pojechać do Paryża, by odwiedzić redakcję „Kultury” Jerzego Giedroycia. Jedne i drugie plany udaje się zrealizować.



Fot. BStU

8 października 1985 roku

5 października „Henryk” organizuje spotkanie Donalda Tuska z Józefem Borusewiczem, bratem Bogdana. Józef Borusewicz – jako znający się na fotografii – oferuje ponoć Tusko wi pomoc techniczną w sprawach związanych z podziemną drukarnią. Dyskusja schodzi na

Marcina Moskita, który publikował w numerze 3 „Przeгляdu Politycznego”. „Henryk” błędnie przypuszcza, że to pseudonim Adama Michnika. W rzeczywistości – trójmiejskiego dziennikarza Zbigniewa Gacha, współautora głośnej książki drugiego obiegu *Konspira. Rzecz o podziemnej „Solidarności”*.

do porównań Nikaraguę, a Donald nie godził się na porównywanie Polski z krajem nierozwiniętym” – relacjonuje „Henryk”. Grass też jest zszokowany, bo młodzi Polacy chwalą politykę prezydenta USA Ronalda Reagana i brytyjskiej premier Margaret Thatcher. Politykę, którą on – pisarz bliski zachodniemieckim socjaldemokratom – nazywa imperialistyczną.

Ponoć przed spotkaniem Grass kilkakrotnie zmienia taksówkę, by zgubić ogon bezpieczeństwa. Zapis rozmowy i tak jednak trafia w ręce Stasi. Taśmy przynosi „Henryk”, który zgrał je od Donalda Tuska. Oficer ocenia, że jakość dźwięku jest dobra.

Czy młody Donald Tusk ufa niemieckiemu znajomemu? Zachowane dokumenty nie dają jednoznacznej odpowiedzi. W czerwcu 1984 roku „Henryk” skarży się oficerowi Stasi, że w ostatnim czasie Tusk trzykrotnie bez podania powodu nie przybył na umówione spotkania. Ale później kontakty odżywają. Tusk umożliwia nawet „Henrykowi” publikację na łamach „Przeglądu Politycznego”. Tak powstaje artykuł „List zza Odry”, podpisany pseudonimem Hans Schmidt. Autor przedstawia się jako „gorący sympatyk polskich ruchów niezależnych”. Zarazem przekonuje, że opozycja w PRL nie powinna popierać zjednoczenia Niemiec, bo jest to „błędne i szkodliwe dla Polski”.

W kajdankach do Gdańska

22 lipca 1983 roku, komunistyczne święto Odrodzenia Polski. Grono znajomych z trójmiejskiej opozycji planuje spotka-

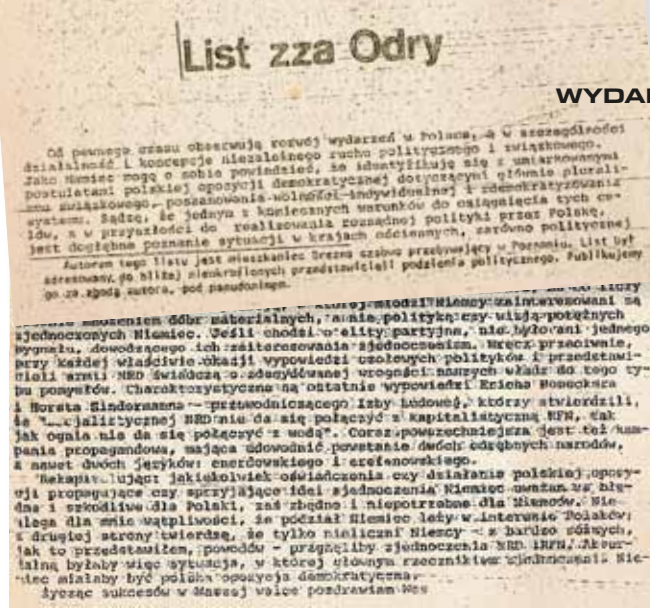
nie w Łączyńskiej Hucie na Kaszubach. Ale na miejscu bezpieka organizuje kocioł. Najpierw zostaje zatrzymany Piotr Kapczyński. Później podobny los spotyka – ukrywającego się od prawie roku – Krzysztofa Wyszowskiego. Wpadają również Tusk, Wojciech Duda, Wojciech Fułek i Jacek Kozłowski z redakcji „Przeglądu Politycznego”. W esbeckich aktach czytamy, że „pod pozorem wycieczki turystycznej” przynieśli na spotkanie „nielegalne wydawnictwa o treściach antypaństwowych”.

Według sprawozdania „Henryka”, Tusk zostaje przewieziony do Gdańska w kajdankach i przez 40 minut jest przesłuchiwany przez SB. Funkcjonariusze straszą go siedmioletnim więzieniem. Ale dodają, że może też złożyć obszerną relację ze swojej działalności i skorzystać z amnestii. „Następnie T. został doprowadzony do komendatury policji, tam raz jeszcze przesłuchany przez trzy godziny. Trafił potem do więzienia i został zwolniony wieczorem 23 lipca” – raportuje „Henryk”. Równie szybko wychodzą inni. Typowo zatrzymania na 48 godzin.

Gdańskiem, współpraca ta jest już mniej intensywna. Tusk nie ma żadnych nowych wydawnictw dla „Henryka”.

28 listopada 1986 roku

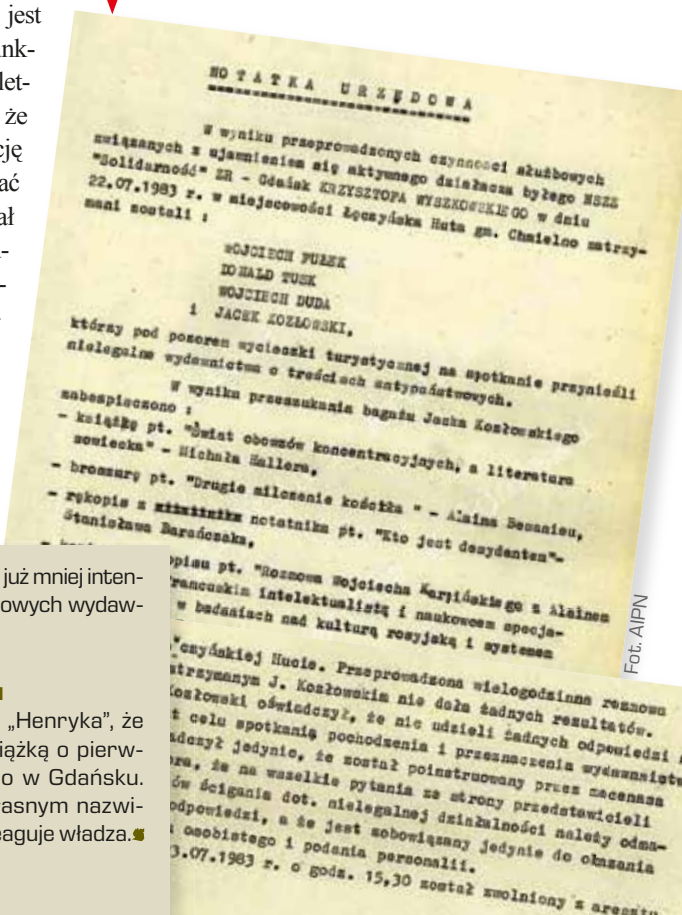
Józef Borusewicz informuje „Henryka”, że Donald Tusk pracuje nad książką o pierwszym roku stanu wojennego w Gdańsku. Chce ją opublikować pod własnym nazwiskiem, żeby zobaczyć, jak zareaguje władza.



Mecenas Jacek Taylor, obrońca w procesach politycznych, uspokaja młodych opozycjonistów, że dojdzie co najwyżej do rewizji. Z zachowanej dokumentacji wynika, że już wieczorem 22 lipca milicja przeszukuje gdańskie mieszkanie przy ul. Ludowej, w którym Tusk jest zameldowany. Rewizja nic nie daje, bo młody historyk już tam nie mieszka. Według „Henryka”, Tusk po

wyjściu na wolność natychmiast czyści swoje lokum z wydawnictw drugiego obiegu. Pakuje je w torby i dostarcza do znajomych, u których nie należy się spodziewać przeszukania. Nie wynosi jednak wszystkiego. „Donald liczy się w najbliższym czasie z rewizją i ma w swoim regale z książkami trzy, cztery pisma w widocznym miejscu, żeby SB od razu je znalazła i nie dokonała żadnych dalszych »zniszczeń«” – twierdzi „Henryk”.

Dla Tuska zatrzymanie z lipca 1983 roku okaże się jedynym. Ale jego koledzy mają mniej szczęścia. Jeszcze w tym samym



5 listopada 1985 roku

Według „Henryka”, Donald Tusk twierdzi, że Solidarność mogłaby się porozumieć z władzą, gdyby ta zgodziła się na repywatyzację i wolną gospodarkę rynkową w PRL.

14 października 1986 roku

„Henryk” informuje, że Donald Tusk nadal ma kontakt z podziemną drukarnią. Ponieważ jednak z powodów zawodowych przebywa poza

Fot. AIIPN

roku, w połowie grudnia, zostaje aresztowany Jacek Kozłowski. W notatnikach przejętych przy okazji przez bezpiekę są – wśród wielu innych kontaktów – także nazwiska oraz numery telefonów Donalda Tuska, jego żony i siostry. Młody historyk wierzy, że Kozłowski będzie milczał w sprawie podziemnej działalności. Na wszelki wypadek chce jednak częściej zmieniać mieszkanie. „Henrykowi” radzi, jak ma się zachować, gdyby został przyłapany z nielegalnymi materiałami: ma mówić, że pisma kupił kilka miesięcy temu na targu od nieznamyj osoby.

Kozłowski rzeczywiście milczy, co potwierdza zachowana dokumentacja SB. Tusk liczy się jednak z tym, że może być następny. W połowie marca 1984 roku zwierza się „Henrykowi”, że nic ostatnio nie wydrukował i ma teraz zawsze czyste mieszkanie. Została mu tylko broszura Friedricha Dürrenmatta – szwajcarskiego dramaturga, autora sztuki *Achterloo*, nawiązującej do wydarzeń stanu wojennego w PRL. Dzień później zostaje aresztowany student, u którego znaleziono 740 egzemplarzy broszury. Tusk jest podłamany i przestraszony sukcesami bezpieki.

20 października 1985 roku „Henryk” znów zachodzi do małżeństwa Tusków. Małgorzata Tusk opowiada o aresztowa-



Fot. AIPN

niu ich przyjaciela Piotra Kapczyńskiego i skutkach tego wydarzenia: Donald Tusk zastanawia się, jakie rzeczy trzeba zabezpieczyć przed milicją, żeby uniknąć kolejnych zatrzymań.

Materiały gdańskiej SB potwierdzają: 10 października 1985 roku dochodzi do zatrzymania Kapczyńskiego. W mieszkaniu i małym fiacie, należącym formalnie do matki Kapczyńskiego, zostają obfotografowane „nielegalne wydawnictwa”, w tym piąty numer „Przeglądu Politycznego”. Bezpieka znów natrafia na nazwisko i numer telefonu Donalda Tuska. Kapczyński – tak jak wcześniej Kozłowski – nie wydaje jednak kolegów. Twierdzi, że obciążające go materiały zostały podrzucone już po tym, jak został zatrzymany. Z aresztu wyjdzie po prawie roku.

„Moim zdaniem SB nie wiedziało, że my robimy »Przegląd«” – powie po latach Tusk, rozmawiając z Andrzejem Stankiewiczem i Piotrem Śmiłowiczem. Nie jest jasne, czy ma na myśli krótkie zatrzymanie z 1983 roku, czy całe lata

osiemdziesiąte. Jeśli to drugie, to najwyraźniej się myli.

Bratnia współpraca

8 czerwca 1984 roku. Podpułkownik Hans Gottschling, szef Grupy Operacyjnej Warszawa, czyli rezydentury Stasi w PRL, pyta centralę w Berlinie Wschodnim, czy może przekazać polskiemu MSW materiały o Donaldzie Tusku. Są tam podstawowe informacje o stanie cywilnym, wykształceniu itp. Jest krótki opis nielegalnej działalności Tuska, mającej polegać na drukowaniu podziemnych materiałów, m.in. „Przeglądu Politycznego”.

Dlaczego Stasi chce się podzielić wiedzą z polską Służbą Bezpieczeństwa? Doktor Tytus Jaskułowski, autor książki *Przyjaźń, której nie było* o relacjach tajnych służb PRL i NRD, sugeruje, że nie chodzi o bezinteresowną chęć pomocy polskim towarzyszom. Zdaniem Jaskułowskiego, w pewnym momencie „Henryk” zostaje zdekonspirowany przed służbami PRL. Chcąc pozostawić go w Polsce, Stasi musi uzasadnić polskim gospodarzom jego użyteczność. – To bardzo prawdopodobna teoria – mówi prof. Antoni Dudek, historyk i politolog, zastępca przewodniczącego Rady IPN.

Nie wiemy, jaką odpowiedź Gottschling otrzymał z berlińskiej centrali. Zachowała się jednak późniejsza korespondencja Grupy Operacyjnej Warszawa z wysokimi oficerami SB – w tym nawet gen. Henrykiem Dankowskim, dyrektorem Departamentu III MSW i zastępcą szefa Służby Bezpieczeństwa. W korespondencji pojawiają się również wzmianki o Tusku, choć nie tak szczegółowo, jak proponował Gottschling. Odbiorcą tych informacji jest początkowo płk Władysław Kuca, dyrektor Biura Studiów SB. Na jednym z dokumentów znajdziemy odręczny dopisek: „Informacja była bardzo ważna dla tow. K[ucy], serdecznie podziękował”.

15 sierpnia 1985 roku kpt. Eberhard Winter kieruje pismo do płk. Adama Malika, następcy Kucy. Winter informuje, że



Fot. AIPN

NEGOCJATOR KACZYŃSKI

Fot. ze zbiorów Ośrodka KARTA



U schyłku lat osiemdziesiątych w raportach „Henryka” sporadycznie pojawia się Lech Kaczyński. Najobszerniejsza charakterystyka przyszłego prezydenta RP pochodzi z 21 września 1988 roku. W dokumencie mowa o rozmowach przygotowawczych do Okrągłego Stołu, prowadzonych przez ministra spraw wewnętrznych PRL Czesława Kiszcza z przedstawicielami opozycji: „Dr Lech Kapczyński [sic! – nazwisko prawdopodobnie przekręcił oficer Stasi, który spisywał ustną relację

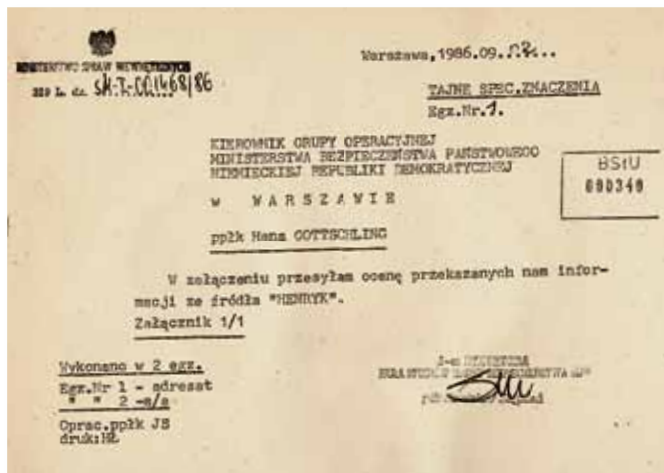
„Henryka”] jest docentem na Uniwersytecie Gdańskim, prawnikiem. Obecnie pisze pracę habilitacyjną o prawie ubezpieczeniowym. Za wzór służy mu prawo ubezpieczeniowe RFN. W czasie strajków w maju i sierpniu ’88 K. doradzał strajkującym w Gdańsku jako prawnik. K. jest bliskim współpracownikiem Bogdana Borusewicz i tym samym jest pewne, że żądania Borusewicz zostaną zaprezentowane podczas negocjacji [z Kiszcziakiem].»Henryk«dobrze zna K., był dość często u niego w domu”. Lech Kaczyński rzeczywiście przygotowuje w tym czasie habilitację. W 1989 roku wydaje na jej podstawie książkę *Renta socjalna*.

w numerze 5 „Przeglądu Politycznego” ukazał się artykuł „Henryka”. Ma to być dowód na to, że Tusk utrzymuje kontakty z podziemną drukarnią. Malik oznajmia jednak, że nie jest zainteresowany takimi informacjami. Kilka miesięcy później podobną postawę przyjmuje płk Stanisław Stępień, zastępca dyrektora Biura Studiów. Stępień przyznaje, że duża część informacji dostarczonych przez „Henryka” została potwierdzona. Zarazem lekceważąco wypowiada się o jego możliwościach. To czytelny sygnał dla Stasi: nie interesujcie się przesadnie naszą opozycją.

Enderowcy nadal jednak wężą. Być może SB dochodzi więc do wniosku, że trzeba ich czymś zająć. 2 września 1986 roku Stępień przesyła Gottschlingowi ocenę przekazanych Służbie Bezpieczeństwa informacji pochodzących od „Henryka”. W dokumencie czytamy, że „Henryk” ma dostęp do osób i spraw, „które interesują nas operacyjnie”. Stępień sugeruje dalszą kontrolę działalności Tuska, „szczególnie pod kątem rozpracowania ewentualnych jego kanałów [łącz-

ności] z wrogimi ośrodkami na Zachodzie oraz roli w nielegalnych punktach politycznych”.

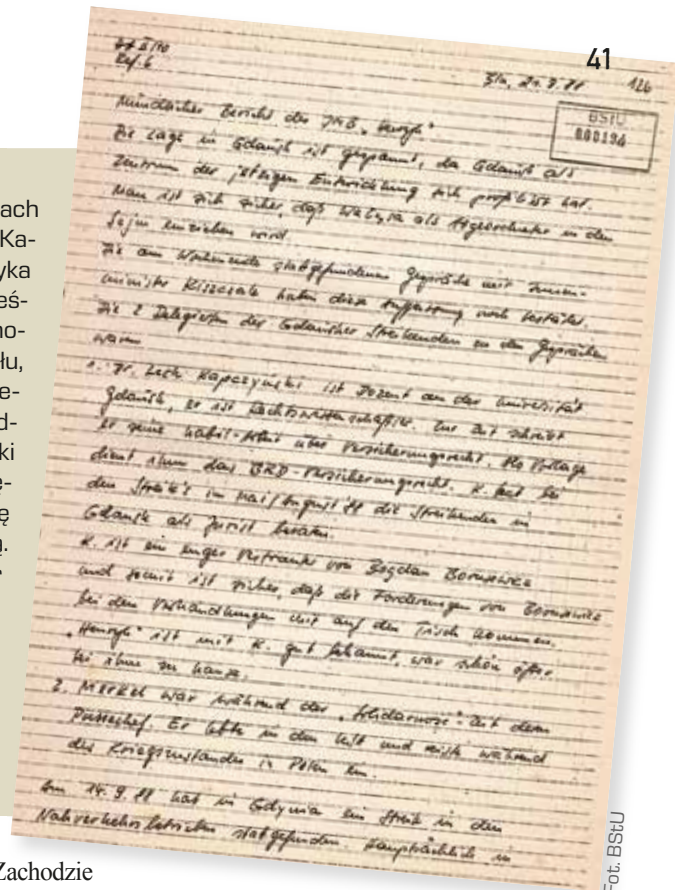
To mogłoby tłumaczyć, dlaczego młody historyk nadal unika aresztowania. Tusk nie jest na tyle znaczącą postacią



Fot. BSU

opozycji, by jego zatrzymanie można było wykorzystać propagandowo. Na wolności daje zaś nadzieję, że uda się zebrać więcej informacji o jego kontaktach. Zresztą władze PRL dopiero co ogłosiły kolejną amnestię i lada dzień większość więźniów politycznych wróci do domów.

Zadania, które Stępień próbował wyznaczyć „Henrykowi”, nie zostają zrealizowane. Wkrótce urywa się kontakt



Fot. BSU

Niemca z Tuskiem. Ostatnie ich spotkanie, którego ślad odnalazłem w aktach Stasi, ma miejsce w grudniu 1986 roku. Tusk przekazuje „Henrykowi” list adresowany do Metz we Francji. Niemiec jedzie służbowo do Danii. Tusk prosi go, by zabrał list ze sobą i wrzucił do skrzynki pocztowej w Kopenhadze. Przysługa ma być zapewne sposobem na obejście peerelowskiego systemu kontroli korespondencji.

W tym czasie w raportach „Henryka” pojawia się głównie Bogdan Borusewicz – jeden z liderów trójmiejskiej opozycji, zwolniony z aresztu we wrześniu 1986 roku. Przez kolejne trzy lata Niemiec stara się być jak najbliższym Borusewicz. Po raz ostatni „Henryk” spotyka się z oficerem prowadzącym 6 listopada 1989 roku – trzy dni przed upadkiem muru berlińskiego. Po zjednoczeniu Niemiec – związany z Polką – pozostaje w Trójmieście. ❀

Filip Gańczak – redaktor miesięcznika „Pamięć.pl”, autor książek *Erika Steinbach. Piękna czy bestia?* (2008) i *Filmowcy w matni bezpieki* (2011)

Fryzjerzy w mundurach

Bogusław Tracz

Długie włosy u mężczyzn? Dziś nie są niczym niezwykłym, ale w czasach PRL były tępione przez komunistyczne władze.

Jeszcze nie tak dawno, zaledwie pół wieku wstecz, w kraju nad Wisłą prawie nie sposób było spotkać mężczyznę z długimi włosami. Nawet aktorzy, którzy z racji wykonywanego zawodu musieli na scenie czy w filmie wystąpić z nieco dłuższą czupryną, chętniej korzystali z peruki, niż zdecydowali się na zapuszczenie fryzury, która w powszechnym przekonaniu była atrybutem przynależnym kobietom. Jednak już w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku moda zaczęła się zmieniać.

Pierwszy wyłom uczynili sympatycy zespołu The Beatles. Popularność czwórki z Liverpoolu z szybkością błyskawicy ogarnęła zachodnią Europę i przedarła się za żelazną kurtynę. I choć beatlesi nigdy nie odwiedzili Polski, a ich płyty nie sposób było nabyć w sklepach, również i tutaj mieli wiernych fanów. Polscy nastolatki chcieli za wszelką cenę wyglądać podobnie jak ich zachodni koledzy. Fryzura męska „na be-

atlesa” to były włosy zakrywające uszy, z tyłu co najwyżej lekko opadające na kark, z nieprzyciętą grzywką zasłaniającą oczy. I to właśnie ta grzywka była kamieniem obrazy dla rodziców i nauczycieli. Uważano, że jej noszenie nie

tylko jest przejawem niechlujstwa, ale nawet może prowadzić do... ślepoty, gdyż „niezdrowo” zakrywa ona oczy.

Posiadaczy fryzur à la beatlesi nazywano bitelkantropusami lub kudłaczami, wyśmiewano w prasie i na ulicy,



Fot. AIPN

a w szkole nauczyciele wywierali na nich presję, która najczęściej kończyła się wizytą u fryzjera. Ostatecznie lepiej było obciąć włosy, niż powtarzać klasę. Jedną z dziewcząt biorących udział w 1966 roku w ankiecie przeprowadzonej przez czasopismo dla dziewczyn „Filipinka” mówiła: „Każdy [chłopak] marzy o fryzurze na beatlesa. Niektórzy zapuścili włosy i hazardują się, który dłużej uchowa swoje loki. Bo te uczesania są tępie i w szkole, i w domu”. Prawie dwie dekady później reżyser Radosław Piwowarski w filmie *Yesterday* przedstawił historię czterech uczniów technikum z prowincjonalnego miasteczka, którzy w połowie lat sześćdziesiątych, zafascynowani zespołem The Beatles, chcieli naśladować swoich idoli. Jeden z wątków dotyczy właśnie włosów. Kiedy dyrektor szkoły nakazał chłopcom skrócenie fryzur, ciotka jednego z nich obcięła mu włosy, gdy ten spał.

Fachowiec od baranów

Tymczasem z roku na rok fryzury się wydłużały. Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych na ulicach polskich miast pojawili się pierwsi rodzimi hipisi, można było spotkać wśród nich młodych mężczyzn z włosami opadającymi swobodnie na ramiona. Widok ten wywoływał dezaprobatę i szczere oburzenie w pokoleniu rodziców, a tym bardziej dziadków.

Ekstrawaganckie, długie włosy niepokoiły również ludzi władzy. Włodzimierz Sokorski, stojący na czele Komitetu ds. Radia i Telewizji, pisał w 1969 roku, że sposób zachowania się, czystość i dbałość o fryzurę to nie tylko sprawa estetyczna, ale wręcz „estetyczno-moralna”, choć – jak przyznawał – nie oznaczało to, że „tylko dotychczasowy sposób bycia jest sposobem bycia socjalistycznego człowieka. Inaczej mówiąc, nie należy doszukiwać się w »inności« młodzieży wrogości czy chociażby obcości politycznej, gdyż po pierwsze nie jest to prawdą, a po drugie, po co stwarzać sztuczne przegrody międzypokoleniowe, których to przeszkód w rzeczywistości nie ma”. W mediach unikano lansowania nowej mody, co powodowało, że np. mu-



► Dzisiaj to niewyobrażalne, ale długie włosy bywały wystarczającym powodem do tego, by milicja zatrzymała mężczyznę na ulicy; powyżej: zdjęcie sygnalityczne z krakowskiego komisariatu, 1969 rok

zycy, których dopuszczono do występów przed kamerami telewizyjnymi, musieli wcześniej odwiedzić fryzjera albo przynajmniej tak upiąć włosy, by nie można było dostrzec ich faktycznej długości. Przy okazji VI Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w czerwcu 1968 roku lansowano hasło „Nie włos, lecz głos”, a postrzyżyny członków Grupy Skifflowej „No To Co” uznano za wydarzenie godne odnotowania w prasie.

O ile członkowie zespołów estradowych mogli jeszcze liczyć na wyrozumiałość, o tyle odmiennie wyglądających uczniów w najlepszym razie wysyłano do fryzjera, a bardziej opornych strzyżono z użyciem tzw. środków bezpośredniego przymusu – wbrew ich woli, często z użyciem siły.

W przekonaniu stróżów porządku obcięcie włosów miało być karą i antidotum na problem długowłosej młodzieży. W czerwcu 1969 roku interwencja Milicji Obywatelskiej przeszkodziła spotkaniu hipisów podczas festiwalu w Opolu, a zatrzymanym – jeśli ich zdjęcie w dowódzie lub legitymacji nie zgadzało się z aktualnym wyglądem – dawano propozycję nie do odrzucenia: albo obciąć włosy, albo przesłać dokumenty do komendy MO w miejscu zameldowania, co miało pociągnąć za sobą dalsze sankcje, takie jak poinformowanie szkoły, rodziców lub opiekunów o rzekomo naganym zachowaniu.

W grudniu 1970 roku, podczas krwawej pacyfikacji robotniczych protestów na Wybrzeżu, gdańscy milicjanci zatrzy-

mali ucznia liceum Arkadiusza Rybickiego. Powodem był przede wszystkim jego „hipisowski” wygląd: nosił dłuższe włosy i druciane okulary, tzw. lenonki. Rybicki cudem uniknął obcięcia włosów. Znacznie mniej szczęścia miał Tomasz Jaszczczyński ze Szczecina, zatrzymany również w grudniu 1970 roku. Za noszenie długich włosów został pobity pałkami przez milicjantów. Następnie jeden z nich ►



ostrzygł go, twierdząc przy tym, że „robi to fachowo, bo kiedyś strzygł barany”.

Ofensywa grudziądzka

Spektakularnym strzyżeniem, które odbiło się głośnym echem w środowisku hipisów, były działania przeprowadzone jesienią 1971 roku – w ramach ogólnopolskiej akcji o kryptonimie „Porządek” – w Grudziądzu. Hipisi spędzali tam letnie dni na rynku i okolicznych skwerach, a niepogodę przeczekiwali w nielicznych kawiarniach. Zarzucano im, często na wyrost, rozluźnienie obyczajów oraz obarczano ich odpowiedzialnością za zwiększoną liczbę przypadków zachorowań na choroby weneryczne. Postanowiono ukarać niesfamą młodzież, a plan działań skonsultowano z przedstawicielami Komitetu Miejskiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i grudziądzkiej administracji.

Zatrzymywano każdego mężczyznę o nieco dłuższej fryzurze. Łącznie 94 osoby doprowadzono pod przymusem do poradni chorób skórnych i wenerycznych. Tam po dokonaniu przeglądu czystości orzeczono, że 54 osoby miały „wszawicę głowy i zmiany łojotokowe”, po czym wszystkich ostrzyżono. Zapewne chcąc usprawiedliwić tę dość niecodzienną akcję stróżów prawa, funkcjonariusz MO napisał w sprawozdaniu, że „przeważająca część młodzieży skierowana ze względów czysto higienicznych do fryzjera, fakt podstrzyżenia im włosów przyjęła spokojnie i z humorem. Reasumując należy stwierdzić, że milicja grudziądzka działała prawidłowo i skutecznie”. Zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych akcję nagłośniono w mediach. Reportaż zamieścił m.in. opiniotwórczy tygodnik „Polityka”.

Jednak nie wszyscy przyjęli działania służb porządkowych „spokojnie i z humorem”. Kilkanaście dni później do redakcji „Polityki” dotarł list podpisany przez 52 osoby, wśród których byli uczniowie i nauczyciele, studenci, robotnicy, a nawet jeden fryzjer. Autorzy listu twierdzili, że długowłosych mężczyzn siłą wyciągano z kawiarni lub łapano bezpośrednio na ulicy. W odpowiedzi dziennikarz „Polityki” dzielił się swoimi wąt-

pliwościami: „Czy istnieją obiektywne podstawy do orzekania, czyje włosy są tylko przydługie, a czyje zdecydowanie zbyt długie? Czy w ogóle można mówić o fryzurach dozwolonych i niedozwolonych? Byłoby lepiej, gdyby potraktować tę kwestię tak, jak dyktuje rozsądek – jako osobistą i prywatną sprawę obywateli. Nie będziemy chyba bawić się w orzekanie, po której stronie nosić przedziałek i ile centymetrów długości mają mieć przepisowe fryzury. [...] Akcja, która zmierzała do umocnienia ładu prawnego, pozostawiła po sobie zbyt wiele rozgoryczenia i wątpliwości, aby dało się nad tym przejść do porządku dziennego”.

Publikacja uruchomiła lawinę komentarzy i listów, z których część trafiła do redakcji pisma, a niektóre kierowano bezpośrednio do Komendy Wojewódzkiej MO w Bydgoszczy. W obronie dłu-

gowłosej młodzieży stanęli m.in. dziennikarze Polskiego Radia. Do dyskusji włączyli się również autorzy publikujący w tygodniku resortu spraw wewnętrznych „W Służbie Narodu”. Tutaj z kolei zamieszczono fragmenty listów i wypowiedzi mieszkańców Grudziądza, którzy pochwalili przeprowadzoną akcję. Autorka obszernego reportażu starała się usprawiedliwić działania milicjantów. Jej zdaniem, Grudziądz nie należał do miast spokojnych, a „na ulicach, w parkach, barach i restauracjach zbierały się rozpasane grupy młodzieży, która uparcie stroniąc od nauki i pracy, wyżywała się w pospolitym rozrabiactwie, wulgarnym zachowaniu się, wandalizmie, zaczepkach, a nierzadko i brutalnych napaściach na przechodniów”. Szczególnie



narażone miały być kobiety i dziewczęta, „które wołały z daleka omijając hałaśliwe watahy często pijanych młodzieńców obnoszących niczym znak firmowy swój niechlujny przydzwiewek i długie włosy”. Ich obcięcie miało być dobrodziejstwem, gdyż „sprawdzający higienę osobistą zatrzymanych inspektor sanepidu stwierdził u wielu zaawansowane zmiany łojotokowe skóry głowy, a u niektórych wszawicę”.

Kolejny raz Grudziądz pojawił się na łamach prasy w kontekście długowłosej młodzieży w 1973 roku, kiedy to w tamtejszym domu kultury przy zakładach Stomil zorganizowano wieczór poezji Rafała Wojaczka. Ponieważ na przedstawienie przyszli przede wszystkim młodzieńcy i dziewczyny o wyglądzie „nieco odmiennym” od młodzieży codziennie mijanej na ulicach, po mieście zaczęły krążyć plotki o rzekomych „zberzezeństwach”, które miały odbywać się tuż pod nosem dyrekcji Stomilu. Ponownie tematem

dyskusji byli długowłosi, którzy mieli wnosić w działalność lokalnej instytucji kultury „atmosferę demoralizacji i moralnej zgnilizny”. Młodzieży zakazano wstępu do klubu.

Wydarzenia, do których doszło w Grudziądzu podczas akcji „Porządek”, nie były odosobnione. We wrześniu 1971 roku w Lublinie ostrzyżono 72 osoby. Również tutaj posilkowano się opinią lekarza, który rzekomo miał wskazać na „insekty i zmiany łojotokowe”. W trakcie jednej z podobnych akcji, przeprowadzonej w Gliwicach, ostrzyżono 57 osób. Działania milicji były często bardzo brutalne. Do dziś niewyjaśniona pozostaje śmierć hipisa z Ustki, Kostka Kozdroja, o którą obwiniano funkcjonariuszy MO. Jerzy Izdebski, wówczas lider zespołu 74 Grupa Biednych, twierdził, że Kozdrój miał jedno z najdłuższych włosów w Ustce i „właśnie za te włosy został napadnięty przez uesteckich zbirów z MO, oślepiony gazem i zepchnięty do kanału portowego, gdzie utonął na oczach umundurowanych bandytów Kaszkiewicza i Zbigniewa Górczyńskie-

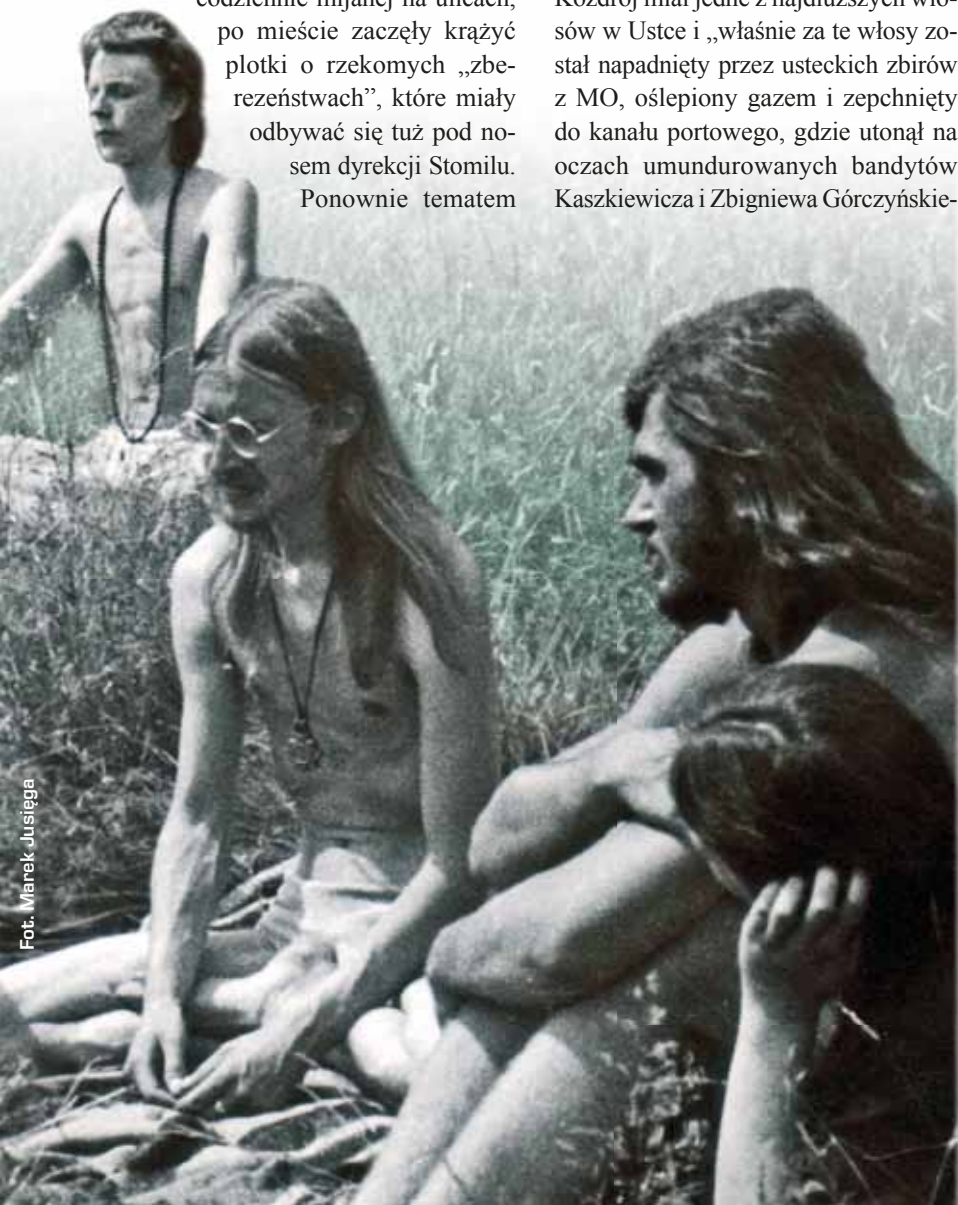
go, którzy nigdy za to stracone, młode życie nie zostali osądzeni i ukarani”.

Lekarskie alibi

Obcinanie włosów pozostało jedną z głównych szykan stosowanych wobec długowłosych mężczyzn. Decyzję o przymusowym strzyżeniu uzasadniano najczęściej rzekomo złym stanem higieny lub wszawicą. Co prawda w latach sześćdziesiątych mycie włosów raz na tydzień wciąż jeszcze uchodziło za częste, bo zalecenia codziennego mycia włosów, zwłaszcza przetłuszczających się, pojawiły się wśród porad w prasie młodzieżowej dopiero w latach osiemdziesiątych. Mimo to trudno uwierzyć, że wszyscy hipisi ostrzyżeni przez milicjantów mieli wszy bądź włosy sklezione brudem, choć i tacy z pewnością się zdarzali. Większość jednak dbała o swoje włosy.

W połowie września 1971 roku w Lubsku zatrzymano dwóch mężczyzn w wieku 19 i 20 lat, którzy „ze względu na długie i zmierzwiłe włosy nie byli podobni do osobników na zdjęciach w dowodach osobistych, jakimi się legitymowali”. Odebrano im dowody i powiedziano, że będą mogli je odzyskać następnego dnia na komendzie milicji, ale dopiero po skorzystaniu z usług fryzjera. Brak dowodu osobistego w tamtych czasach mógł się skończyć licznymi problemami, a nawet osadzeniem w areszcie. Każdy dorosły obywatel miał bowiem obowiązek nosić przy sobie ten dokument. W październiku 1971 roku płk Karol Pawłowicz, zastępca dyrektora Departamentu III MSW, polecił wyegzekwować od wydziałów dowodów osobistych, by ich pracownicy nie przyjmowali zdjęć mężczyzn z długimi włosami, co uzasadnił rzekomą trudnością z identyfikacją płci. Obawiano się również, że przyjmowanie takich fotografii mogłoby świadczyć o przyzwoleniu na takie fryzury, a co za tym idzie – uznaniu hipisów przez władze państwowe.

W postrzyżynach oprócz funkcjonariuszy MO i Służby Bezpieczeństwa brali również udział lekarze, mający świadczyć, że stan zdrowia zatrzymanego wymagał „strzyżenia sanitarnego”.





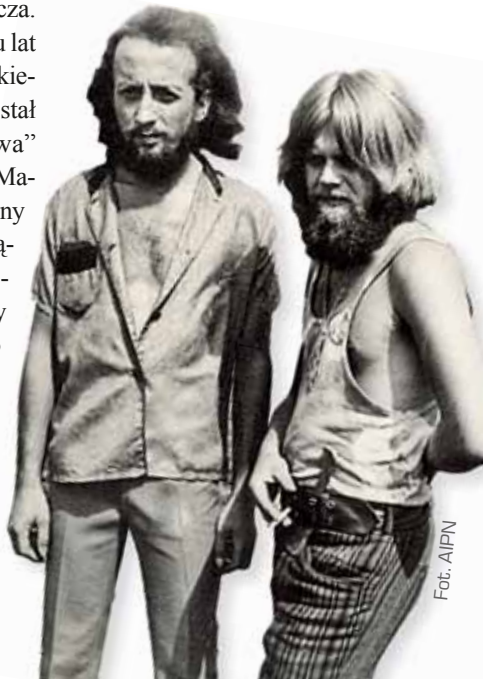
Podczas akcji o kryptonimie „Argon”, przeprowadzonej 30 i 31 maja 1972 roku w Lublinie, ostrzyżono 27 osób, wśród nich piętnastu hipisów. Nie wszyscy pogodzili się z utratą włosów ani tym bardziej z bezpodstawnym osadzeniem w areszcie na 48 godzin. Napisali w tej sprawie skargę do posła na sejm PRL, Pawła Dąbka. Zaskoczeni takim obrotem sprawy funkcjonariusze MO i SB tłumaczyli się, że pretensje o ścięcie włosów były niesłuszne, nastąpiło ono bowiem na podstawie diagnozy lekarskiej. Powoływali się przy tym na ustawę z 13 listopada 1963 roku o zwalczaniu chorób zakaźnych, choć nie było w niej ani słowa o stryżeniu włosów.

Co wolno artyście...

Można było zachować długie włosy, jeśli władza uznała, że były one elementem wizerunku estradowego ich posiadacza. Waldemar Czapkiewicz, na początku lat siedemdziesiątych członek hipisowskiego zespołu Piotr Pastor i Słońce, został zatrzymany przez „stróżów prawa” w autobusie PKS na trasie Grodzisk Mazowiecki – Mszczonów, doprowadzony do fryzjera i ostrzyżony. Od asystującego przy tym wydarzeniu funkcjonariusza MO dowiedział się, że aby zachować długie włosy, wystarczyło mieć odpowiedni dokument. Kiedy włosy odrosły, Czapkiewicz poprosił kierownika artystycznego zespołu o jego wystawienie. Ten sporządził na papierze firmowym ZAiKS zaświadczenie mówiące, że jego

posiadacz „jest zatrudniony jako muzyk w zespole »Piotr Pastor i Słońce«, współpracującym z Estradą Stołeczną. Z racji wykonywanego zawodu oraz wymagań scenograficznych i reżyserskich wyżej wymieniony musi nosić długie włosy. Zaświadczenie wydaje się celem przedstawienia odnośnym władzom, a w szczególności MO i ORMO”. Okazało się, że dokument był respektowany przez milicjantów. Podczas kolejnej kontroli Czapkiewicza w pociągu z Warszawy do Pruszkowa milicjant, zwracając zaświadczenie, zasalutował i życzył sukcesów w graniu. Większość funkcjonariuszy MO była jednak podobnego zdania jak warszawski milicjant Eugeniusz Burkart, który na łamach pisma „Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze” podzielił się z czytelnikami opinią, że mimo wszystko należało „ze względów higienicznych zabronić noszenia długich włosów przez chłopców”.

W ciągu dekady lat siedemdziesiątych stosunek do długich włosów u mężczyzn został zliberalizowany. Wciąż jednak w szkołach różnymi metodami starano się wymusić na uczniach pozbycie się nieodpowiedniej fryzury, a jej właściciel musiał się liczyć nie tylko ze złośliwymi uwagami i komentarzami ze strony nauczycieli, lecz również z częstszym sprawdzaniem wiedzy i umiejętności. Wynikało to zarówno z przekonania wychowawców o niestosowności takiej czy innej fryzury, jak i z opresyjnego



charakteru szkoły w PRL jako instytucji eliminującej lub częściowo ograniczającej spontaniczność, kreatywność i niezależność.

Ponieważ w drugiej połowie lat siedemdziesiątych widok długowłosego mężczyzny niewiele już szokował, również w kręgach MO i SB pojawiały się głosy, by odejść od praktyki ścinania włosów hipisom zatrzymanym przez służby mundurowe. Uznano, po pierwsze, że jest to akt „naruszenia nietykalności osobistej”, a po drugie, że takie działania przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego. Pozostawiono jednak furtkę w postaci tzw. zabiegów sanitarnych. Miały one być stosowane wobec osób zatrzymanych w aresztach, jeśli „w brudnym i niechlujnym zarostie lub owłosieniu stwierdzono obecność pasożytów (przede wszystkim wszy), osoby te jako nosiciele pasożytów zagrażają stanowi porządku i higieny w aresztach”, oraz kiedy usunięcie zarostu czy włosów miało na celu ułatwienie rozpoznania tych osób.

Z długimi włosami walczyli nie tylko „stróże prawa” i nauczyciele, lecz także działacze organizacji młodzieżowych, niektórzy księża, a przede wszystkim zdesperowani rodzice. Tymczasem długie włosy były dla ich zwolenników marzeniem, a kiedy już urosły – powodem do dumy. Wbrew obiegowym opiniom większość osób z długimi włosami dbała o nie i szanowała je jak najcenniejszy skarb, nie tylko dlatego że ich zapuszczenie wymagało nie lada poświęcenia, lecz także z powodów towarzyskich. Na czyste i zadbane długie włosy świetnie podrywało się dziewczyny. Batalie o ich zapuszczenie i utrzymanie były nie tylko walką o styl, ale przede wszystkim o podkreślenie i akceptację własnej, odrębnej tożsamości. Dla wielu chłopców i młodych mężczyzn przymus obcięcia włosów i powrotu do krótkiej fryzury był prawdziwym dramatem. ■

dr Bogusław Tracz – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Katowicach, specjalizuje się w historii społecznej PRL

Artykuł jest skróconą i zmienioną wersją rozdziału z książki *Hippiesi, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975* (2014).





Cmentarzysko dwóch reżimów

Marcin Zwolski

Gdy w grudniu 2013 roku na łamach „Pamięci.pl” donosiliśmy o odkryciu pola grobowego na terenie Aresztu Śledczego w Białymstoku, nikt nie był w stanie przewidzieć, co przyniesie eksploracja tego miejsca. Rzeczywistość przerosła najśmielsze oczekiwania.

O złowroziej historii wybudowanego jeszcze za cara, w 1912 roku, białostockiego więzienia przez lata raczej się szeptało, niż mówiło. Pierwsze teksty prasowe na temat zbrodni popełnionych w jego murach, napisane przeważnie na podstawie anonimowych relacji, pojawiły się po 1989 roku. Zainteresowanie obiektem trwało wówczas kilkanaście miesięcy, po czym wygasło na kolejną dekadę.

Gdy po 2000 roku w Oddziale IPN w Białymstoku rozpoczęliśmy badanie historii tej katowni, szybko okazało się, że zachowały się pojedyncze dokumenty pokazujące ogrom zbrodni. Niektóre z nich wskazywały na to, że przynajmniej w kilku przypadkach zarówno

Niemcy, jak i polscy komuniści powojenni, do ukrycia zwłok swoich ofiar wykorzystali przywieziony ogród. Udało się też dotrzeć do żyjących jeszcze świadków, którzy – co znamienne – niejednokrotnie zgodzali się mówić dopiero po zapewnieniu im anonimowości. Wtedy potwierdzali fakty wynikające z archiwaliów. Ceglane mury białostockiej *tiurny* wciąż budziły grozę. Walka o sprawdzenie doniesień o grzebaniu zwłok licznych ofiar na terenie dawnego przywiezionego ogrodu trwała jeszcze dziesięć lat. W 2012 roku rozpoczęły się głośne eksploracje ofiar pogrzebanych na powązkowskiej „Łączce” i wówczas zabrakło już argumentów przeciwko działaniom tego typu. Rok później przystąpiliśmy do prac także w Białymstoku.

Do czterech razy sztuka

Białostocki oddział IPN podjął trud organizacji i sfinansowania czterodniowych badań sondażowych na terenie aresztu, które zaplanowano na lipiec. Wzięła w nich udział grupa doświadczonych archeologów, antropologów i genetyków pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, pełnomocnika prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego. Nieocenionej pomocy udzieliło miejscowe kierownictwo Służby Więziennej. Mimo ofiarnej pracy licznych wolontariuszy oraz użycia nowoczesnego sprzętu (m.in. georadaru) i koparki przez trzy dni nie natrafiliśmy na jakiegokolwiek ślady ludzkich szczątków. W licznych wykopach sondażowych były kości, ale tylko zwierzęce. Czwartego, ➤



► Wyniki ekshumacji na terenie białostockiego więzienia przerosły najśmielsze oczekiwania

Fot. Marcin Zwolski

ostatniego dnia, większość członków ekipy, łącznie z prof. Szwaagrzykiem, musiała opuścić miasto, aby przebadać inną lokalizację. Na miejscu pozostał główny archeolog zespołu Adam Falis, który wspólnie z pracownikami IPN i kilkoma wolontariuszami miał zakończyć prace. Jak łatwo się domyślić, panowała ponura atmosfera, należało się pogodzić z goryczą porażki. W najmniej spodziewanym momencie koparka wyrzuciła na nasyp ludzką kość. Podczas dalszych prac ręcznych odnaleźliśmy czaszkę i resztę szkieletu mężczyzny w średnim wieku. Szybko zapadła decyzja o przedłużeniu badań o dodatkowy dzień. W rezultacie odkryliśmy jeszcze jeden szkielet bardzo młodego mężczyzny z przestrzeloną czaszką. Nikt już nie miał wątpliwości, że miejsce to kryje groby ofiar wojennych i powojennych zbrodni. Odnalezienie kości z niekompletnego szkieletu kolejnego mężczyzny dawały nadzieję, że następny etap prac, który był już przesądzony, będzie łatwiejszy.

Gdy prokuratura powszechna, która po zgłoszeniu zabrała odnalezione szczątki pomordowanych, po wstępnej analizie przekazała sprawę do pionu prokuratorskiego IPN, jej prowadzenie przejął prok. Zbigniew Kulikowski. Powołał zespół, w którego skład poza pracownikami białostockiego oddziału IPN weszli uczestnicy lipcowych badań sondażowych, m.in. przedstawiciele Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów z dr. Andrzejem Ossowskim na czele. Prace zespołu od strony technicznej koordynował Piotr Brzeziński, a całość prac archeologicznych nadzorował Adam

Falis. Doświadczonych badaczy wspomagali zatrudnieni do prac technicznych przedstawiciele Stowarzyszenia Grupy Wschód, zrzeszającego miłośników historii Ziemi Podlaskiej. Załatwianie formalności przebiegło błyskawicznie i już w październiku 2013 roku

wznowiono prace. Podobnie jak w lipcu, pierwsze trzy dni nie przyniosły rezultatów. Wciąż nie udawało się znaleźć schematu, według którego postępowali oprawcy, ukrywając zwłoki swoich ofiar.

Czwartego dnia zdecydowaliśmy o przewraniu przekopania dziedzińca



Fot. Marcin Zwolski

między budynkami gospodarczymi i przyjrzeniu się bliżej betonowej wyłewce ciągnącej się wzdłuż ogrodzenia zamykającego dawny ogród od północnego zachodu. Po jej usunięciu ukazały się pozostałości po silosach spożywczych. W przestrzeni między nimi a budynkiem dawnej chlewni zauważyliśmy zmiany w strukturze gleby, które wskazywały na kopanie w tym miejscu regularnych jam. Powoli rozkopaliśmy pierwszą, a następnie drugą z nich. Były puste. Ta dziwna sytuacja skojarzyła się nam z relacjami byłych więźniów, którzy wspominali, że w latach pięćdziesiątych, w czasie kopania dołów pod silosy, natrafiali na rozkładające się zwłoki ludzkie, wykopywali je i przenosili w inne miejsce. Mielismy nadzieję, że trafiliśmy na miejsca, skąd wówczas została ekshumowana część ofiar. To dawało szansę na znalezienie kolejnych. Przyjęta hipoteza okazała się prawdziwa.

W trzeciej jamie szybko dokopaliśmy się do ludzkich szkieletów. Odkrycie koparką większego terenu pokazało zarysy kolejnych jam. Mimo odnalezienia tych pochówków ekshumowanie spoczywających w nich ofiar nie było na tym etapie możliwe. Przylegały one bowiem bezpośrednio do ściany chlewni i ich eksploracja groziła katastrofą budowlaną. Bezpiecznie można było wydobyć jedynie szczątki spoczywające w pierwszej z odkrytych jam (szkielety czterech mężczyzn oraz dwóch kobiet) i tak też się stało. Niezwykle ważną informację uzyskaliśmy, wykonując wykopy sondażowe na przedłużeniu kształtującej się linii pochówków, niespełna 30 metrów dalej. Tam również stwierdziliśmy pochówki, co dało pewność, że mamy do czynienia z bardzo dużym polem grobowym, zawierającym prawdopodobnie liczne jamy. Prace październikowe zakończyliśmy na wydobyciu szczątków sześciu ofiar, a rok 2013 – w sumie dzie-

Fot. Marcin Zwolski



więciu. Wszyscy czekaliśmy z niecierpliwością na kolejny etap zaplanowany na wiosnę 2014 roku. Z pewnością nikt nie mógł jednak przypuszczać, jak się zakończą kolejne poszukiwania.

Dzieje jednego zegarka

Oczekiwanie na wiosnę i pogodę umożliwiającą wznowienie prac ekshumacyjnych nie przebiegało jałowo. Poza załatwianiem formalności i kwestii organizacyjnych, wśród których najważniejsze było uzyskanie zgody na rozebranie budynku użytkowanego przez Służbę Więzienną (dawna chlewnia została ostatnio przebudowana na salę odpraw), należało się zająć analizą dotychczasowych prac i wydobytych podczas ekshumacji przedmiotów. Znaleźliśmy bowiem m.in. liczne części ubioru, obuwia, rzeczy osobiste, monety, biżuterię, łuski i naboje

od amunicji. Do najciekawszych znalezisk należały z pewnością kieszonkowy złoty zegarek i medalik. Po oczyszczeniu i konserwacji, których podjął się Paweł Niziołek z białostockiego oddziału IPN, okazało się, że są na nich niewidoczne przedtem grawerunki. Na wewnętrznej powierzchni dekla szwajcarskiej silwany znajdowała się dedykacja: „Prezesowi Feliksowi Filipowiczowi na pamiątkę pierwszych pięciu lat wspólnej pracy Urzędnicy Wodociągu Białostockiego 1.XII.–1933”. Z kolei medalik z wizerunkiem Matki Bożej Nieustającej Pomocy ktoś opatrzył inskrypcją: „Z błogosławieństwem Matki 4.III.1927.”. Młody mężczyzna z przestreloną czaszką miał przy sobie m.in. niemiecki bilet kolejowy oraz kartkę z tekstem piosenki Mieczysława Fogga z 1932 roku *Serce matki*. Upublicznienie wszystkich tych znalezisk nie doprowadziło do uzyskania jakiegokolwiek pomocy w identyfikacji ofiar. Nic nie dała nawet imienna dedykacja zegarka, Feliks Filipowicz zmarł bowiem śmiercią naturalną w czasie wojny i spoczął na jednym z białostockich cmentarzy, a jego rodzina nie potrafiła wyjaśnić, jak ten zegarek mógł trafić do kogoś, kogo pogrzebano w przywiezionym ogrodzie.

W maju 2014 roku do prac w Białymstoku wróciła niemal w komplecie ta sama ekipa badawcza, co – ze względu na zdobyte w poprzednich miesiącach doświadczenie – gwarantowało skuteczne kontynuowanie poszukiwań. Zaplanowaliśmy cztery tygodnie prac, co z zapasem miało wystarczyć na odnalezienie i ekshumację szczątków tych kilkunastu, kilkudziesięciu kolejnych ofiar, których się spodziewaliśmy. Budynek chlewni nie był już przeszkodą, bo za zgodą władz aresztu i konserwatora zabytków został rozebrany. Przez kilka dni mieli-

śmy pracować w dwóch miejscach jednocześnie, gdyż obecność specjalistów postanowił wykorzystać inny prokurator z białostockiego oddziału IPN – Radosław Ignatiew, prowadzący





Fot. Marcin Zwolski

śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych w więzieniu. Chciał zweryfikować relacje mówiące o odnajdywaniu w latach powojennych (aż do lat osiemdziesiątych) kości ludzkich w piwnicy budynku administracyjnego. Ponieważ z wielu dokumentów i relacji wiadomo, że w tych piwnicach w latach 1946–1956 wykonywano wyroki śmierci orzeczone przez sądy komunistyczne, głównie na żołnierzach i współpracownikach powojennego podziemia niepodległościowego, doniesienia o możliwości pogrzebania tam zwłok niektórych ofiar należało potraktować poważnie.

Wiedza zdobyta podczas prac w 2013 roku procentowała. Wytyczone pole grobowe było pełne nieregularnych, zbioro-

► Archeolog Adam Sawczuk odstawia znalezione szkielet



Fot. Marcin Zwolski

wych jam, w których przemieszane bezładnie kości stanowiły nieraz zagadkę dla antropologów, dbających o to, aby każdy odrębny szkielet w całości trafił na stół sekcyjny. W prowizorycznej bazie, zorganizowanej na zapleczu prac, szczątki ofiar były analizowane i opisywane przez antropologów. Przed włożeniem do trumienek kości trafiały jeszcze w ręce genetyków, którzy pobierali próbki do analizy DNA. Wszystko odbywało się protokolarnie, pod nadzorem prokuratora Kulikowskiego.

Ten skomplikowany proces nie był jednak tak trudny jak opanowanie emocji. Widok szkieletu noworodka wtulonego w ramiona kobiety, prawdopodobnie matki, szczątki kilkuletniej dziewczynki z zachowanym, zaplecionym warkoczkiem albo drobniutkie kości nienarodzonego dziecka spoczywające w łonie matki wznuszały jeszcze bardziej niż pogruchotany szkielet mężczyzny skatowanego na śmierć w tak niewyobrażalnie okrutny sposób, że trudno było znaleźć kość nienoszącą śladów obrażeń. Niemal każdy z odkrywanych grobów opowiadał inną historię. W jednym spoczywały osoby, które rozstrzelano bezpośrednio nad wykopany dołem, w kolejnym – zamordowani strzałem w głowę, gdzie indziej szczątki dzieci, których stopień niedożywienia świadczył o możliwej śmierci głodowej. Były też jamy zawierające dwoje dorosłych – mężczyznę i kobietę – oraz dzieci, wywołujące skojarzenia z pochówkiem rodzinnym. Grobów pojedynczych było zaledwie kilka, większość stanowiły zbiorowe, a nawet warstwowe – poszczególne warstwy ciał były przysypywane piaskiem, czasem wapnem, a następie układano na nich kolejne.

W największej jamie spoczyły szczątki 31 osób. Do ciekawostek tego etapu należało odnalezienie zwłok

mężczyzny w drewnianej trumnie. Nieco później kwerendy historyczne dowiodły, że w czasie wojny w stosunku do niektórych, wybranych więźniów, Niemcy zastosowali w Białymstoku taką formę pochówku. W pozostałych przypadkach grzebano bez trumien.

Liczba jam grobowych i wydobywanych z nich szczątków ofiar rosła z każdym dniem i już po tygodniu pojawiły się wątpliwości, czy zaplanowany miesiąc wystarczy do zakończenia prac. Mimo to przystąpiliśmy do sprawdzenia zawartości piwnic więziennego biurowca. Część ekipy zaczęła przekopywać dwa niewielkie pomieszczenia. Pracując pod nadzorem prokuratora Ignatiewa, osoby te odnalazły szczątki dwóch mężczyzn z przestrzelonymi czaszkami. Potwierdziło się tym samym istnienie kolejnego miejsca, gdzie oprawcy ukrywali zwłoki pomordowanych.

Miesiąc nie wystarczył. Liczba ofiar ekshumowanych na terenie dawnego więzienia w Białymstoku wzrosła do ponad 190 (część jam była naruszona przez późniejsze prace na tym terenie, nie wszystkie szkielety były kompletne, co w kilku przypadkach uniemożliwiło precyzyjne określenie liczby ofiar). Przygotowania do kolejnych etapów rozpoczęliśmy natychmiast. Wszystkim zależało na tym, aby sprawę białostockiego pola śmierci – bo tak zaczęto coraz częściej określać to miejsce – zakończyć jeszcze w 2014 roku.

Każdą piędź ziemi

We wrześniu przez trzy tygodnie kontynuowaliśmy ekshumacje na terenie dawnego ogrodu, borykając się tymczasem z usunięciem kolejnych przeszkód terenowych. Między innymi rozebraliśmy kilkadziesiąt metrów ogrodzenia zewnętrznego, usunęliśmy słupy oświetleniowe, wycięliśmy dwa drzewa i wyrwaliśmy z ziemi betonowe części dawnych silosów spożywczych – pod tymi wszystkimi elementami były kolejne jamy grobowe. Dopiero wtedy odnaleźliśmy pierwsze przedmioty użytkowe, które bezsprzecznie dowiodły, że niektóre jamy powstały w okresie powojennym. Były to np. powojenne guziki

wojskowe, a jeden z pogrzebanych miał przy sobie monetę, którą wprowadzono do obiegu w latach pięćdziesiątych XX wieku. Więzienni „grabarze” wykorzystywali niemal każdą dostępną piędź ziemi. Pod niepozornym blaszakiem odnaleźliśmy zapomnianą i zasypaną piwnicę – prawdopodobnie powojenny skład na kieszonki. W środku znajdowały się zakopane trzy ofiary. Był to kolejny dowód na to, że nie można tu zlekceważyć ani kawałka terenu. A przecież w lipcu 2013 roku tak niewiele brakowało do tego, żebyśmy opuścili przywieziony ogród bez odnalezienia śladów szczątków ofiar.

Głównym zadaniem, jakie w porozumieniu z prowadzącym śledztwo prok. Kulikowskim wyznaczaliśmy na wrześniu, było – w razie niemożności zakończenia prac – wyznaczenie chociaż granicy pola grobowego, które przybrało tymczasem kształt litery „L”.

Wszystkich szczątków nie udało się ekshumować, chociaż wydobyto kolejnych 86 ofiar, ale koniec pola grobowego został ustalony. Mimo to trudno wciąż mówić o końcu prac na tym terenie, gdyż w jednym z sondaży wykonanych po przeciwległej stronie dawnego ogrodu, w bezpośrednim sąsiedztwie jed-

nego z ulokowanych tam obecnie bloków mieszkalnych, stwierdzono kolejny pochówek. Czy jest on pojedynczy, czy stanowi część kolejnego pola grobowego – na to pytanie nie znamy jeszcze odpowiedzi.

W listopadzie prokurator Ignatiew ponownie sprowadził ekipę do piwnic budynku administracyjnego białostockiego aresztu. Ze względów organizacyjnych



► Medyk sądowy, prof. Mirosław Parafiniuk, i antropolog, Katarzyna Kuźniarska, dokonują oględzin ekshumowanych szczątków

nie było możliwe przebadanie wszystkich pomieszczeń naraz (korzystają z nich pracownicy aresztu), jednak już w tych, które udało się przekopać, znaleźliśmy kolejne cztery ofiary. Na pozostałe pomieszczenia przyjdzie czas w bieżącym roku.

Światło pamięci

Statystyka nie oddaje prawdziwego znaczenia dotychczasowych prac ekshumacyjnych na terenie Aresztu Śledczego w Białymstoku, jednak czuję się zobowiązany do jej podania. Na terenie dawnego ogro-

du więziennego przebadaliśmy 48 jam grobowych, z których udało się ekshumować szczątki co najmniej 283 ofiar. W piwnicach administracji odnaleziono jeszcze sześciu mężczyzn. Liczba ofiar zaskoczyła, ale nie tak bardzo jak ich wiek i płeć. Okazało się bowiem, że 15 proc. z nich stanowiły kobiety i aż 30 proc. dzieci. Kim byli ekshumowani? Teraz możemy stwierdzić na pewno,

że są wśród nich ofiary niemieckich egzekucji i osoby zmarłe w więzieniu w czasie wojny z głodu i chorób. Są też dowody na obecność wśród ekshumowanych ofiar represji powojennych, w tym żołnierzy podziemia niepodległościowego. Za wcześniej, aby mówić o innych hipotezach, które powoli się wyłaniają.

Szczątki 289 ofiar, a prawdopodobnie nawet o kilka więcej – taki jest bilans półtora roku prac. Ekshumowanie pozostałych, co wkrótce nastąpi, nie zakończy zadania. Pro-

kuratorska i historyczna analiza zebranego materiału zajmie zapewne kilka lat. Prawdopodobnie jeszcze dłużej potrwać prace identyfikacyjne prowadzone przez Polską Bazę Genetyczną Ofiar Totalitaryzmów. Jej szef, dr Andrzej Ossowski, ciągle apeluje do członków rodzin poszukiwanych ofiar wojennych i powojennych zbrodni na Białostoczyźnie o przekazywanie materiału DNA do badań porównawczych. Do tej pory pobrano takowy od około 150 osób, ale to wciąż zdecydowanie za mało. Mimo wszystko liczymy na to, że w bieżącym roku poznamy już nazwiska pierwszych zidentyfikowanych. Że wrócą do nas ich twarze, z ciemności zapomnienia do światła pamięci. Drugi raz na pewno nie pozwolimy im schować się w mroku. ■

dr Marcin Zwolski – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku, uczestnik prac ekshumacyjnych na terenie białostockiego więzienia, autor książki *Więzienie w Białymstoku w latach 1944–1956* (2011)



Dziś w nocy umrze miasto

Jerzy Eisler

W latach II wojny światowej mieszkańcy właściwie wszystkich większych miast niemieckich długo zazdrościli drezdeńczykom spokojnych nocy i dni, wolnych od alianckich nalotów. Przez blisko trzy lata Drezno omijały bowiem kolejne fale anglo-amerykańskich bombardowań. Do czasu.

Gdy jeszcze Drezno spało spokojnie, inne niemieckie miasta, a zwłaszcza ważne węzły kolejowe i centra przemysłowe, były wielokrotnie burzone i podpalone; rekordziści na tej tragicznej liście – jak na przykład Essen – doświadczyli tego grubo ponad sto razy w ciągu zaledwie kilku lat. Drezdeńczycy nie wiedzieli oczywiście, czemu zawdzięczają to niezwykle dla nich wyróżnienie. Pewną popularnością cieszyła się nawet plotka, że w Dreźnie mieszka ciotka brytyjskiego premiera Winstona Churchilla i to jego interwencji miasto zawdzięcza spokój. Najpewniej gdyby mieszkańcy tej „Florencji Północy” wiedzieli, co (do czasu) ocaliło ich miasto – ich radość zamieniłaby się w totalne przerażenie. Wiele wskazuje bowiem na to, że Amerykanie wstrzymali się z nalotami na Drezno dlatego, że wyznaczyli je na pierwszy cel przygotowywanej w największej tajemnicy bomby atomowej. Chodziło o to, aby bombę zrzucić na miasto niezniszczone i zamieszkanе, z którego nie ewakuowano dużej części ludzi, i w ten sposób móc w pełni ocenić skuteczność nowej broni.

Umrzeć za Rosję?

Jednak w początku lutego, gdy rozpoczynała się konferencja „wielkiej trójki” w Jałcie, wiadomo już było, że Amerykanie nie mają jeszcze bomby atomowej i nie będą jej mieli w ciągu najbliższych kilku miesięcy. W tym miejscu pojawiają się dwie częściowo ze sobą sprzeczne, a częściowo uzupełniające się wersje okoliczności towarzyszących podjęciu decyzji o nalocie na Drezno. W myśl jednej, zachodni alianci nie byli zainteresowani tym, aby w czasie zimowej ofensywy w 1945 roku Armia Czerwona zajęła niezniszczone miasto i mogła w pełni korzystać z jego infrastruktury. Tym bardziej że było niemal pewne, iż po wojnie Drezno znajdzie się w radzieckiej strefie okupacyjnej, a w owym czasie relacje między aliantami stopniowo się pogarszały. Z dzisiejszej perspektywy można nawet mówić o nadciągających z wolna podmuchach zimnej wojny.

Wedle drugiej wersji, Churchill chciał właśnie w ten sposób wesprzeć Sowiec, a zarazem zademonstrować siłę alianckiego lotnictwa bombowego. I prawdopodobnie to przypadek sprawił, że 13 lutego 1945 roku, kilka godzin przed wylotem bombowców Royal Air Force nad Drezno, w BBC odczytano komunikat

informujący o ustaleniach konferencji krymskiej. W ten sposób piloci ze stacjonującego w Faldingworth polskiego bombowego Dywizjonu 300 dowiedzieli się o tym krótko przed odprawą bojową, w czasie której zakomunikowano im, że mają „lecieć nad Drezno, aby pomóc Armii Czerwonej”. Wzburzenie wśród Polaków było ogromne, a część lotników oświadczyła wręcz, że nie będzie wspierać Rosjan. Dowódca nie bez problemów opanował buntownicze nastroje wśród podległych mu pilotów.

Stan ich emocji doskonale oddawał list napisany na gorąco przez jednego z nich do przyjaciela: „Tej nocy mamy atakować Drezno, jako wsparcie dla Armii Czerwonej. Nie byłoby w tym niczego wyjątkowego, gdyby nie to, że mamy wykonać takie zadanie w chwili, gdy nasze serca krwawią po kolejnym rozbiórce Polski dokonany w Jałcie. [...] czasem zastanawiam się, czy to wszystko ma sens. Jeśli Niemcy mnie teraz dorwą, nie będę nawet wiedział, za co umieram. Za Polskę, za Wielką Brytanię czy za Rosję?”. Autor tych słów przeżył nocny rajd nad Drezno, lecz zginął dziesięć dni później pod-



czas nalotu na inne niemieckie miasto. Wszyscy polscy piloci biorący udział w bombardowaniu Drezna (około trzystu) na wszelki wypadek otrzymali brytyjskie chorągiewki, gdyby musieli lądować awaryjnie na terenach opanowanych przez Armię Czerwoną. Miało ich to ochronić przed uwięzieniem przez „sojuszników naszych sojuszników”.

Goebbels dopisuje zero

Niezależnie od tego, co ostatecznie przesądziło o podjęciu decyzji o bombardowaniu Drezna, w brytyjskim nalocie w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku w dwóch falach uczestniczyło w sumie 796 bombowców typu Lancaster i dziewięć typu Mosquito. O 22.13 na miasto spadły pierwsze bomby. Atakowały samoloty z brytyjskiej 5. Floty, z którymi współdziałały maszyny prowadzone przez polskie załogi. Druga fala, którą tworzyło 529 Lancasterów z 1., 3. i 6. Floty RAF, zaatakowała już 14 lutego o 1.30. Wreszcie w południe tego samego dnia bombardowanie miasta rozpoczęło 311 amerykańskich „latających fortec” B-17. Straty aliantów były niewielkie i wyniosły zaledwie dziewięć Lancasterów.

Tymczasem Drezno, pozbawione właściwie obrony przeciwlotniczej, zostało zrujnowane. Całkowitemu zniszczeniu uległ obszar 39 km kw., przy czym najbardziej spustoszone zostało

zabytkowe centrum miasta, a nie sporo od niego oddalone obszary przemysłowe. Później niekiedy tłumaczono, że nalot nie miał większego sensu ze strategicznego punktu widzenia. Dopiero w 2004 roku brytyjski badacz Frederick Taylor w książce niemal równocześnie opublikowanej w Wielkiej Brytanii i w Niemczech (tytuł angielski: *Dresden. Tuesday, 13 February 1945*) przekonująco dowodził, że istniały jednak względy wojskowe, uzasadniające zbombardowanie saksońskiej stolicy. Historycy odparli też zarzut, jakoby aliancy piloci strzelali z broni pokładowej do ludności cywilnej. Zarzut ten uznano za bezzasadny ze względu na zbyt wysokie pułap lotów.

Skoro dochodzimy do kwestii strat w ludziach, to należy przypomnieć, że propaganda narodowosocjalistyczna od początku manipulowała danymi, znacznie zawyżając liczbę ofiar. Kłamstwa ułatwiało to, że w centrum Drezna palono zwłoki na ogromnych rusztach ułożonych ze stalowych konstrukcji budowlanych. Robiono tak z obawy przed wybuchem epidemii. Zabitych nie można było bowiem szybko pochować na cmentarzach, ponieważ ulice do nich prowadzące były nieprzejezdne z powodu zalegającego na nich gruzu. Profesor Tomasz Szarota, któremu bardzo dziękuję za udostępnienie materiałów pomocnych przy pisaniu niniejszego tekstu, już przed laty zwrócił uwagę na to, że podobnymi gigantycznymi rusztami niemieccy naziści posłużyli się w obozie w Treblince, gdzie na masową skalę – paląc ciała ofiar – zacierali ślady własnych zbrodni. W Dreźnie, chociaż dokładnie policzono liczbę spalonych – było ich 6865 – Goebbelsowska propaganda, aby oskarżać Amerykanów i Brytyjczyków o ludobójstwo i zbrodnie na bezbronnej ludności cywilnej, dodała do zacytowanej liczby zero i podała, że spalono 68 650 ciał. W następstwie tych manipulacji i fałszerstw później przez lata podawano różne, bardzo od siebie (i od rzeczywistości) odległe dane dotyczące liczby ofiar nalotów na Drezno. Można było nawet spotkać informacje mówiące o tym, że zginęło tam łącznie 400–500 tys. ludzi. Wraz z upływem lat liczba ta jednak systematycznie się zmniejszała. Ostatecznie w 2011 roku specjalna komisja powołana przez władze Saksonii ogłosiła, że liczba ofiar nie przekroczyła 25 tys.

Drezno jak Warszawa

Jednym z naocznych świadków nalotu na Drezno był Jan Rybkowski, przebywający wtedy w Niemczech na robotach przymusowych. W 1959 roku przygotował projekt opartego na wątkach autobiograficznych filmu *Dziś w nocy umrze miasto*. Znanca polskich filmów wojennych Piotr Zwierzchowski napisał, że realizacja tego obrazu była wówczas „niemożliwa z powodu niewłaściwego politycznego naświetlenia problemu. Czy mógł powstać film, który byłby niemalże intymnym sprawozdaniem z wędrówki przez piekło?”. Jan Rybkowski przy udziale Leona Kruczkowskiego zaczął więc przerabiać scenariusz, co w praktyce miało mu odebrać osobisty, bardzo intymny charakter. Pierwotnie narracja była prowadzona w pierwszej osobie i na czoło wysuwało się „doświadczenie



Fot. Filmoteka Narodowa

jednostki, osadzone w konkretnym miejscu i czasie. Piotr (w tej roli wystąpił Andrzej Łapicki) wędruje przez Drezno, scenariusz koncentruje się cały czas na nim, nie ma dialogów, innych bohaterów, liczą się tylko wspomnienia i trauma. Intymność tego tekstu jest wręcz dojmująca, nie liczy się nic prócz Piotra i Drezna” – pisze Zwierzchowski.

Scenariusz filmu został wysoko oceniony przez Komisję Oceny Scenariuszy, ale od razu pojawiły się liczne zastrzeżenia natury politycznej. Nie można bowiem zapominać, że na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – po pewnym ociepleniu w stosunkach między Wschodem a Zachodem w połowie lat pięćdziesiątych – następował nawrót zimnej wojny. W propagandzie antyzachodniej w państwach bloku radzieckiego stosunkowo często podważano militarny, a zwłaszcza moralny sens alianckich nalotów dywanowych na niemieckie miasta. W Niemieckiej Republice Demokratycznej w zbombardowaniu Drezna chciano się dopatrywać zbrodni zachodnich aliantów, zagłady miasta pełnego ludności cywilnej, bezbronnego, pozbawionego na dodatek większego znaczenia strategicznego. Jak starałem się wyżej pokazać, na całą tę sprawę nie można patrzeć w tak jednowymiarowy sposób.

Wydaje się jednak, że krytykom scenariusza chodziło raczej o to, żeby – jak to ujął Ludwik Starski – jeżeli już pokazywać niszczone miasto, „nie powinno być to Drezno, ale Warszawa”. Starskiemu zależało na tym, aby „Niemcy nie byli na pierwszym planie, a żeby było pokazane bombardowane miasto”. Krzysztof Teodor Toeplitz zwracał zaś uwagę na to, że jest „to pierwszy film o wojnie, który traci charakter narodowy”. Ostatecznie do scenariusza wprowadzono dużo

więcej postaci różnej narodowości, a losy głównego bohatera zostały „wpisane w doświadczenia innych osób przebywających w Dreźnie”. Piotr Zwierzchowski pisał, że obraz Rybkowskiego miał się stać swoistą przeciwwagą dla dzieł szkoły polskiej. Ujął to dosadnie Leon Kruczkowski, współscenarzysta *Dzisiaj umrze miasto*, stwierdzając m.in., że „tak ambitne pod względem ideowym i artystycznym zamierzenie nabiera szczególnej wagi. Daje nam ono możliwość wyjścia z »bagienka« *Niewinnych czarodziejów* i z zaklętego kręgu tematyki »akowskiej«, »kanałowej«”. Swoistej „polonizacji” *Dzisiaj umrze miasto* miała zapewne służyć chyba nieprzypadkowo wybrana data premiery: 4 września 1961 roku.

Plenerowe zdjęcia do filmu zrealizowano w Dreźnie. Reżyser zgromadził na planie doborową obsadę aktorską. Główne role zagraли Andrzej Łapicki i coraz bardziej wówczas popularna Beata Tyszkiewicz, która wcieliła się w rolę pięknej Niemki Magdy, kochanki gestapowca. Obok nich – niejednokrotnie nawet w rolach trzecioplanowych i epizodach – wystąpili m.in.: Ignacy Gogolewski, Barbara Horawianka, Kalina Jędrusik, Emil Karewicz, Barbara Krafftówna, Danuta Szaflarska czy Roman Wilhelm, a także niepojawiający się w czołówce Jan Machulski i Leon Niemczyk.

Zło nieprzekreślone

Akcja filmu rozgrywa się w ciągu ok. 24 godzin, jakże bogatych w wydarzenia. W tym czasie w zasadzie umarło tytułowe miasto, a główni bohaterowie stanęli w obliczu trudnych decyzji do wyobrażenia problemów. Narracja zaczyna się od sceny ucieczki młodego Polaka – Piotra – z kolejowego transportu więźniów. Potem jakby jego oczami oglądamy Drezno i innych ludzi. Towarzyszymy mu niemal przez cały czas. Jego oczyma obserwujemy też sam nalot. Wydaje się, że szczególne wrażenie na ówczesnych widzach robiła scena, w której alianccy jeńcy wojenni, nie bacząc na własne bezpieczeństwo i płacąc za to określoną cenę, cieszą się w czasie nalotu i okrzykami zagrzewają swoich – niesłyszących ich przecież – kolegów pilotów, by zrzucali więcej, więcej i jeszcze więcej bomb. W pamięć zapada również końcowa scena filmu. Bohaterowie wraz z wieloma uchodźcami ze spalonego miasta przeprawiają się przez rzekę. Mogłoby się wydawać, że wspólne przeżycia jakoś ich w nieszczęściu zbliżyły do siebie, może nawet – choć to jednak chyba nazbyt śmiała teza – upodobniły. Ale na drugim brzegu rzeki patroli SS sprawdzają wszystkim dokumenty. Niemców kierują w jedną stronę; wszystkich „podludzi” w drugą. Twórcy tego nagradzanego na różnych festiwalach filmu chcą nam zapewne powiedzieć, że nawet taka hekatomba, jakiej byliśmy przed chwilą świadkami, nie przekreśla całego zła w ludziach, które przyniósł ze sobą, a może tylko wydobyl z nich, nazizm. ■

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzysy w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

M16 – amerykański kałasznikow

CZ. 2

Michał Mackiewicz

Doświadczenia z pól bitewnych II wojny światowej skutkowały gorączkowym poszukiwaniem następcy karabinu powtarzalnego, a więc przeladowywanego ręcznie. To właśnie w ich wyniku w 1949 roku w ZSRR przyjęto do uzbrojenia słynnego AK (*awtomat* Kałasznikowa). Tymczasem w USA, bądź co bądź ojczyźnie najgenialniejszych konstruktorów broni strzeleckiej, droga do karabinu automatycznego okazała się nad wyraz wyboista.

Samopowtarzalny ośmiostrzzałowy M1 Garand (armia amerykańska była jedyną w czasie II wojny światowej, w której broń samopowtarzalna była standardowa), dostosowany do naboju kal. 30-06 (7,62 x 63 mm), sprawdził się znakomicie w Europie i na wyspach Pacyfiku, a problem niedostatecznej siły rażenia peemów rozwiązano, wdrażając do masowej produkcji karabinki M1 i M2, strzelające nabojem kal. 30 (7,62 x 33 mm). Amerykanie zdawali sobie sprawę ze wzrastającego znaczenia ognia automatycznego, pilnie wszak przestudiowali niemieckiego Sturmgewehra, ale nie planowali rewolucji we własnym systemie broni strzeleckiej, tym bardziej że obce im były falowe ataki piechoty rodem z frontu wschodniego, a zwycięstwo zawdzięczali raczej zdecydowanej przewadze technologicznej niż uporowi żołnierzy uzbrojonych w broń strzelecką.

Już w latach czterdziestych podjęto prace nad udoskonaleniem Garanda, które miały uczynić z niego broń samoczynno-samopowtarzalną, ale miały one raczej charakter sondażowy. Dlatego w trakcie wojny koreańskiej amerykańskie uzbrojenie strzeleckie pozostawało w zasadzie bez zmian, wciąż np. brakowało erkaemu z prawdziwego zdarzenia (bo nie był nim ani BAR, ani Browning M1919A4). I właśnie brak odpowiedniej

broni zespołowej dla drużyny piechoty oraz problem standaryzacji uzbrojenia po powstaniu NATO w 1949 roku spowodowały, że w latach pięćdziesiątych zdwojono wysiłki nad stworzeniem nowego systemu broni strzeleckiej. Równoległe z opracowywaniem karabinu automatycznego dla wojsk sojuszu trwały prace nad nabojem. W 1954 roku przyjęto – o ironio! – klasyczny nabój karabinowy 7,62 NATO (7,62 x 51 mm). Był to bez wątpienia krok wstecz. W tej sytuacji nie można było nawet myśleć o stworzeniu praktycznego karabinu szturmowego! Na dodatek narodowe ambicje sprawiły, że nie udało się zestandaryzować broni. W kilku krajach NATO przyjęto belgijskiego FAL-a (Fusil Automatique Léger),

► Wczesny M16 (formalnie AR-15 w wersji XM16E1) produkcji Colta; były to pierwsze karabiny tego wzoru, które trafiły wraz z amerykańskimi żołnierzami do Wietnamu

opracowanego w zakładach Fabrique Nationale, Amerykanie zaś w 1957 roku wybrali karabin M14 (US Rifle 7,62 M14). Był on niczym więcej jak udoskonaloną wersją Garanda, przy czym zasadniczą przewagą nad poprzednikiem wynikała z zastosowania wymiennego dwudziestonabojowego magazynka pudełkowego dołączanego od dołu, zamiast niepraktycznego ośmionabojowego ładownika. M14 był co prawda teoretycznie dostosowany do ognia automatycznego (posiadał skrzydełkowy przełącznik), ale z uwagi na silny nabój zupełnie się do tego nie nadawał, wobec czego w seryjnych egzemplarzach przełącznik ustawiano fabrycznie na ogień pojedynczy (samopowtarzalny), eliminując jednocześnie skrzydełko i uniemożliwiając tym samym żołnierzowi zmianę trybu ognia. W celu prowadzenia ognia automatycznego opracowano wersję z ciężką lufą i dwójnogiem, oznaczoną M15 (nie weszła do produkcji seryjnej), a potem zmodyfikowany wzór M14A1, ale i ten karabin był zbyt lekki, by prowadzić efektywny ogień seryjny (podobnie sprawa wyglądała z „ciężką” wersją FAL-a).

Trudno przewidzieć, jak długo Amerykanie brnęliby w tę „ślepią uliczkę”, gdyby nie błyskotliwy Eugene Stoner i wojna w Wietnamie. ►



Fot. MWPP

Fot. MWPP



▶ Poprzednicy M16 – M1 Garand, M14

Karabin, który wyprzedził epokę

Urodzony w 1922 roku w Gosport w stanie Indiana, Eugene Morrison Stoner ukończył średnią szkołę techniczną w Long Beach. Karierę zawodową zaczął w 1939 roku w firmie instalującej uzbrojenie pokładowe w bombowcach, co sprawiło, że po wstąpieniu do Korpusu Piechoty Morskiej zajmował się niemal dokładnie tym samym. Mając już niemałe doświadczenie z bronią automatyczną, w 1954 roku został szefem inżynierów w zakładach ArmaLite, będących wówczas częścią korporacji Fairchild Engine & Airplane. W ArmaLite prowadzono badania nad różną bronią strzelecką. Zanim poja-

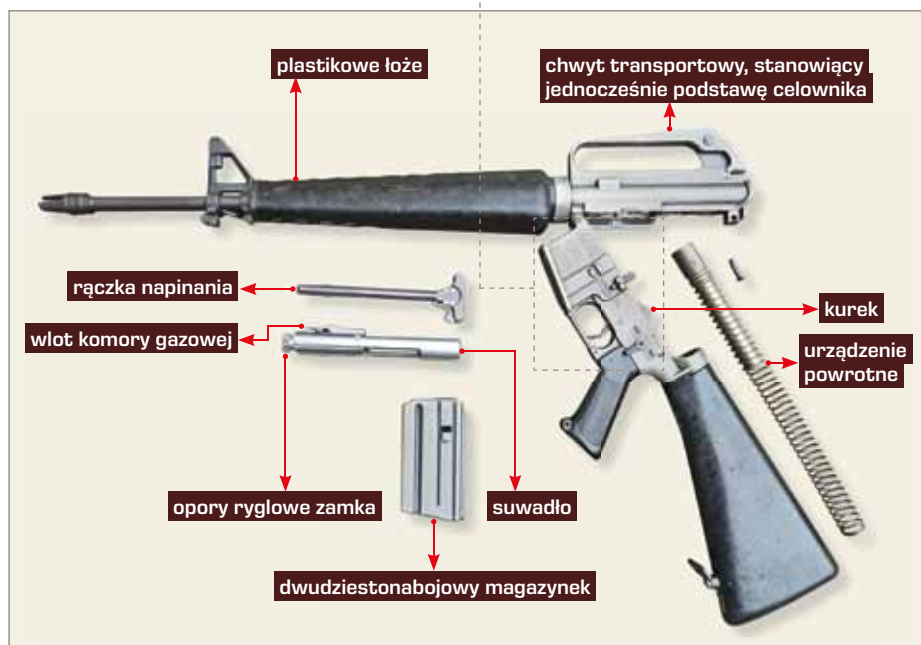
wił się słynny AR-15 (protoplasta M16), firma opracowała wiele superlekkich karabinów (kal. 7,62 mm NATO i kal. .22), wykorzystując do ich budowy aluminium lotnicze i włókna szklane. W połowie lat pięćdziesiątych rozpoczęto prace nad nowym projektem – karabinem AR-10. Choć, podobnie jak w wypadku radzieckiego AK, skompilowano w nim wcześniejsze rozwiązania (np. zamek skopiowano z samopowtarzalnego karabinu Johnsona M1941), broń wydawała się pe-

wolucyjna. Od razu rzucały się w oczy liniowy układ (kolba i lufa w jednej osi), wpływający na lepszą stabilność broni, oraz użyte materiały: komora zamkowa z aluminium, kolba, chwyt i łożo z utwardzonego włókna. AR-10 działał na zasadzie odprowadzania gazów prochowych, które przez cienki przewód gazowy parły bezpośrednio na suwadło. Zamek ryglowany był przez obrót (w suwadle znajdowało się profilowane wycięcie współpracujące z występem trzonu zamkowego), czółko zamka zaopatrzone w osiem symetrycznych rygli. Urządzenie powrotne znajdowało się w kolbie. Karabin dostosowano do naboju 7,62 mm NATO i zasilano z dwudziestonabojuowego magazynka pudełkowego. AR-10 miał charakterystyczny chwyt



▶ Sygnatury na komorze zamkowej, m.in. nazwa producenta (Colt), wersja (XM16E1), kaliber (5,56 mm) oraz numer seryjny

Fot. MWPP



Fot. MWPP

transportowy, który stanowił podstawę celownika i w którym znajdowała się ręczka napinacza umiejscowiona na górze komory zamkowej. Broń ważyła zaledwie 3 kg i wyglądała nieco futurystycznie (jak MP 38 niemal 20 lat wcześniej). AR-10 nie odniósł sukcesu, armia amerykańska nie była nim zainteresowana (właśnie wprowadzała do uzbrojenia M14), jedynie w Europie kilkanaście tysięcy sztuk wyprodukowali Holendrzy w rządowych zakładach Artillerie-Inrichtingen. Ale to właśnie ta broń stanowiła punkt wyjścia dla jednego z najsłynniejszych karabinów świata – M16.

Teraz należałoby się cofnąć nieco w czasie. Otóż kiedy prace nad nową amunicją i doskonaleniem przyszłego M14 trwały w najlepsze, a Stoner realizował swoje pierwsze projekty w ArmaLite, w pocie czoła pracowali członkowie cywilnego biura badawczego (Operations Research Office), powołanego przez armię w 1948 roku i mającego swoją siedzibę na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore. Wśród wielu poruszanych

Dane taktyczno-techniczne karabinu M16:

długość broni	986 mm
długość lufy	546 mm
masa bez magazynka	2,88 kg
szybkostrzelność teoretyczna	750–850 strz./min
prędkość początkowa pocisku	970 m/s

Fot. MW/P



problemów były m.in. kwestie dotyczące ran postrzałowych i efektywności broni. Wnikliwa analiza wykazała, że większość postrzałów jest przypadkowa, tzn. nie pochodzi od ognia celowanego. Innymi słowy, wyposażanie żołnierzy w dalekoosne i celne karabiny nie ma większego sensu, tym bardziej że wymiana ognia odbywa się zazwyczaj na dystansie nieprzekraczającym 300 m. Wnioski nasywały się same: żołnierzom trzeba dać do ręki lekką, kompaktową broń umożliwiającą prowadzenie gęstego, ale celnego i stabilnego ognia na dystansie do kilkuset metrów. Było to możliwe tylko w przypadku naboju o mocy mniejszej niż karabinowy. I takiej właśnie broni, dostosowanej do amunicji pośredniej kal. 22 (5,56 mm), zażyczyła sobie armia amerykańska w 1957 roku – do testów rzecz jasna. Oczekiwano lekkiego karabinka (do 2,5 kg) z przełącznikiem rodzaju ognia, dwudziestonabojowym magazynkiem, o zdolności penetracji na dystansie do 500 m. W szranki stanęły zakłady Winchestera z karabinem kal. 224 i ArmaLite z AR-15, który był po prostu przeprojektowanym AR-10, dostosowanym do zmodyfikowanego cywilnego naboju kal. 222 Remington (startowały też zakłady rządowe w Springfield, ale ich projekt odpadł w przedbiegach).

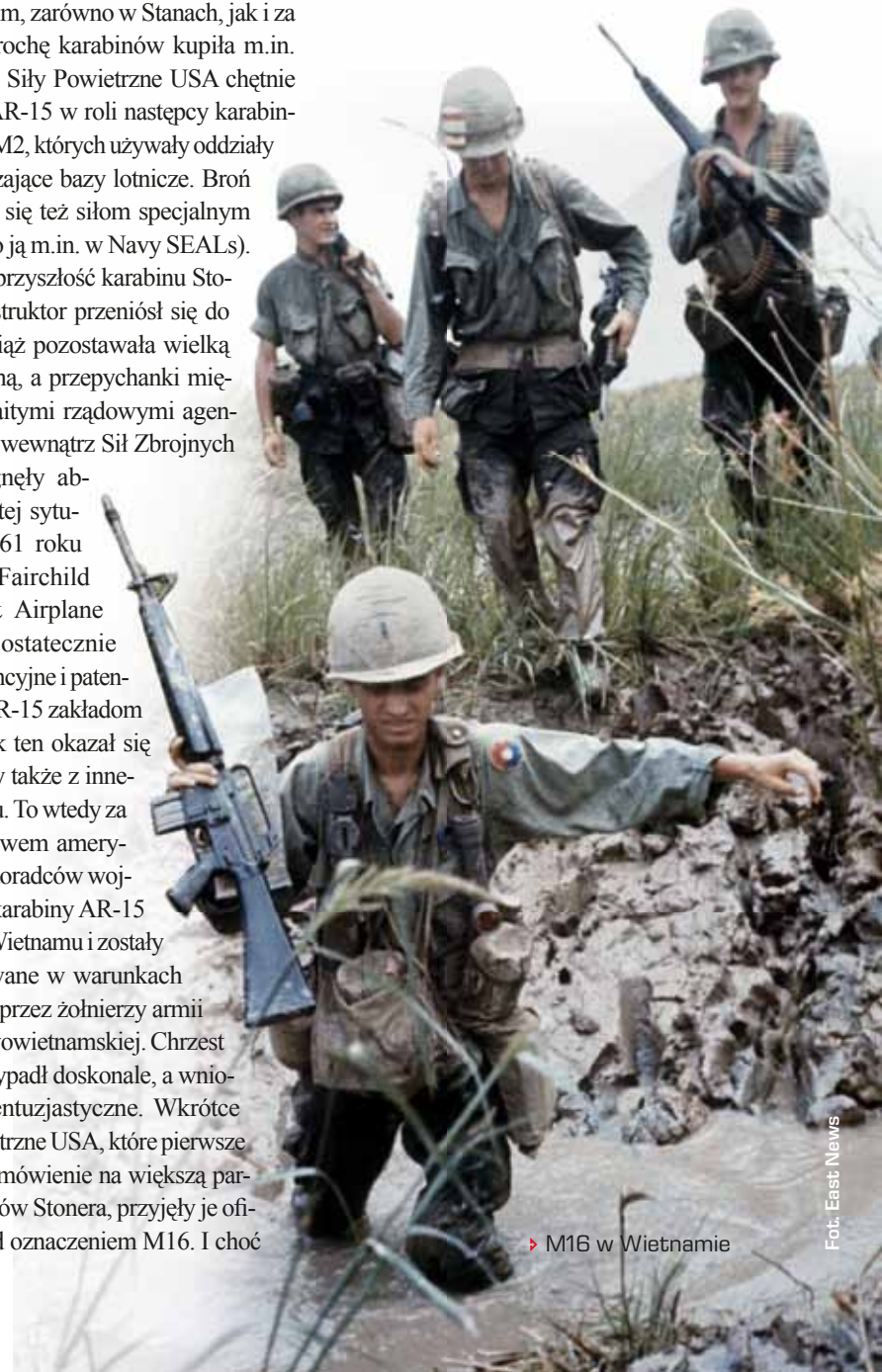
Narodziny legendy

Testy przeprowadzone w 1957 roku wykazały, że AR-15 jest bez wątpienia bronią perspektywną – lekką, poręczną, zachowującą się stabilnie przy ogniu seryjnym i umożliwiającą żołnierzowi zabranie większego zapasu amunicji niż w przypadku karabinów dostosowanych do amunicji 7,62 mm. Wciąż jednak pozostawał konstrukcją pionierską, niedopracowaną (narzekano na niedostateczną celność, słaby nabój) i wojskowi decydencki odnosili się do nowego karabinu nieufnie. Tym bardziej że właśnie przyjęto do

uzbrojenia M14, którego produkcja seryjna miała niebawem ruszyć. Rozliczne perturbacje i niepowodzenia do tego stopnia zniechęciły ArmaLite, że zdecydowała się podpisać umowę licencyjną z zakładami Colta. Decyzja ta niewątpliwie przysłużyła się karabinowi. Skuteczna akcja marketingowa legendarnego koncernu z Hartford przyczyniła się do zwiększenia zainteresowania nim, zarówno w Stanach, jak i za granicą (trochę karabinów kupiła m.in. Australia). Siły Powietrzne USA chętnie widziały AR-15 w roli następcy karabinów M1 i M2, których używały oddziały zabezpieczające bazy lotnicze. Broń spodobała się też siłom specjalnym (testowano ją m.in. w Navy SEALs). Niemniej przyszłość karabinu Stonera (konstruktor przeniósł się do Colta) wciąż pozostawała wielką niewiadomą, a przepychanki między różnymi rządowymi agencjami oraz wewnątrz Sił Zbrojnych USA sięgnęły absurdu. W tej sytuacji w 1961 roku koncern Fairchild Engine & Airplane sprzedał ostatecznie prawa licencyjne i patentowe do AR-15 zakładom Colta. Rok ten okazał się szczególnie także z innego powodu. To wtedy za pośrednictwem amerykańskich doradców wojskowych karabiny AR-15 trafiły do Wietnamu i zostały przetestowane w warunkach bojowych przez żołnierzy armii południowowietnamskiej. Chrząst bojowy wypadł doskonale, a wnioski były entuzjastyczne. Wkrótce Siły Powietrzne USA, które pierwsze złożyły zamówienie na większą partię karabinów Stonera, przyjęły je oficjalnie pod oznaczeniem M16. I choć

karabin czekała jeszcze długa i wyboista droga znaczone licznymi modyfikacjami (zmiana skoku gwintu w lufie, dodanie popychacza zamka, chromowanie wewnętrznych powierzchni, dopracowanie amunicji i in.), narodziny legendy stały się faktem. ■

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



► M16 w Wietnamie

Fot. East News

Orzeł z trąbki 39. Pułku Piechoty

Tomasz Zawistowski

Srebrny orzeł wz. 1919 zdołał ozdobić trąbkę sygnałową opatrzoną dedykacją: „Bohaterskiemu 39. Pułkowi Piechoty »Strzelców Lwowskich« w XV rocznicę powstania pułku – wdzięczny Lwów / 29.IV.1934”. Próba odtworzenia historii tego instrumentu wymaga przywołania realiów historycznych, w których używano go w służbie garnizonowej i na polu bitwy. Przy okazji można przypomnieć dwa nazwiska rodzin zasłużonych warszawskich przemysłowców. To dzięki ich kunsztowi powstała trąbka.

„**J**uż z pobliskich koszar 39. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich grają trębacz skocznią pobudkę, wtórują im sygnałówki sąsiedniego 3. Pułku Piechoty Legionów, a z daleka dochodzą niskie tony pobudki granej na skrzydlówce w tempie walca, wiadomo, pobudkę gra 24. Pułk Artylerii Lekkiej” – to fragment wspomnień kpt. Eugeniusza Buczyńskiego, oficera 39. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich, zatytułowanych *Smutny wrzesień*.

Pułk powstał w listopadzie 1918 roku we Lwowie w ramach porządkowania struktury oddziałów poszczególnych odcinków obrony miasta. Pierwotnie nosił nazwę 2. Pułku Strzelców Lwowskich. W 1919 roku otrzymał numer 39, zachowując przydomek „Strzelców Lwowskich”, a na garnizony wyznaczono mu Jarosław i Lubaczów. Piętnastą rocznicę powstania pułku obchodzono w Jarosławiu uroczysto; na terenie koszar wmurowano tablicę pamiątkową. Pośród wręczonych przez delega-

► Orzeł wz. 1919 produkcji Jana Knedlera oraz herb Lwowa na trąbce 39. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich



cje prezentów jeden zdecydowanie się wyróżniał: miasto *Semper Fidelis*, w dowód pamięci o swoich żołnierzach, zamówiło w warszawskiej firmie M. Glier trąbkę wykonaną ze srebra, ozdobioną okolicznościową dedykacją, herbem miejskim i wojskowym srebrnym orłem. Mogło się zdarzyć, że wspomnianą przez kpt. Buczyńskiego pobudkę odegrano na tej właśnie trąbce.

W końcu lat siedemdziesiątych XX wieku w niewyjaśniony sposób trąbka trafiła w ręce polskiego kolekcjonera zamieszkałego w Wiedniu. Skąd się tam wzięła? Odpowiedź na to pytanie może być dosyć prosta, po dziś dzień przecież w Niemczech i w Austrii odnajdują się zabytki, które żołnierze Wehrmachtu postraktowali jako zdobycz wojenną. Bardzo możliwe, że trąbka 39. pp przez lata ozdabiała jakiś niemiecki dom w charakterze trofeum.

Wiemy, że pułk we wrześniu 1939 roku wyruszył na front ze sztandarem i orkiestrą. Bił się na polach swoich własnych bitew sprzed dwudziestu lat – choć tym razem z innym wrogiem. W obliczu okrążenia armii pułkowy sztandar zakopano pod Rzęsną Ruską wraz z głowicą i tłokami pieczęci. Czy przy tej okazji ukryto przy nim inne pamiątki? Wiele wskazuje na to, że głowica sztandaru znajduje się w Musée de l'Armée w Paryżu, co oznaczałoby, że ktoś zdążył odnaleźć miejsce złożenia depozytu. Prawdopodobnie wpadł on w ręce niemieckie, ale dopiero w latach czterdziestych. Śladem wskazującym na to jest zachowane małoobrazkowe zdjęcie, na którym dwóch żołnierzy Wehrmachtu pozuje ze sztandarem 39. pp. Gdyby Niemcy odnaleźli tak cenne trofeum bezpośrednio po kampanii wrześniowej, z pewnością wykorzystaliby ten fakt do celów propagandowych, nie zdobyli wszakże w boju ani jednego polskiego

sztandaru. Trąbka mogła zostać ukryta i odnaleziona razem ze sztandarem, lecz mogła także zostać wyszperana przez niemieckiego żołnierza na porzuconym wozie taborowym. Ta historia zawiera zbyt wiele pytań, na które dzisiaj nie znamy odpowiedzi. Powróćmy zatem do czasów przedwojennych.

„Marszem bojowym pułku była Warszawianka. Orkiestra pułkowa posiadała w swoim składzie czterech fanfarzystów w historycznych mundurach z lat 1815–1831, płomienie (proporczyki) do fanfar ufundowali w 1932 roku kolejarze węzła PKP w Jarosławiu. Fanfarzystów w marszu poprzedzało czterech dobozów, również w mundurach historycz-

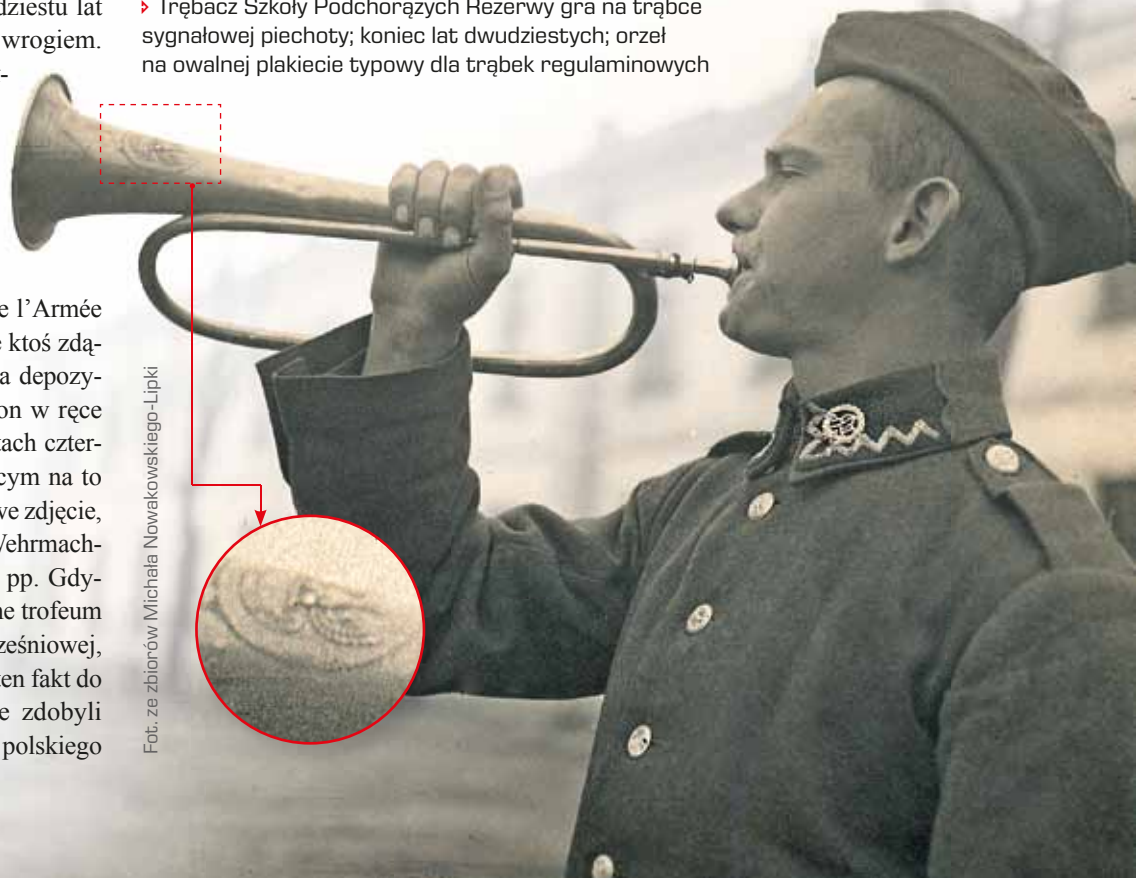
nych, z tarabanami” – czytamy w *Smutnym wrześniu*. Fanfarzyści w piechocie nie byli zazwyczaj członkami orkiestr pułkowych, lecz trębaczami w pocztach dowódców kompanii. Używali trąbek sygnałowych, których wygląd i strój były określone w regulaminie.

„Warunki techniczne odbioru materiałów wojskowych: trąbka sygnałowa dla piechoty” to dokument wydany 5 listopada 1931 roku przez Departament Intendentury Ministerstwa Spraw Wojskowych, a opisujący wymiary i budowę tytułowego instrumentu. Na podstawie tego dokumentu można stwierdzić, że trąbka 39. pułku jest w pełni regulaminowa, a jedynymi odstępstwami od przepisu są użyty materiał i zastosowane dekoracje: dedykacja na mankiecie, orzeł wz. 19 na górnej powierzchni trąbki oraz znajdujący się poniżej orła herb Lwowa w wersji zaprojektowanej przez Rudolfa ▶

▶ Trębacz Szkoły Podchorążych Rezerwy gra na trąbce sygnałowej piechoty; koniec lat dwudziestych; orzeł na owalnej plakiecie typowy dla trąbek regulaminowych



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów Michała Nowakowskiego-Lipki

Fot. ze zbiorów autora



► Sygnatura firmy M. Glier na trąbce 39. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich

Mękickiego, używanej już w 1934 roku, choć zatwierdzonej w zarządzeniu prezydenta RP dopiero w czerwcu 1936 roku. Tuż powyżej ustnika jest umieszczona sygnatura producenta: „M. GLIER WARSZAWA”.

Firma rodziny Glierów

Warszawska historia rodu Glierów sięga roku 1835, kiedy to urodzeni w Saksonii bracia Wilhelm i Jan założyli przy ul. Bednarskiej wytwórnię instrumentów dętych. Na wystawie w roku 1845 firma zaprezentowała czterdziestoosmioelementowy komplet instrumentów z wentylami tłokowymi, wykonany na zamówienie 1. rezerwowego batalionu saperów, za kwotę 2,3 tys. rubli. W 1860 roku pokazano zestaw 25 instrumentów dętych dla Noworosyjskiego Pułku Dragonów, za który zainkasowano 950 rubli. Z kolei 308 rubli wyniosła kara, na którą Wilhelm Glier został skazany przez władze rosyjskie za zrealizowanie w 1864 roku zlecenia złożonego przez intendenturę powstańczą. Kolejnymi właścicielami firmy byli syn i wnuk Wilhelma: Aleksander i Mieczysław. Również dla nich obu zamówienia instrumentów dla oddziałów wojskowych, i to zarówno stacjonujących w Królestwie Polskim, jak i w głębi imperium, stanowiły główne źródła dochodu.

Pierwsze lata polskiej niepodległości były dla firmy trudne. Niemcy zarekwirowali większość maszyn, a ponadto zmieniły się czasy i koniunktura. Trudno było oczekiwać, by młode wojsko ubogiego państwa składało lukratywne zamówienia na wieloelementowe wy-

► Srebrna trąbka 39. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich



Fot. ze zbiorów autora

posażenie pułkowych orkiestr dętych – choć oczywiście z biegiem czasu orkiestry takie miały powstać. Mimo to firma M. Glier realizowała zamówienia dla armii. Nie mogąc konkurować z tańszymi wytwórcami masowymi, takimi jak Emanuel Pacak z Wilna, zachowała palmę pierwszeństwa w zakresie jakości wykonania. Tak więc gdy Pacak dostarczał wojsku ogromną liczbę tanich instrumentów produkowanych seryjnie, przede wszystkim trąbek i werbli, do Gliera spływały zamówienia na instrumenty luksusowe, wykonane indywidualnie, nierzadko ze srebra.

Gwoli ścisłości należy wyjaśnić, dlaczego od 1935 roku firma nosiła nazwę „Rudzki i Glier – Warszawska Wytwórnia Instrumentów Muzycznych”. Otóż Bronisław Rudzki, znany i ceniony producent płyt gramofonowych, postanowił zadbać o przyszłość swego syna Kazimierza, więc wszedł w spółkę z Mieczysławem Glierem. Z tego, że Kazimierz Rudzki, zrezygnawszy z zarządzania przygotowaną dlań firmą, wybrał zupełnie inną drogę życia, do dziś mogą się cieszyć wielbiciele jego sztuki scenicznej.

Orły z firmy Jana Knedlera

Obu założycieli firmy Glier pochowano na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie. W przeciwległej części tegoż cmentarza znajduje się grób rodziny Knedlerów. Jan Knedler założył w 1898 roku – reklamowaną jako pierwsza w kraju – pracownię medalierską, w której produkował wyroby zarówno artystyczne, jak i masowe. Zmarły w 1926 roku, pozostawił firmę w rękach syna dwojga imion, Jana Kazimierza, który jednak zachował w nazwie przedsiębiorstwa jedno imię – ojca. Zawierając liczne kontrakty na dostawy dla wojska, stał się największym producentem Krzyża Walecznych, odznak pułkowych lotnictwa oraz odznak pilotów i obserwatorów, zwanych gapami.

Walcząc we wrześniu 1939 roku w stopniu wachmistrza, dostał się do niewoli niemieckiej, został zwolniony, ale po Powstaniu Warszawskim trafił do KL Dachau.

Oprócz wymienionych wyrobów dla wojska na szczególną uwagę zasługują orzeł czapkowy produkcji firmy Knedlera. Wśród setek innych wykonań i stylizacji godła wz. 1919, najbardziej typowego dla Wojska Polskiego w latach międzywojennych, wyrób Knedlera można bez wahania uznać za najciekawszy. Produkowany od końca lat dwudziestych, był przedmiotem luksusowym, wykonywanym w wariacie podstawowym z mosiądzu srebrzonego, ale też i ze srebra próby drugiej i trzeciej. Każdy egzemplarz miał nakrętkę z nazwą i adresem firmy, co wśród godeł czapkowych było ewenementem. Orły srebrne nosiły na rewersie, obok cechy krajowej, imiennik wytwórcy „IK”. Taki właśnie orzeł, wykonany z grubej blachy srebrnej, został umieszczony na trąbce 39. pułku, a cechy wybite są na nim tak mocno, że ich ślady widać na awersie orła.

Orzeł Knedlera dzięki swej elegancji zyskał dużą popularność wśród nabywców. Docenili jego walory i konkurenci, przynajmniej trzech z nich próbowało bowiem skopiować tak udany projekt. Próby te nie powiodły się, kopie nie dorównały urodzie pierwowzoru. Co ciekawe, najudatniejszym wyrobem wzorowanym na omawianym godle był... powojenny orzeł straży pożarnej. Nie można jednak wykluczyć, że pochodził on właśnie z firmy Knedlera, która działała również w latach powojennych.

Smutny wrzesień

„Niemcy rzucają do natarcia dwa następne bataliony. Wspiera je huraganowy ostrzał artylerii oraz lotnictwo, które bombarduje i ostrzeliwuje z broni pokładowej. [...] Natarcie niemieckie idzie na dwór Tyszkowice, gdzie znajduje się dowództwo 24. Dywizji. Oddziały zmęczone trzygodziną walką nie wytrzymują uderzenia, zwłaszcza że Niemcy na naszym prawym skrzydle omijają stanowiska i podchodzą już pod stanowiska

dział 75 mm, zagrażając oskrzydleniem znajdujących się tu oddziałów. Obrońców zawodzą nerwy, powstaje panika, obsługa dział rzuca się do ucieczki, pociągając za sobą znajdujące się obok dwie obsługi CKM-ów oraz kompanię strzelecką. Teraz ucieka cały odcinek. Za wszelką cenę trzeba opanować panikę! Do akcji wkracza pluton regulacji ruchu, muszą zatrzymać uciekających, choćby siłą. Nagle słychać dźwięki trąbki, to sygnał Wojska Polskiego. Na pole walki wchodzi dwóch trębaczy, a za nimi pojawia się chorągiew

bliskość katastrofalnej paniki i sztandar, którego pojawienie się na polu bitwy ratuje sytuację i pozwala pułkowi przejść do kontrataku – to wszystko jest zbyt melodramatyczne, by mogło stać się dobrym scenariuszem filmowym. Ale to wszystko wydarzyło się naprawdę. 14 września 1939 roku pod wsią Boratycze dwaj trębacze 39. pułku zagrali sygnał Wojska Polskiego, a 24. Dywizja Piechoty, przetrwawszy krytyczne chwile, utrzymała pozycje. Nazwa pobojowiska tak krwawej dla obu stron i w gruncie rzeczy



Fot. NAC

► Ofiarowanie pułkowi srebrnej trąbki było w latach międzywojennych klasycznym obyczajem wojskowym; na zdjęciu: gen. bryg. Aleksander Narbut-Łuczyński (trzymając trąbkę) wręcza dowódcy 2. Pułku Artylerii Lekkiej – ppłk. Stanisławowi Mańkowskiemu (na wprost generała) srebrną trąbkę sygnałową z płomieniem, dar 2. Dywizji Piechoty Legionów; 1929 rok

pułku – symbol Majestatu Rzeczypospolitej Polskiej. Chorągiew niesie starszy sierżant Kłęk w otoczeniu pocztu, podporucznika Wańczyckiego, sierżanta Bajorskiego i plutonowego Babiarsza. To oficer operacyjny, widząc groźbę sytuacji, polecił wprowadzić pułkową chorągiew. Panika zostaje opanowana”. Ten epizod kampanii wrześniowej zanotował w swoich wspomnieniach cytowany już kpt. Buczyński, dowódca łączności 39. Pułku Piechoty. Nacierająca niemiecka 2. Dywizja Górską, przyciśnięci ogniem polscy żołnierze,

nierozstrzygniętej walki odeszła w niepamięć; niewielu odwiedzających dzisiaj Grób Nieznanego Żołnierza wie, co upamiętnia napis umieszczony na jednej z tablic, tuż obok słów tak znanych jak Bzura czy Kock: „BORATYCZE / 14 IX 1939”.

A czy pod Boratyczami zagrała właśnie ta srebrna trąbka ozdobiona orłem? Kto wie... 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*



MARIAN
 STANISŁAW
 STANISŁAW
 ANTONI
 MARIAN
 SEWERYN
 KAZIMIERZ
 HENRYK
 TADEUSZ
 BOGUSŁAW
 STEFAN
 WITOLD
 TADEUSZ
 JAN
 ZBIGNIEW
 EDWARD
 KAROL
 IGNACY
 ALEKSANDER
 ZBIGNIEW
 EDMUND
 WINCENTY
 ROMAN
 STANISŁAW
 JÓZEF
 KAROL
 ANTONI
 ...

MIESZKOWSKI
 MINKIEWICZ
 MIRECKI
 MORAWSKI
 NEYMAN
 NIENALTO
 OBORSKI
 OJRZYŃSKI
 OKNIŃSKI
 OLECHNOW
 ORLIK
 ORYL
 PAWLUCZAK
 PAWŁOWSKI
 PELAK
 PIETRKIEWI
 PIETRUSIŃSKI
 PILECKI
 PRZYBYLSKI
 PRZYBYŁOW
 PRZYBYSZEW
 PYTKO
 RAKOCZY
 RAMOTOWSKI
 RODE
 ROMER
 ROSACHACI
 ROSOCHACI
 RYPSON
 RZĄBA
 RZEPKA
 SĘK
 SIWIEC
 SKALSKI
 SKRZYSZOW
 SMOLINSKI
 SOKOŁOWSKI
 OSNOWSKI
 ...

Zbrodnie sądowe – obok masowych aresztowań, wywózek i mordów skrytobójczych – były jednym z narzędzi podporządkowywania Związkowi Sowieckiemu powojennej Polski. Sowietzi i całkowicie im posłuszni polscy komuniści zwalczali w ten sposób żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich, uczestników powojennego antykomunistycznego podziemia zbrojnego, działaczy politycznych wiernych legalnemu polskiemu rządowi oraz oficerów II RP powołanych po wojnie do ludowego Wojska Polskiego. Mordy sądowe – w kontekście wcześniejszych zasług większości skazanych w walce o odzyskanie przez Polskę niepodległości – były prawdziwą parodią prawa i miały więcej wspólnego ze spektaklem propagandowym niż przewodem sądowym. Skazani na śmierć, którzy nie zostali objęci amnestią ani ulaskawieni przez Bolesława Bierutę – ówczesnego prezydenta i agenta NKWD, byli mordowani „w majestacie prawa” – wieszani (np. gen. August Emil Fieldorf) lub rozstrzeliwani (często strzałem w tył głowy).

Rodzin zamordowanych na ogół nie informowano o wykonaniu wyroku. Ciała były skrycie grzebane. Jednym z miejsc utajonego składania zwłok były obrzeża cmentarza wojskowego na warszawskich Powązkach – dzisiejsza kwatery „L”. W latach 1948–1956 ukrywano tam ofiary mordów sądowych, wykonywanych w centralnym więzieniu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Rakowieckiej na warszawskim Mokotowie.

W latach 2012–2014 na zlecenie Instytutu Pamięi Narodowej i Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w kwatery „L” zespół utworzony przez dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka przeprowadził prace archeologiczne, podczas których ekshumowano dotychczas szczątki 198 osób. Dzięki badaniom genetycznym wykonanym przez zespół dr. Andrzeja Ossowskiego w Pomorskim Uniwersytecie Medycznym w Szczecinie do dzisiaj udało się ziden-

Milcząc – wołają

Piotr Życieński

Chcieliśmy, żeby wystawa *Cum tacent, clamant* była nie tylko dokumentacją poszukiwań szczątków bohaterów, lecz także holdem dla poszukiwanych.



CUM TACENT, CLAMANT

tyfikować 36 osób. Wśród nich znaleźli się wybitni oficerowie AK: mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin”, pplk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, ostatni dowódca NSZ – płk Stanisław Kasznica „Przepona” oraz oficerowie Wojska Polskiego: kmdr Stanisław Mieszkowski, płk Aleksander Kita i płk Marian Orlik.

Tym właśnie ludziom chcieliśmy oddać hold, pokazując wystawę *Cum tacent, clamant* (łac. „Milcząc, wołają”) Współautorka jej koncepcji plastycznej to Jolanta Czarska, artysta plastyk. Pomysłodawcą tytułu i niektórych rozwiązań jest mój ojciec – architekt Zdzisław Życieński (żołnierz NSZ i AK, uczestnik Powstania Warszawskiego).

Wystawa rozplanowana została na trzech poziomach. Umieszczone najwyżej fotografie naszych bohaterów, w nawiązującej do I Rzeczypospolitej formie portretów trumiennych, patronują pracom ekshumacyjnym, które są pokazane w środkowej części ekspozycji. W dolnej znajdują się zdjęcia ich szkieletów, których ułożenie wręcz krzyczy o istocie dokonanej zbrodni i bezczeszczeniu zwłok przez oprawców. Jednym z fragmentów wystawy są zdjęcia ukazujące osoby, które brały udział w pracach poszukiwawczych – archeologów, medyków sądowych, antropologów, a także ogromnej rzeszy ▶



wolontariuszy, którzy swój wolny czas, urlopy poświęcali tej sprawie, przyjeżdżając z całej Polski. Wystawę otwiera lista zamordowanych z wyroków sądów komunistycznych tych osób, których szczątki spodziewamy się rozpoznać w kwaterze „L” – w tym miejscu tajne pochówki zaczęły się od wiosny 1948 roku. Spis kończy się wielokropkiem, ponieważ nie znamy wszystkich

nazwisk. Podczas ekshumacji znaleziono bowiem szczątki ludzi zamordowanych poza więzieniem. Obok nazwisk osób zidentyfikowanych umieściliśmy ich wizerunki.

Do zakończenia prac w tym miejscu niezbędne jest przeprowadzenie trzeciego, ostatniego etapu: wydobyć spod współczesnych grobowców (powstałych po wprowadzeniu sta-

nu wojennego i skrywających także sprawców mordów) szczątków około dziewięćdziesięciu ofiar komunizmu. Wśród zidentyfikowanych wciąż nie ma np. gen. Emila Fieldorfa „Nila”, rtm. Witolda Pileckiego, pplk. Łukasza Cieplińskiego „Pługa” i wielu innych. ❄

Piotr Życieński – fotograf, autor zdjęć prezentowanych na wystawie *Cum tacent, clamant*, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Edukacja bez barier

Iwona Demczyszak

► Legendarny plakat Czesława Bieleckiego mogą „zobaczyć” również niewidomi

Znaczne ograniczenie widzenia nie musi być przeszkodą w uczeniu się historii. Aby pokonać trudności, wystarczy wyobraźnia i empatia edukatorów.

Przygoda wrocławskiego oddziału IPN z zajęciami dla niewidomych zaczęła się w 2009 roku. Wtedy to Dolnośląski Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Marii Grzegorzewskiej we Wrocławiu zwrócił się do nas o poprowadzenie zajęć dla swoich wychowanków. Wykorzystaliśmy wówczas materiały dźwiękowe i fragmenty filmów. To, co na nich widać, staraliśmy się opisać. Nie wszystko jednak, co się dzieje poza słowami, można sprawnie opowiedzieć. Postanowiliśmy zatem zaprosić młodzież do wrocławskiego archiwum i pozwoliliśmy dotknąć zgromadzonych w nim dokumentów. Od tego czasu zaczęliśmy szukać kolejnych metod przekazywania wiedzy osobom z dysfunkcją wzroku.

W 2010 roku IPN wydał materiały multimedialne „Historia w filmie” – wspierające przekazywanie historii najnowszej niewidomym, ale także niesłyszącym – zawierające dwie płyty DVD: „Wojna w filmie” oraz „PRL w filmie”. Adaptacja materiałów audiowizualnych była możliwa dzięki zastosowaniu audiodeskrypcji, czyli dodatkowej ścieżki dźwiękowej, w której lektor opisuje, co się dzieje na ekranie poza dialogami: jak wyglądają bohaterowie, scenografia, kostiumy i wiele innych elementów obrazu. To technika nowoczesna, ciesząca się dużym powodzeniem wśród zainteresowanych, ale ciągle rzadko stosowana i kosztowna. Z myślą o osobach niesłyszących do filmów dodano napisy. Publikacja zawiera

około stu fragmentów filmów fabularnych oraz propozycje wykorzystywania ich w pracy dydaktycznej.

Potrzeby niewidomych i niesłyszących zauważono także podczas pierwszego przeglądu filmów dokumentalnych „Echa Katyńia”, który odbył się w Warszawie w 2010 roku. Na użytek przeglądu powstało opracowanie dr. Sławomira Kalbarczyka *Zbrodnia Katyńska 1940. Kilka pytań i odpowiedzi*, które zostało napisane także brajlem. Do części filmów dodano audiodeskrypcję oraz specjalne napisy dla niesłyszących.

W tym samym roku we Wrocławiu ukazała się teka edukacyjna „Solidarność – narodziny legendy”. To kompleksowy, pierwszy tego typu, uniwersalny materiał, który nauczyciel może wykorzystać podczas zajęć bez konieczności sięgania po dodatkowe środki dydaktyczne. Zastosowano w nim różne techniki: brajla, powiększoną czcionkę, audiodeskrypcję, syntezator mowy (program komputerowy odczytujący na głos zapisany tekst), grafikę wypukłą. Tak jak większość takich publikacji, teka zawiera obszerne wprowadzenie do tematu, słownik pojęć, wykaz skrótów i krótkie biogramy osób występujących w tekstach. Ważnym dopełnieniem ►





Fot. Katarzyna Maziej-Choińska

całości jest multimedialna oś czasu z urywkami filmów z audiodeskrypcją, syntezatorem mowy, utworami muzycznymi, fragmentami przemówień postaci historycznych. Ilustrują one omawiane wydarzenia i stanowią doskonały pretekst do łączenia wiedzy historycznej z wiedzą o polskiej kulturze. Uwzględniając ćwiczenie orientacji przestrzennej niewidomych, do publikacji dodano wypukłą mapę Polski oraz wypukłą grafikę przedstawiającą legendarny plakat Czesława Bieleckiego (przypominający kardiogram wykres, na którym Solidarność jest jednym ze zwrotnych punktów w powojennej historii Polski). Zwracaliśmy uwagę na to, żeby każdy z elementów publikacji był czytelny i zrozumiały dla korzystających.

► W sytuację niewidomego starała się wczuć m.in. edukatorka z katowickiego IPN, dr Kornelia Banaś



Fot. Katarzyna Maziej-Choińska

W czerwcu 2013 roku wrocławski i katowicki oddział IPN oraz wspomniany ośrodek dla dzieci niewidomych i słabowidzących zorganizowały we Wrocławiu konferencję edukacyjno-szkoleniową „Dysfunkcja wzroku a możliwości pracy ze źródłem historycznym”. Jej częścią były warsztaty, podczas których osoby mające duże problemy ze wzrokiem czytały dokumenty (przepisane w brajlu lub czarnodruku o dużej czcionce), a później je analizowały. W przygotowanej prezentacji multimedialnej zastosowano syntezator mowy. Dzięki temu młodzież miała możliwość poznania struktury i metody działania organów bezpieczeństwa państwa wobec organizacji opozycyjnych. Zajęcia dotyczyły rozpracowania największej, po NSZZ „Solidarność”, ogólnopolskiej organizacji opozycyjnej lat osiemdziesiątych, którą była Solidarność Walcząca, utworzona we Wrocławiu przez Kornela Morawieckiego. Z odpowiednio dostosowanymi tekstami uczniowie radzili sobie bardzo dobrze, poprawnie je interpretując. Poznali przy tym znaczenie nowych wyrazów zaczerpniętych z dokumentów zgromadzonych w archiwum IPN, charakterystycznych dla żargonu funkcjonariuszy bezpieczeństwa.

Zaproszonymi na konferencję gośćmi byli edukatorzy IPN z całej Polski, a także tyfłolodzy (specjaliści pracujący z niewidomymi i słabowidzącymi), związani z DSOSW im. Marii Grzegorzewskiej we Wrocławiu: Antoni Audycki, Marcin Jarosz, Maria Rozwora, Jolanta Szulc. Edukatorzy, którzy na co dzień nie mają styczności z niewidomymi, mogli wziąć udział w warsztatach z *savoir-vivre*’u, podczas których poznali kilka cennych zasad ułatwiających wzajemne kontakty, m.in. zasadę nienarzucania swojej pomocy, a jedynie bycia gotowym do jej udzielenia, kiedy zostanie się poproszonym; regułę, że podczas wchodzenia do pomieszczenia, w którym znajdują się niewidomi, należy zasygnalizować swoją obecność, aby osoby wewnątrz mogły zorientować swoje położenie wzglę-



Fot. Katarzyna Maziej-Choińska

Jak uczyć o podziemiu antykomunistycznym?

W marcu ukaże się kolejna teka edukacyjna IPN „Polskie podziemie niepodległościowe 1944–1956”: Korzystając z doświadczeń zdobytych przy tworzeniu *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*, a także wystawy „Zaplute karty reakcji». Polskie podziemie niepodległościowe 1944–1956” oraz wieloletnich badań naukowych, prowadzonych w lubelskim Biurze Edukacji Publicznej, opracowaliśmy materiały edukacyjne, które pomogą nauczycielom realizować trudną do omówienia w warunkach szkolnych problematykę polskiego podziemia niepodległościowego z lat 1944–1956. Jest to jeden z najważniejszych tematów związanych z postawami społeczeństwa polskiego wobec nowej rzeczywistości politycznej, która kształtowała się po zakończeniu II wojny światowej.

Teka składa się z materiałów dla nauczycieli i dla uczniów. W tej pierwszej grupie są propozycje scenariuszy lekcji, uwzględniające genezę podziemia antykomunistycznego, jego ideową i organizacyjną różnorodność, losy uczestników i stosunek władz komunistycznych do konspiracji. Proponujemy też kilka tematów esejów, dzięki którym można sprawdzić, w jakim stopniu uczniowie opanowali materiał.

Część teki przeznaczoną dla uczniów rozpoczynamy od wprowadzenia – tekstu popularnonaukowego, zawierającego najistotniejsze informacje dotyczące genezy, struktury oraz aktywności zbrojnej podziemia antykomunistycznego. Następnym elementem to biogramy 56 osób zaangażowanych w działalność polskiego podziemia niepodległościowego – dobrane tak, aby reprezentowały wszystkie nurty podziemia oraz formy jego działalności. W uporządkowaniu historii podziemia na tle ówczesnych wydarzeń na świecie pomoże młodzieży tablica synchronizacyjna, a w przyswojeniu fachowego nazewnictwa – słownik pojęć oraz wykaz skrótów. Uczniowie znajdą również przedruki dokumentów (w większości tych wytworzonych przez podziemie, ale także przez komunistyczny aparat represji).

Ważnym elementem teki to karty – wybór fotografii, faksymiliów dokumentów, afiszy i plakatów z epoki oraz map i tabel. Ponadto dołączamy płytę z filmem *Ostatni* o Józefie Franczaku „Lalusiu”. Temu ostatniemu żołnierzowi podziemia antykomunistycznego poświęcamy także jeden ze scenariuszy lekcji.

dem wchodzącego; informacje o tym, jak trzeba prowadzić osobę niewidomą, aby umiejętnie kierować jej krokami np. przy pokonywaniu przeszkód. Skorzystaliśmy ze wskazówek, w jaki sposób należy tworzyć pomoce dydaktyczne, aby były odpowiednio przystosowane do potrzeb osób niewidzących.

Owoce konferencji jest publikacja „Ośmiornica, czyli Solidarność Walcząca na celowniku bezpieki”, uwzględniająca potrzeby niewidomych i słabowidzących, wydana w 2013 roku przez wrocławski oddział IPN. W jej skład wchodzi: scenariusz zajęć, miniwykład, teksty źródłowe w brajlu i czarnodruku, prezentacja multimedialna z syntezatorem mowy oraz grafika wypukła. W proponowanych zajęciach przewidziano indywidualną pracę uczniów ze źródłem historycznym wytworzonym przez aparat bezpieczeństwa PRL. Od września 2014 roku można je znaleźć w ofercie Biura Edukacji Publicznej IPN. Są realizowane w ramach ogólnopolskiego projektu edukacyjnego „Co kryją archiwa IPN?” i mogą być prowadzone zarówno przez nauczycieli, jak i przez zaproszonego edukatora.

Z myślą o młodych ludziach z dysfunkcjami wzroku Instytut Pamięci Narodowej rozszerza swoją ofertę. We Wrocławiu powstaje cykl propozycji filmowo-warsztatowych „Historia dla ciebie i dla mnie”. Przybliży on m.in. sylwetki żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, których władza komunistyczna nazywała „bandytami”, a którym dzisiaj przywraca się należną pamięć m.in. w wyniku prowadzonych przez IPN prac ekshumacyjnych. Do filmów zostanie dodana audiodeskrypcja, a przygotowywane materiały – udostępniowane w brajlu i czarnodruku.

Koncentrowaliśmy się dotychczas na współpracy z osobami niewidomymi i słabowidzącymi, jesteśmy jednak otwarci na współpracę z młodzieżą z innymi rodzajami niepełnosprawności. 🌸

Iwona Demczyszak – nauczycielka historii, doktorantka w Instytucie Historii Uniwersytetu Wrocławskiego, pracowniczka Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu, autorka materiałów edukacyjnych dla niewidomych i słabowidzących

Agnieszka Jaczyńska – kierownik Referatu Edukacji Historycznej OBEP IPN w Lublinie

A historyczna fantazja

Grzegorz Wołk

Moda na filmy historyczne w polskim kinie nie przemija. *Hiszpanka* jest nieszampową próbą przedstawienia Powstania Wielkopolskiego.

Twórcy filmu reklamują go jako produkcję „przekraczającą granice wyobraźni”. Trzeba przyznać – scenariusz zaskakuje co chwilę. Już samo ujęcie poważnego tematu w konwencji mieszającej fakty i historyczne postaci z fikcją i spirytyzmem budzi zaskoczenie, a momentami nawet konsternację. Mieszanka jest na tyle oryginalna, że produkcja znajdzie zapewne wielu zwolenników, a nawet entuzjastów. U innych wywoła żal z powodu utraconej szansy na nakręcenie dobrego filmu wojennego o jednym z niewielu zwycięskich polskich powstań.

Demoniczny doktor kontra spirytyści

Jest koniec 1918 roku. Dopiero co zakończyła się I wojna światowa i Polska odzyskała niepodległość. Do Poznania, który wciąż jest rządzony przez Prusaków, zmierza wybitny kompozytor i polityk Ignacy Paderewski. Niemieckie władze starają się na wszelkie możliwe sposoby nie dopuścić do jego przyjazdu. Zdają sobie sprawę z tego, że może to być punkt zapalny i początek powstania.

Postacią, która ma powstrzymać przyjazd Paderewskiego, jest złowrogi dr Manfred Abuse – wspaniała kreacja Crispina Glovera – morderca, który ma dar przenikania do ludzkiego umysłu i sterowania innymi ludźmi. Abuse planuje, przy użyciu swoich mocy, zarazić Paderewskiego hiszpanką, śmiertelnością odmianą grypy, która szalała wówczas po całym świecie, pochłaniając dziesiątki milionów ofiar.

Do walki z nim staje grupa polskich spirytystów-patriotów. Wspomaga ich tajemniczy Rudolf Funk. Równie potężny jak Abuse, ale używający swych mocy na

zlecenie tych, którzy są mu w stanie świecie zapłacić. W tle intrygi pojawia się także wątek miłosny. Równoległe trwają przygotowania do Powstania Wielkopolskiego: praca wywiadowcza, gromadzenie broni, konspirowanie. W końcu wybuchają walki o miasto i lotnisko Ławica – najważniejszy w oczach scenarzystów element powstania.

Efektowny monumentalizm

Jest to pierwszy polski film, w którym efekty specjalne potrafią momentami wgnieść widza w fotel. Nie chodzi bynajmniej o sceny batalistyczne. Zapada w pamięć przede wszystkim monumentalność budynków, w których toczy się akcja. Wieża na lotnisku, siedziba niemieckiego rządu czy wnętrza poznańskiego Bazaru urzekają. Tak samo atrakcyjne są sceny przedstawiające podniebne akrobacje na samolotach z okresu I wojny światowej. Nie mniej wysiłku włożono w odtworzenie ówczesnego Poznania, o czym jeszcze będzie mowa.

Drugą zaletą produkcji są kreacje aktorskie. Inwestycja w zagranicznych artystów była dobrym posunięciem. Szczególnie zatrudnienie, znanego z ról charakterystycznych, Crispina Glovera (*Beowulf*, *Alicja w krainie czarów*) czy Karla Markovicsa (*Falszerze*) okazało się strzałem w dziesiątkę. Mniej znani polscy aktorzy, w tym Sandra Korzeniak czy Artur Krajewski, nie wypadli gorzej. Pewnym zgrzytem w tym zestawieniu jest kreacja Jakuba Gierszała, któremu stylizacja na młodego Leonarda Di Caprio nie do końca chyba wyszła na dobre.

Mało historii w historii

Jeżeli ktoś liczy na to, że dzięki *Hiszpance* pozna przebieg Powstania Wielkopolskiego, srodze się zawiedzie. Wystarczy wspomnieć, że jedyną postacią historyczną pojawiającą się częściej i odgrywającą istotną rolę jest Ignacy Paderewski. To jego przyjazd oczekują mieszkańcy Poznania i to o jego zdrowie, a wręcz życie, toczą walkę spirytyści będący na usługach obu stron. W produkcji brak innych ważnych postaci, jak chociażby powstańców dowódców: Stanisława Taczaka i Józefa Dowbora-Muśnickiego. Wielkie przygotowania, wysiłek organizacyjny stojący za przeszkoleniem i wyposażeniem powstańców zostały przedstawione na przykładzie historii przemytu... jednej armaty. Praca wywiadowcza to spacer z psem, dzięki któremu udaje się wyliczyć odległość potrzebną do skutecznego ostrzału lotniska. Nieco szerzej ukazano konspirowanie, jednak i tego jest w filmie stanowczo za mało. Widz czuje, że przygotowania trwają, ale na ekranie w zasadzie ich nie ma.

Hiszpanka to przede wszystkim film o walce dobra ze złem. W materiałach prasowych twórcy – zdecydowanie na wyrost – porównują tę produkcję do *Gwiezdnych wojen*. Reżyser, jednocześnie autor scenariusza, stworzył opowieść, w której zwoździ widza niczym wprawny iluzjonista. Łukasz Barczyk, bo o nim mowa, wybrał konwencję filmu, w którym mało miejsca poświęcił walkom toczącym się od grudnia 1918 roku do lutego 1919 roku. Jak już wspomniałem, osi scenariusza są podróż Paderewskiego i powstańcy epizod przygotowań do ataku, a następnie zdobycie poznańskiego lotniska Ławica. Przyznać trzeba, że sam moment walk zo-





stał ukazany w sposób bardzo efektowny. Tym większa szkoda, że twórcy nie zdecydowali się na pójście za ciosem i nie ukazali np. polskiego kontraktaku na lotnisko we Frankfurcie nad Odrą czy innych scen batalistycznych.

Brakuje także szerszego kontekstu niemieckiego. Z filmu nie wynika, dlaczego Polacy nie chcieli żyć w państwie niemieckim. W zasadzie nie pokazano motywacji Wielkopolan. Pada nazwa Hakata i pojawia się epizodycznie diaboliczna postać jednego z jej twórców – Heinricha von Tiedemanna – lecz widz poza tym, że to ci źli, nie dowie się niczego więcej. Dyskryminacja ekonomiczna i polityczna Polaków zostaje ukazana jedynie w scenie, w której niemiecki oficer, przekonując do podpisania kontraktu Tytusa Ceglarskiego, mówi mu, że będzie pierwszym Polakiem dostarczającym sprzęt niemieckiej armii. Dodatkowym smaczkiem jest to, że Ceglarski – zamożny fabrykant – okazuje się... głównym sponsorem powstańców.

Brak szerszego kontekstu historycznego w jakimś stopniu jest zrekompensowany fantastyczną pracą wykonaną przez ekspertów od scenografii, kostiumów i efektów specjalnych. Widz oglądający ulice stolicy Wielkopolski czy wewnątrz sławnego Bazaru ma wrażenie obcowania z prawdziwym życiem A.D. 1918. Zdaje się, że można poczuć zapach ulicy, przespacerować się nią wraz z głównymi bohaterami, a nawet zwiedzić ogród zoologiczny. Dbałość o detale jest zauważalna na każdym kroku. Jest to jeden z największych atutów produkcji.

Truskawki ze śmietaną?

Twórcy filmu stawiają w nim ważne pytanie o polski patriotyzm. Jaki on ma być? Bohaterowie *Hiszpanki* muszą wybierać i wciągają w ten dylemat widza. Jedna z filmowych postaci pyta wprost:

„A co pani jest w stanie uczynić dla ojczyzny ratowania?”. Odpowiedź nie jest łatwa, a *Hiszpanka* pokazuje, że cena poświęcenia dla kraju może być niezwykle wysoka.

Reżyser w wypowiedziach prasowych podkreślał, że jego bohaterowie „chcą, by nowa Polska nie opierała się na krwi i zemście. Marzą o polskiej fladze, która nie będzie się kojarzyć z męczeństwem, ale z »truskawkami ze śmietaną«. Dobrobyt i szczęście, radość z wolności. To zobowiązanie zaciągamy u poległych”. Owe truskawki to metafora wypowiediana w chwili doświadczenia osobistego dramatu przez jednego z bohaterów. Scena może być dla niektórych widzów kontrowersyjna, ma jednak w sobie tak duży ładunek interpretacyjny, że nie sposób jej jednoznacznie ocenić.

Warto docenić twórców, że nie poszli drogą dekonstrukcji polskiej tożsamości. Bohaterowie tej opowieści są patriotami, jednak są także zwykłymi ludźmi ze swoimi ułomnościami i chwilami słabości. Można się uśmiechnąć, gdy mówią o „potrzebie patriotycznej” nawet w drobnej sprawie, jednak przez cały ten czas nie przestają budzić sympatii. Aktorzy nie uciekają od patosu, ale stosują go z umiarem i dużym wyczuciem. Dzięki temu jest to jeden z niewielu polskich filmów, w których w tak lekkiej formie udało się pokazać postawy patriotyczne, jednocześnie ich nie wykpiwając. Doskonałym przykładem jest ukazanie wielkopolskiej konspiracji i przygotowań do wybuchu powstania w sposób pełen ironii i dystansu, ale jednocześnie nieocierający się o śmieszność i błazenadę.

Bękarty wojny czy *Polonia Restituta*?

Oglądając film, musimy zadać sobie pytanie: czy w tak nierzeczywisty i momentami bajkowy sposób można skutecznie

opowiadać o wydarzeniach historycznych? Zdaniem twórców, zdecydowanie tak. Miałbym jednak w tym przypadku duże wątpliwości. O ile bowiem można zaakceptować taki sposób przedstawiania patriotyzmu, to już z pokazywaniem faktów jest gorzej. Owszem, w filmie zaprezentowano podstawową faktografię bez zmian (podróż i przybycie Paderewskiego do Poznania, pokonanie Niemców przez Polaków), jednak sposób, w jaki to się dzieje, jest wyłącznie dziełem bogatej wyobraźni scenarzysty. Historia jest nie tyle na drugim planie, ile przez dwie trzecie filmu w ogóle jest niewidoczna. Główna intryga mogłaby się równie dobrze toczyć w świecie współczesnym.

Historyk powinien docenić, że Łukasz Barczyk nie poszedł drogą Quentina Tarantino i *Bękartów wojny*, w których Adolf Hitler ginie z rąk komandosów żydowskiego pochodzenia. Jednak z drugiej strony wartość poznawcza *Hiszpanki* w sferze czysto historycznej jest niewielka i pod tym względem można ją postawić niewiele wyżej od produkcji Tarantino. Owszem, dziś nikt już nie nakręci filmu w stylu *Polonia Restituta*, długiego, nużącego i pokazującego wszystkie ważne aspekty polskiej drogi do niepodległości w 1918 roku. Sam daleki jestem od takich pomysłów. Sensowniejsza wydaje się droga obrona przez Jerzego Hoffmana przy adaptacji *Trylogii*. W tym wypadku widz, pasjonując się losami fikcyjnych bohaterów, dostawał również ważną lekcję historii. *Hiszpanka* takiej lekcji nie udziela, ale wydaje się, że jej twórcy takiego zamiaru nie mieli.

Jest to film, który dla widza ma być przede wszystkim rozrywką. Z tej roli wywiązuje się dobrze. A że przy okazji przypomina, że niektóre powstania udawało nam się wygrywać, tym lepiej. ■

Grzegorz Wołk – historyk, politolog,
pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN



Naukowo i z dreszczykiem

Co jakiś czas na półki księgarń trafiają opracowania historyczne dotyczące spraw tajemniczych, zagadkowych czy wręcz sensacyjnych. Tak jest często w wypadku dziejów wywiadu i kontrwywiadu. Książki na temat służb specjalnych przypominają niejednokrotnie powieści Harlana Cobena, Toma Clancy'ego czy nawet Dana Browna, w których fikcja miesza się z rzeczywistością. Nie znaczy to, że autorzy muszą rezygnować z warsztatu naukowego. Przekonuje o tym książka *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku* pod redakcją Wojciecha Skóry i Pawła Skubisza.

Zwiększona dostępność źródeł przechowywanych w Polsce (np. w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie czy Instytucie Pamięci Narodowej) czy Wielkiej Brytanii (w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego oraz Studium Polski Podziemnej) oraz likwidacja ograniczeń ideologicznych po przemianach ustrojowych roku 1989 pozwalają baczniej przyrzeć się temu, co nazwę drugim dnem polskiej polityki i dyplomacji. Nie wszystko na ich temat, bez względu na okres i kontekst, da się bowiem powiedzieć wyłącznie na podstawie oficjalnych dokumentów dyplomatycznych. Przecież nawet najzdolniejszy przedstawiciel MSZ, ograniczony protokołem dyplomatycznym, nie mógł dotrzeć do wielu ludzi i zetknąć się z wieloma zagadnieniami. Rzecz tę widać wyjątkowo dobrze na przykładzie okresu międzywojennego, mocno uwypuklonego w opisywanym tomie. Dystyngowany świat urzędników dyplomatycznych i konsularnych II RP niejednokrotnie przenikał się ze sferą funkcjonowania Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego (od 1928 roku Sztabu Głównego WP), a więc wojskowego wywiadu i kontrwywiadu. Wcale nie tak rzadko pracownicy MSZ współpracowali bowiem z wywiadem lub wręcz byli „dwojkarzami”, zatrudnionymi pod przykrywkowymi nazwiskami w gmachu przy ul. Wierzbowej.

Tego typu przypadki spotykamy nie tylko na dwóch najważniejszych kierunkach operowania Oddziału II, tj. niemieckim i radzieckim, ale też na terenie innych krajów. Przy czym – i tutaj tematyka artykułów w recenzowanym tomie w pełni pogląd ten potwierdza – Berlin i Moskwa stanowiły centrum zainteresowania polskiego wywiadu i kontrwywiadu z lat 1918–1939. Taka informacja oczywiście nie zaskakuje. Warto natomiast zwrócić uwagę na coś innego. Mianowicie w prezentowanym tomie czytelnik znajdzie ciekawe i obszerne studium o strukturach wywiadowczych Polski Ludowej. Zestawienie działalności tych organów z aktywnością ludzi epoki II RP pozwala poznać i porównać dwie gramatyki kulturowe dwudziestowiecznej Polski: uwarunkowania i reguły życia czasów Józefa Piłsudskiego czy Romana Dmowskiego oraz praktyki komunistów po 1944 roku. Zaangażowanie na rzecz Oddziału II było czymś całkowicie odmiennym i w odmiennych kategoriach winno być rozpatrywane niż służba w organach państwa totalitarnego. Wydaje się to oczywistością dla naukowców, ale nie wyłącznie do tej kategorii odbiorcy adresowano przedstawianą książkę. Coś dla siebie

Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku, t. 1, red. Wojciech Skóra i Paweł Skubisz, IPN, Szczecin 2012, 774 s.



znajdzie tu bowiem także czytelnik mniej wtajemniczony, poszukujący po prostu intrygujących historii.

Autorom opracowania z jednej strony udało się zebrać artykuły przekrojowe, dzięki którym dostrzegamy długie trwanie polskiego systemu wywiadowczego. Z drugiej strony w tomie znalazły się też szpiegowskie mikrohistorie. Potwierdza się po raz kolejny, że sprawdza się metoda *case study* jako sposób ukazywania szerszego tła i generalnych uwarunkowań. Otrzymujemy obraz polskiego wywiadu, obserwując takie jego tuzy jak Jerzy Antoni Niezbrzycki bądź Tadeusz Pełczyński.

Wiele spraw może zaskoczyć, jak np. historia Anglika Ronald Clarenca'a Jeffery'ego. Ten kapral z Królewskiego Pułku Piechoty Wschodniego Kentu przebywał w czasie II wojny światowej w okupowanej przez Niemców Polsce i dla tej ostatniej – jak się wydaje – miał pokaźne zasługi. Uzdolniony językowo, znając już francuski i niemiecki, nauczył się dodatkowo polskiego, chcąc skutecznie zdobywać dane wywiadowcze i odnaleźć się w realiach Generalnego Gubernatorstwa.

Autorzy opublikowanych tekstów konstruują narrację w przeważającej mierze na podstawie materiałów archiwalnych. W bibliografii, zgodnie zresztą z warsztatem naukowym historyka, nie brakuje odwołań do literatury przedmiotu. Niemniej o wielu problemach dowiadujemy się po raz pierwszy. Te zaś, które zostały wcześniej rozpoznane, postarano się twórczo rozwinąć i uzupełnić.

Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku powinny się znaleźć w biblioteczkach każdego, komu bliskie są pokrętne dzieje polskich służb wywiadowczych. Książka nie wyczerpuje tematu, o czym Paweł Skubisz i Wojciech Skóra uczciwie informują we wstępie. Recenzowany tom stanowi okazję do podsumowań. Bardziej jednak prowokuje do zadawania pytań i szukania nowych interpretacji. W kontekście badań nad wywiadem szczególnie bowiem okres po 1944 roku wciąż czeka na kolejnych historyków. 📖

Obraz rzezi

Zbrodnie dokonane przez Ukraińców na Polakach w Galicji Wschodniej i na Wołyniu to jeden z najtragiczniejszych epizodów w historii naszego kraju. Bandy złożone z członków Ukraińskiej Powstańczej Armii, Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i zwykłych chłopów, którzy do nich dołączali, w okrutny sposób zamordowały w latach 1943–1947 ok. 100 tys. Polaków. Ginęli także – choć w mniejszej liczbie – Rosjanie, Żydzi, Czesi oraz ci Ukraińcy, którzy pomagali ofiarom. O skali brutalności zbrodniarzy i tego, z czym musieli się zmierzyć Polacy, najlepiej świadczy to, że autorzy recenzowanego komiksu naliczyli 135 (o czym w dalszej części tekstu) metod mordowania i torturowania ofiar, często dzieci, starców i kobiet.

Dziś, 70 lat od tamtych wydarzeń, Zygmunt Similak i Robert Zaręba stworzyli wspólnymi siłami *Smert' Lachom* – komiks poświęcony pamięci tych wszystkich, którzy zginęli w wielomiesięcznej rzezi.

Zygmunt Similak to łódzki rysownik, który nad komiksami pracuje już od kilkunastu lat i ma w dorobku parę bardzo udanych albumów historycznych. Robert Zaręba zaś to scenarzysta i wydawca. *Smert' Lachom*, opublikowana przez niego własnym sumptem, została zaprezentowana podczas ubiegłorocznego majowego Festiwalu Komiksu Historycznego w Warszawie, którego organizatorem był Instytut Pamięci Narodowej.

Wszystkie przedstawione w komiksie historie powstały na podstawie autentycznych wydarzeń. Autorzy nawiązują przede wszystkim do wspomnień Stanisława Obacza, jednego z mieszkańców Mariampola, ale również do relacji innych świadków. *Smert' Lachom* zaczyna się od snucia przez jednego z bohaterów opowieści o siedemnastowiecznej Polsce, po czym śledzimy losy mieszkańców Wołynia na początku II wojny światowej i w czasie samej rzezi, aż wreszcie dochodzimy do współczesności – niedawnych protestów na kijowskim Majdanie, kiedy to można było usłyszeć banderowskie pozdrowienie. Robert Zaręba stworzył tym samym wielowątkowy scenariusz, który składa się z połączonych w spójną całość epizodów, samemu będąc ich narratorem. To on prowadzi czytelników przez losy ludności Wołynia i Galicji.

Smert' Lachom to komiks wstrząsający, zarówno ze względu na wydarzenia, które opisuje, jak i sposób (szczególnie graficzny) ich przedstawienia. Rysownik nie unika drastycznych scen, ukazując wykonywane przez Ukraińców egzekucje na kobietach czy dzieciach. Choćby ze względu na to album przeznaczony jest tylko dla dorosłego czytelnika. O skali brutalności w nim przedstawionej może świadczyć kadr ukazujący kobietę, której – po wcześniejszym zamordowaniu dwojga małych dzieci oraz wbiciu na pal głowy męża – Ukraińcy rozcinają brzuch. Czytając komiks, nie można oprzeć się wrażeniu, że dla wielu Polaków śmierć była już tylko wybawieniem. Takich scen jest tu więcej, ale przecież tylko taki spo-

sób ukazania zbrodni mógł oddać grozę i skalę tragedii, która spotkała Polaków. Biorąc to wszystko pod uwagę, bez wątplenia można stwierdzić, że Similak swoją realistyczną kreską stworzył klimat tej opowieści.

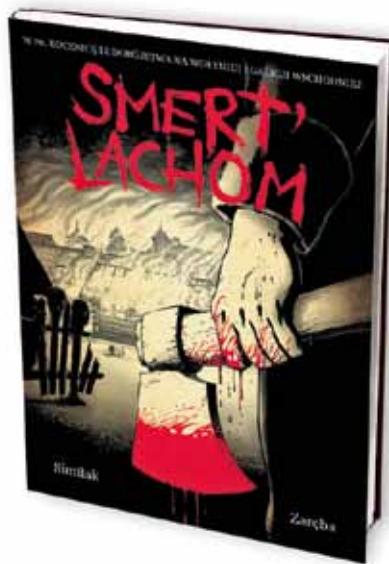
Do wysokiego poziomu rysownika dostosował się również Zaręba, który z kolei włożył ogrom pracy w przygotowanie scenariusza; i to się opłaciło. Skupia się on nie tylko na pokazaniu rzezi, lecz także na genezie konfliktu polsko-ukraińskiego, poczynając od odparcia przez hetmana Jabłonowskiego ataków Bohdana Chmielnickiego i jego kozaków.

Pozytywnie należy ocenić jakość wydania komiksu, oprawionego w miękką okładkę i sklejonego w taki sposób, że na pewno nie rozpadnie się nawet po wielokrotnej lekturze. Dość wysoka jest za to jego cena. Prawie 60 zł to dużo, ale zdecydowanie komiks wart jest tych pieniędzy.

Nie można też zapominać o edukacyjnej wartości książki. Przedstawiająca autentyczne wydarzenia, może być traktowana niemalże jak opracowanie historyczne (choć należy wziąć poprawkę na gatunek, który reprezentuje) – i ocena taka nie jest przesadą. Autorzy przygotowali aż dziesięć stron przypisów, w których dogłębnie wyjaśniają wydarzenia ukazane na kolejnych planszach. Dowiemy się nie tylko o powstaniach pod wodzą wspomnianego już Chmielnickiego. Będziemy też mieli okazję zapoznać się choćby z tekstami pieśni śpiewanych przez ukraińskich nacjonalistów. Skrupulatna praca scenarzysty nad źródłami zaowocowała stworzeniem listy metod zabijania Polaków przez Ukraińców. Wszystkie one – przypomnijmy: aż 135 – zostały zaprezentowane na końcu albumu. Lektura listy – mimo że to tylko „suchy” spis – zrobi na każdym czytelniku piorunujące wrażenie. Warto również wspomnieć, że także dialogi prezentowane w komiksie zrekonstruowano na podstawie relacji historycznych. Merytorycznie komiks *Smert' Lachom* dopracowany jest niemalże do perfekcji i z pewnością może stanowić jedno ze źródeł wiedzy o tamtych wydarzeniach.

Smert' Lachom to niemalże 130 stron tragicznej i trudnej w odbiorze historii. Historii, która – chociaż trudno w to uwierzyć – wydarzyła się nie tak dawno i już na zawsze odcisnęła piętno na stosunkach między obydwojma narodami.

Autorzy komiksu odnieśli się też do współczesnych wydarzeń – szczególnie tych na kijowskim Euromajdanie w 2013 i 2014 roku. Oczywiście nie można zaklinać rzeczywistości i pomijać tego, że flagi i okrzyki banderowskie były wówczas widoczne i słyszalne, natomiast łączenie toczzonej wtedy walki z banderowskim i antypolskim nastawieniem (co jest uwidocznione na jednym z kadrów) jest dużym nadużyciem. Temat odradzania się „ducha banderyzmu” na Ukrainie i stosunku Ukraińców do tej części ich historii jest sprawą skomplikowaną i zdecydowanie nie da się go zaprezentować na jednym tylko rysunku ani skwitować prostą aluzją o wyraźnym antypolskim wydźwięku – która *de facto* jest także antyukraińska, antymajdanowska. Opowiadając tak trudną i krwawą historię, warto jednak szukać dróg pojednania, a nie eksponować postawy skrajne. ■



Robert Zaręba (scenariusz), Zygmunt Similak (rysunek), Nikodem Cabała (okładka), *Smert' Lachom*, Wydawnictwo Roberta Zaręby, Radom 2014, 128 s.

Nieznana twarz Wielkiej Wojny

Bez szerszego echa przeszła w Polsce setna rocznica wybuchu I wojny światowej. A szkoda. Wielka Wojna była bowiem również naszą wojną – jak głosi tytuł najnowszej książki Włodzimierza Borodzieja i Macieja Górniego. I nie chodzi wyłącznie o czyn zbrojny: Wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej, bitwę pod Kostiuchnowką, losy Armii Hallera. Czteroletnie zmagania mocarstw dotknęły również ludność cywilną.

Przypomina o tym książka Christiana Westerhoffa *Praca przymusowa w czasie I wojny światowej. Niemiecka polityka sterowania siłą roboczą w okupowanym Królestwie Polskim i na Litwie w latach 1914–1918* – owoc kilkuletnich badań autora, zwieńczonych doktoratem. Trzy lata temu publikacja ukazała się w Niemczech (zob. „Pamięć.pl”, nr 8/2012), a w ubiegłym roku także u nas.

Gdy mowa o pracy przymusowej Polaków, zazwyczaj chodzi o okres II wojny światowej. „Już w latach 1914–1918 władze niemieckie pozyskiwały i zatrudniały przymusowo tysiące zagranicznych pracowników na terenie Cesarstwa i na terenach okupowanych” – podkreśla tymczasem Westerhoff. Tak było również na ziemiach polskich – w Generalnym Gubernatorstwie Warszawskim, wydzielonym z części Kongresówki, i dalej na wschód, na obszarze nazwanym przez Niemców Ober Ostem.

Z czasem te wydarzenia przesłoniła znacznie brutalniejsza okupacja z lat 1939–1945. Nieliczne prace na temat pracy przymusowej w trakcie I wojny światowej, które ukazywały się w NRD i PRL, były

w dodatku osiągnięte komunistyczną ideologią. Wiele źródeł Westerhoff musiał więc odczytywać na nowo.

Nie miał łatwego zadania. Zbiory Archiwum Wojsk Lądowych w Poczdamie zostały w ogromnej części zniszczone w wyniku brytyjskiego nalotu w kwietniu 1945 roku. Przepadła tym samym większość akt pruskiego Ministerstwa Wojny i administracji ziem okupowanych w czasie I wojny światowej przez Niemcy. Wiele cennych dokumentów autor odnalazł jednak w Archiwum Federalnym, Tajnym Archiwum Państwowym Pruskiego Dziedzictwa Kultury, a nawet w archiwach państwowych Litwy i Łotwy. Przejrzał również m.in. niemieckojęzyczną prasę z okresu I wojny światowej i wspomnienia uczestników tamtych wydarzeń.

Dominuje w tej narracji – co uczciwie przyznaje Westerhoff – perspektywa niemieckiej administracji. Znacznie mniej jest relacji ofiar pracy przymusowej i tych, którzy występowali w ich obronie. Trudno jednak czynić z tego zarzut. Zamysłem autora – o czym uprzedza podtytuł książki – było przede wszystkim ukazanie „motywów i schematów działania niemieckiej polityki sterowania siłą roboczą”.

Praca przymusowa... to książka naukowa, ale przystępnie napisana. Liczne zdjęcia, mapki, wykresy i tabele dodatkowo ułatwiają lekturę. Publikacja wypełnia lukę badawczą, ale nie musi być ostatnim słowem na ten temat. Miejmy nadzieję, że stanie się inspiracją dla polskich historyków. 📖

Filip Gańczak



Christian Westerhoff, *Praca przymusowa w czasie I wojny światowej. Niemiecka polityka sterowania siłą roboczą w okupowanym Królestwie Polskim i na Litwie w latach 1914–1918*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014, 440 s.

Odkurzone Powstanie

Nie ustają dyskusje o sensie Powstania Warszawskiego. Czas jest nieublagany, świadkowie historii odchodzą, a dla najmłodszych to już zamierzchła przeszłość.

Przez wiele lat zniekształcano prawdę o Powstaniu i o Armii Krajowej – największej podziemnej formacji zbrojnej w krajach Europy zagarniętych przez III Rzeszę. Dziś, gdy rządy „komuny” są już tylko ponurym wspomnieniem, a komunistyczna cenzura odeszła na śmietnik historii, mamy wreszcie możliwość prawdziwego przedstawiania walki Polaków o wolność w czasie ostatniej wojny i po jej zakończeniu. Odrutką na PRL-owskie kłamstwa może być tylko prawda o tamtych czasach i bohaterach. Niewielu z nich jeszcze żyje, dlatego tym ważniejsze staje się wykorzystanie ich wspomnień, wspomaganych dokumentami, w których te wspomnienia przetrwały do dziś.

Taką funkcję spełnia książka *Kompania „Żniwiarz” AK*, wydana w 2014 roku przez Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Gdańskiej. Opracowania podjął się zespół w składzie: Gustaw Budzyński („Szymura”), Mariusz Olczak i Janusz Prażmo („Krzysztof”). Pierwszy i ostatni z wymienionych to świadkowie historii, dawni członkowie ruchu oporu, uczestnicy Powstania. Drugi – Mariusz Olczak – to historyk znacznie młodszego pokolenia, kierownik Archiwum Czynu Niepodległościowego i Archiwum Polonii w Archiwum Akt Nowych. Skład zespołu gwarantuje profesjonalne podejście do wspomnień, pisanych często z perspektywy czasu, zapewnia ich spójność oraz potwierdzenie w zachowanych

źródłach. Właśnie przeplatanie wspomnień i zeskanowanych dokumentów decyduje o wartości i wyjątkowości tej książki.

Czytając wspomnienia, czujemy się przeniesieni w sam środek wydarzeń, których dramatyzm nas, żyjących od wielu lat w atmosferze spokoju i bezpieczeństwa, z tej atmosfery wyrwywa i do głębi porusza. Czytamy np., jak przed wybuchem Powstania młody człowiek zgłaszający się po broń reaguje rozczarowaniem: „Dlaczego tak mało!”, które po chwili zmienia się w radość z otrzymania biało-czerwonej opaski. Dla tego młodzieńca, prawie dzieciaka, otwarte noszenie barw narodowych było równie ważne jak broń! To ścisła za gardło.

Ta lektura jest mocniejsza niż wiele wymyślonych powieści sensacyjnych; góruje nad nimi autentyzmem. A jeżeli jakieś wydarzenie wydaje się mało prawdopodobne – np. historia o tym, jak granatowy policjant, poinformowany o zawartości samochodu z amunicją, puszcza go wolno – wstawiane co pewien czas reprodukcje dokumentów potwierdzają prawdziwość opowieści. Odczucie autentyzmu wzbogacają liczne fotografie. Ta porywająca książka przywraca dumę z Powstania i godność jego bohaterom.

Szkoda tylko, że nakład jest tak mikroskopijny – zaledwie dwieście egzemplarzy. *Kompania „Żniwiarz” AK* powinna się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej. Zdobycie pieniędzy na jej wydanie w wielu tysiącach sztuk jest po prostu koniecznością. 📖

Andrzej Januszajtis



Kompania Dywersji Bojowej ODB-17, 9, „Żniwiarz” Obwodu Żoliborz Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej. Dokumenty i relacje 1943–1944, wstęp i oprac. G. Budzyński, M. Olczak, J. Prażmo, Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Gdańskiej, Gdańsk 2014, 320 s.



■ Przemysław Benken, *Wypadki gryfickie 1951*, IPN, Szczecin 2014, 220 s. + 16 s. wkł. zdj.



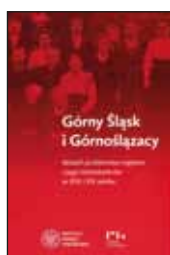
■ Janusz Borowiec, *Polityka karna wobec przestępstw i wykroczeń funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w województwie rzeszowskim (1944–1956)*, IPN, Rzeszów 2014, 364 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Daria Czarnecka, *Sprawa Stanisława Gustawa Jastera ps. „Hei” w historiografii. Kreacja obrazu zdrajcy i obrona*, IPN, Warszawa 2014, 160 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ *Droga na Monte Cassino 1941–1944 w fotografii Ignacego Jaworowskiego / The way to Monte Cassino 1941–1944 in photographs by Ignacy Jaworowski*, opr. M. Zemło, IPN, Stowarzyszenie Collegium Suprasliense, Białystok 2014, 320 s.



■ *Górny Śląsk i Górnolązacy. Wokół problemów regionu i jego mieszkańców w XIX i XX wieku*, red. S. Rosenbaum, IPN, Katowice – Gliwice 2014, 390 s.



■ Wojciech Hausner, Marcin Kapusta, Maria Konieczna (współpraca), *Epizody harcerskiej konspiracji niepodległościowej na ziemi krakowskiej 1944–1953*, IPN, Kraków 2014, 357 s.



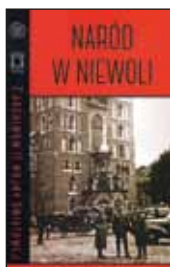
■ *Kluby Inteligencji Katolickiej jako przestrzeń działań niezależnych w latach osiemdziesiątych XX wieku*, red. K. Białecki, IPN, Warszawa – Poznań 2014, 616 s.



■ Tadeusz Krahel, *Archidiecezja wileńska w latach II wojny światowej. Studia i szkice*, IPN, Białystok 2014, 320 s. + wkł. zdj., 5 map.



■ Sławomir Łukasiewicz, *Partia w warunkach emigracji. Dylematy Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” 1945–1994*, ISP PAN, Lublin – Warszawa 2014, 812 s.



■ *Naród w niewoli*, red. F. Musiał, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2014, 180 s.



■ Karol Nawrocki, *Studium przypadku. Opór społeczny wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim (1976–1989)*, IPN, Elbląg – Gdańsk 2014, 476 s. + 12 s. wkł. zdj.



■ *Nie tylko niezłomni i kolaboranci. Postawy dziennikarzy w kraju i na emigracji 1945–1989*, red. T. Wolsza, P. Wójtowicz, IPN, Warszawa 2014, 416 s.



■ *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Krakowie w latach 1980–1990. Wybór dokumentów, t. 1: 1980–1981*, oprac. H. Głębocki, M. Kasprzycki, IPN, Arcana, Kraków 2014, 1428 s.



■ Patryk Pleskot, *Solidarność na Antypodach. Inicjatywy solidarnościowe polskiej diaspory w Australii (1980–1989)*, IPN, Warszawa 2014, 526 s. + 32 s. wkł. zdj.



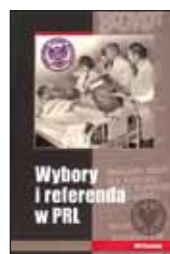
■ *Represje wobec osób duchownych i zakonnych na terenie woj. krakowskiego 1944–1975. Leksykon biograficzny, t. 1*: red. ks. J. Marecki, IPN, Kraków 2014, 416 s.



■ Robert Spalek, *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnętrznego w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948–1956*, IPN, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Warszawa – Poznań 2014, 1134 s.



■ *Wojna się nie skończyła*, red. F. Musiał, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2014, 178 s.



■ *Wybory i referenda w PRL*, red. S. Ligarski, M. Siedziako, IPN, Szczecin 2014, 821 s.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek, środa w godz. 10:00–17:00,
wtorek, czwartek, piątek w godz. 8:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. 22 576 30 05

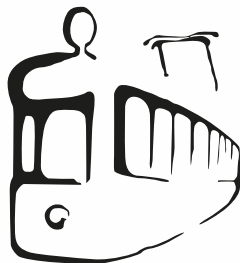
Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

ul. Marszałkowska 21/25
00-628 Warszawa

faks (22) 576 30 02

www.ipn.gov.pl

przystanek.historia@ipn.gov.pl
facebook.com/przystanek.historia

przystanekhistoria.ipn.gov.pl

● 2–28 lutego

Wystawa płaskorzeźb Stanisława Kulona „Świadectwo 1939–1946”. Prezentowany w Przystanku Historia cykl reliefów to 33 sosnowe, barwione tablice, przedstawiające tragiczne doświadczenia Polaków zmuszonych do osiedlenia się „na nieludzkiej ziemi”. Wernisaż z udziałem autora odbędzie się 17 lutego o godz. 17:30.

● 2 lutego (poniedziałek), godz. 17:00

Seminarium „Polskie kino powojenne: twórcy i filmy”. Wykład poświęcony twórczości filmowej Bohdana Poręby wygłosi historyk filmu prof. Piotr Zwierzchowski.

● 5 lutego (czwartek), godz. 16:00

Spektakl *Noc wigilijna* w wykonaniu grupy teatralnej TESPIS z LXXXIII Liceum Ogólnokształcącego im. Emiliana Konopczyńskiego. Przedstawienie jest adaptacją sztuki Zofii Pociłowskiej, którą napisała ona w niemieckim obozie koncentracyjnym w Ravensbrück.

● 7 lutego (sobota), godz. 11:30

Spotkanie z cyklu **Rodzinną sobota. Historia oczami dzieci**, którego celem jest ukazanie historii Polski w okresie od 1939 do 1989 roku z perspektywy dzieci. Zajęcia będą poświęcone tzw. małej stabilizacji z czasów Władysława Gomułki. Obowiązują zapisy: [magdalena.bogdan@ipn.gov.pl](mailto:magdalenabogdan@ipn.gov.pl).

● 9 lutego (poniedziałek), godz. 17:00

Spotkanie **Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotę”**: projekcja filmu Arkadiusza Gołębiewskiego *Dzieci kwatery „Ł”*. Gościem specjalnym będzie reżyser, prowadzenie: Karolina Wichowska („Pamięć.pl”).

● 9 lutego (poniedziałek), godz. 18:00

W cyklu **Pod sierpem i młotem – państwa komunistyczne na świecie** wykład poświęcony komunizmowi w Etiopii wygłosi Kinga Turkowska, historyk i afrykanistka.

● 11 lutego (środa), godz. 17:30

Promocja książki Roberta Spalka *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnętrznego*

w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948–1956, wydanej przez IPN oraz Wydawnictwo Zysk i s-ka. W dyskusji udział wezmą: prof. Jerzy Eisler, prof. Andrzej Paczkowski, Michał Komar oraz autor – dr Robert Spalek. Prowadzenie: Piotr Zaremba.

● 12 lutego (czwartek), godz. 17:00

Spotkanie z cyklu **Spacerkiem po Warszawie. Wielcy architekci XX w.**: wykład „Budowniczość nowej Warszawy: Stanisław Jankowski, Jan Knothe, Zygmunt Stepiński, Józef Sigalin” jest poświęcony powojennej odbudowie i przebudowie stolicy. Prowadzenie: Jarosław Zieliński, historyk architektury i varsavianista.

● 12 lutego (czwartek), godz. 17:30

Kolejne zajęcia z cyklu **Świat totalitarny przedstawiony. Obraz komunizmu w literaturze i filmie**. Seminarium prowadzi dr Łukasz Michalski (BEP IPN). Obowiązują zapisy: wieslawamlynarczyk@ipn.gov.pl.

● 16 lutego (poniedziałek) godz. 17:00

Spotkanie z cyklu **Oblicza PRL**. Wykład na temat sytuacji Kościoła katolickiego w Polsce Ludowej wygłosi prof. Jan Żaryn. Prowadzenie: Piotr Zaremba.

● 25 lutego (środa), godz. 17:30

Krakowska Loża Historii Współczesnej w Warszawie: dyskusja będzie poświęcona książce *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Krakowie 1980–1990. Wybór dokumentów*, t. 1: 1980–1981 (red. Henryk Głębocki, M. Kasprzycki), wydanej przez IPN. Prowadzenie: Roman Graczyk (IPN Kraków).

● 26 lutego (czwartek), godz. 13:00

Spotkanie **Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotę”**: wykład Darii Czarneckiej z Archiwum Państwowego w Katowicach, poświęcony sprawie Stanisława Gustawa Jastera ps. „Hel”, żołnierza Armii Krajowej oskarżonego o zdradę, która doprowadziła do rozbitcia przez gestapo oddziału „Osa”-„Kosa”.

LUTY

45